tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 26 (1225)
26.06-2.07.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

Dr hab. Jacek Haman
Wybory 2023: które głosy pójdą do piachu?

Rolnicy
nie wierzą Telusowi

Polska piłka –
tego nie da się wytłumaczyć

Na ciebie szkoda kulki –
upowska czystka w Pustomytach

KTO ZARABIA NA WOJNIE?

GIGANTYCZNE ZYSKI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
26
9 771509 311300

eprasa.pl fef7fb23da

FIFF NAMUR
NAJLEPSZY SCENARIUSZ

ZURICH FILM FESTIVAL

CÉSAR ACADÉMIE DES ARTS ET TECHNIQUES DU CINÉMA
NAJLEPSZY ORYGINALNY SCENARIUSZ
NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA
9 NOMINACJI

FESTIVAL DE CANNES
HORS COMPÉTITION
SÉLECTION OFFICIELLE 2022

FONDAZIONE CINEMA PER ROMA

SSIFF
Donostia Zinemaldia
Festival de San Sebastián

KŁAMSTWA, MIŁOŚĆ I RODZINNA KWIACIARNIA

LOUIS GARREL ROSCHDY ZEM NOÉMIE MERLANT ANOUK GRINBERG

WINNY CZY NIEWINNY

REŻYSERIA LOUIS GARREL

W KINACH OD 23 CZERWCA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl fef7fb23da

Jerzy Domański

Turyści bez kapitana

Wydawało się, że aż do październikowych wyborów będziemy mieli głowy zajęte kampanią, politykami i sondażami. A tu proszę, jaka niespodzianka. Na progu lata te tematy zepchnęła na bok niefortunna wycieczka naszych piłkarzy do Mołdawii. O klęsce reprezentacji mówią wszyscy. Nawet ludzie, którzy na co dzień nie za bardzo interesują się piłką. I ci, którzy nie potrafią wskazać Mołdawii na mapie. Słowa o kompromitacji, wstydzie i blamażu najlepiej opisują grę naszych piłkarzy w Kiszyniowie.

Jak tam było, widzieliśmy. Ale dlaczego doszło do tej trudno zrozumiałej klęski? Łatwiej ją pojąć, gdy popatrzymy na polską piłkę w szerszym kontekście i na błędy popełnione przed meczem. Na to, że rozgrywanie meczu z Niemcami trzy dni przed spotkaniem o punkty jest niefortunne, i mocno mu komplikuje przygotowania, zwracał uwagę trener Fernando Santos. Nie rozdzierał koszuli, bo jest pracownikiem PZPN, ale warto go było posłuchać. Trenera z tak ogromnym doświadczeniem trzeba traktować kompleksowo i czerpać z jego wiedzy o piłce.

Odpowiedzialność za połączenie tych dwóch meczów ponosi prezes PZPN Cezary Kulesza. Mogę przypuszczać, że chodziło głównie o wpływy z biletów. Sam mecz tylko uśpił piłkarzy, którzy mogli pomyśleć, że wrota fortuny będą przed nimi zawsze szeroko otwarte. Niestety, wygrana z Niemcami była początkiem katastrofy.

Pożegnanie Błaszczykowskiego z reprezentacją można było zorganizować mądrzej i w lepszym terminie. Pamiętam, jak Lewandowski wymusił na trenerze Nawałce opaskę kapitana i zastąpił właśnie Błaszczykowskiego. Bez sensu. Bo sam nie ma żadnej z cech lidera. Jego długi staż w roli kapitana nijak się ma do zbudowania z reprezentacji prawdziwej drużyny. Próbował to robić Glik. A Lewandowski? Miał pretensje do wszystkich. A największe do kolejnych trenerów reprezentacji, którzy zaciskali zęby i tolerowali jego muchy w nosie. Bez zmiany kapitana nie da się zbudować prawdziwej drużyny z tego piłkarskiego pospolitego ruszenia. Ale kto będzie miał odwagę ruszyć tak popularnego wśród kibiców Lewandowskiego?

Na to, że sam zrezygnuje, nie liczę. I jeszcze jedno. Polityka. Do sportu coraz liczniej trafiają ludzie z ekipy pisowskiej. Opanowali Polski Komitet Olimpijski i Polski Związek Piłki Nożnej. Gołym okiem widać, że nie mają pojęcia o standardach, jakie obowiązują na szczytach światowego sportu.

Bardzo dziękuję za wszystkie dobre słowa
i za wsparcie finansowe.
Proszę o dalsze wpłaty na:
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU"

BĄKOWSKI

PRZEGLĄD także dla **NIEWIDOMYCH i SŁABOWIDZĄCYCH**

Zachęcamy osoby z takim orzeczeniem niepełnosprawności do zarejestrowania się w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto"** i czytania **bezpłatnie** naszego tygodnika.

Bardzo prosimy o poinformowanie bliskich lub sąsiadów o możliwości czytania **PRZEGLĄDU** w tej formie.

Zgłoszenia
na **www.ekiosk.defacto.org.pl**

eprasa.pl fef7fb23da

W NUMERZE

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA
8 **Wojenny kapitalizm**
Kto się bogaci na wojnie i kryzysie

KRAJ
12 **Triki przy urnie**
PiS już zdobyło 10 mandatów więcej
13 **Wybory 2023: które głosy pójdą do piachu?**
– rozmowa z dr. hab. Jackiem Hamanem
15 **Obiecanki cacanki ministra Telusa**
Rolnictwo na skraju zapaści
18 **Trudna decyzja**
Nikt nie ma prawa zmuszać mnie do rodzenia

ZAGRANICA
20 **Twierdzy Niemcy nie będzie**
Pragmatyzm wygrywa z populizmem
24 **Prawo do bycia u siebie**
Głos Aborygenów

OPINIE
28 **Małgorzata Żuber-Zielicz**
Wyborcza matura

HISTORIA
31 **Na ciebie szkoda kulki**
Upowska czystka w Pustomytach
34 **Patriotyzm Mikołajczyka**
Niewygodny przywódca PSL

OBSERWACJE
38 **Ósmy krzyżyk maturzysty**
Co się stało z naszą klasą
48 **Perły w adriatyckiej koronie**
Chorwacja i Czarnogóra

KULTURA
40 **W poszukiwaniu perełek**
– rozmowa z Krystianem Kujdą
44 **Qulturalia**
46 **Z Meksyku do Owczarni**
66 **AREA: Sztuka na parkiecie**

TECHNOLOGIE
52 **Atak na Huawei**
USA przeciw chińskiej technologii

SPORT
56 **Za nami tylko Wyspy Owcze**
Piłka w kryzysie

ZWIERZĘTA
58 **Emblemat**
Poligamiczne bataliony

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Turyści bez kapitana
19 **Jan Widacki**
Megalomania
27 **Roman Kurkiewicz**
Które łodzie toną w ciszy?
43 **Tomasz Jastrun**
Między młotem a kowadłem
45 **Wojciech Kuczok**
Duch czasu wojennego
51 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Brawo, jesteście wspaniali

46
KULTURA

Z MEKSYKU DO OWCZARNI

48
OBSERWACJE

PERŁY W ADRIATYCKIEJ KORONIE
Chorwacja i Czarnogóra

58
ZWIERZĘTA

EMBLEMAT
Poligamiczne bataliony

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl fef7fb23da

Odwilż

ODWILŻ

Z pewnym wzruszeniem przeczytałem tekst „Odwilż" Mieczysława Kochanowskiego (PRZEGLĄD nr 22). Poruszanych w nim wydarzeń nie przeżywałem ze zrozumieniem powagi chwili, bo w 1955 r., kiedy do Warszawy przyjechała młodzież z całego świata, miałem osiem lat. Jednak mnie i moich kolegów bardzo to ekscytowało – mieszkaliśmy w centrum starego Mokotowa, blisko akademików SGGW i SGPiS. Tu aż się roiło od młodych cudzoziemców. Zbieraliśmy od nich autografy w zeszycikach. Po festiwalu młodzieży pozostał jeszcze trwały ślad, a mianowicie szkoła przy ul. Narbutta 65/71, w budowie której pomagali uczestnicy festiwalu. Chodziłem do niej od jej otwarcia we wrześniu 1956 r. do zakończenia nauki w VII klasie, tj. do czerwca 1961 r. Szkoła nosiła imię V Festiwalu Młodzieży i Studentów. Jak na tamte czasy była świetnie wyposażona: miała dwie sale gimnastyczne, a przy nich szatnie z łazienkami, i nawet schron przeciwatomowy pod boiskiem.

Marek Kubacki

Trzecia Droga + i co się za nią kryje?

Liderzy partii PSL-Koalicja Polska i Polska 2050 jakiś czas temu oświadczyli wyborcom, że mają pomysł na trzecią drogę w dążeniu do zwycięstwa w najbliższych wyborach. Przeciwstawiają się – zgubnemu ich zdaniem – podziałowi, czyli tzw. duopolowi PiS-PO. Opracowali nawet dokument ideowy Trzeciej Drogi zatytułowany Przyszłość+. Twierdzą, że są formacją, która szanuje wartości i tradycję chrześcijańską, szanuje naszą kulturę, to, z czego wyrastamy. Sądzić należy, że ich zdaniem oznacza to, że ci inni z opozycyjnej części sceny politycznej nie reprezentują tych wartości.

Zastanawiam się jednak, czy tych połączonych formacji nie zaraził zdradliwy gen PiS wyrażony w charakterystycznym plusie w tytule programu? Czyżby nie było innego sposobu wyrażenia swojej odrębności niż powielanie pisowskiego plusa? A może ten plus to oznaka chęci wspólnego działania właśnie z PiS, aby spełniać swoją dziejową rolę, żeby wahadło po ewentualnej przegranej przez PiS w nadchodzących wyborach nie odchyliło się za bardzo w lewo? Wszak lewicowej myśli boimy się bardziej niż lewica święconej wody.

Piotr Kijewski

Festiwal żenady

FESTIWAL ŻENADY

Wydaje się, że synonimem obciachu Opole nie tyle się stało, ile nim jest, i to od dobrych kilkunastu lat. Tym samym po prostu udało się zachować stabilny poziom. Mam przy tym wrażenie, że co roku dziennikarze przeżywają wielki szok. Oglądają festiwal, przecierają oczy i krzyczą do telewizora: „Boże, cóż to za dno!". A chwilę po festiwalu doznają amnezji i cykl się powtarza.

Bogusz Dawidowicz

•

Opole to folklor polskiej piosenki. Już od dawna następowała degradacja tego festiwalu, a jak do akcji włączył się Jacek Kurski, to obniżył rangę tej imprezy totalnie.

Leszek Błaszczyk

•

Mamy takie gwiazdy, ponieważ śpiewają tylko dlatego, że mają plecy.

Maciek Gołębiowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Hinduscy święci praktykują jogę w Międzynarodowym Dniu Jogi. Guwahati, Assam, Indie, 21 czerwca 2023 r.

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl fef7fb23da

Największym oszustwem rządu Morawieckiego jest podwójna księgowość wydatków państwa. Rząd prowadzi dwie statystki zadłużenia, na użytek krajowy i unijny. Różnica między nimi jest gigantyczna i sięga 322 mld zł.

•

Zoran Milanović, prezydent Chorwacji, podczas wystąpienia w Zagrzebiu powiedział, że zawołanie „Sława Ukrainie" to zawołanie najbardziej radykalnych szowinistów na zachodzie Ukrainy, którzy kolaborowali z nazistami i wymordowali tysiące Żydów i Polaków. „Nie chcę tego słyszeć w Chorwacji", dodał prezydent.

•

Andrzej Duda dołączył do Ilhama Alijewa, prezydenta Azerbejdżanu, i Aleksandra Łukaszenki, prezydenta Białorusi. Okazją do tego było otwarcie igrzysk europejskich w Krakowie. Wcześniej organizowały te zawody Azerbejdżan i Białoruś. Igrzyska w Krakowie i Małopolsce kosztują ponad 2 mld zł. Dla polityków PiS mają być propagandowym wehikułem przed wyborami. Początek był marny, bo **w Krakowie** tak **wygwizdano ministra Sasina**, że nie wiadomo, co mówił.

•

Za rekordowe **47,6 mld euro** wyeksportowano **polską żywność** w 2022 r.

•

W rankingu wydziałów prawa 2023 „Rzeczpospolitej" wśród uczelni publicznych wygrał Uniwersytet Jagielloński przed uniwersytetami Warszawskim i Wrocławskim. Wśród uczelni niepublicznych najlepsza jest Akademia Leona Koźmińskiego, a trzecie miejsce zajęła Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego ex aequo z Uniwersytetem Humanistyczno-społecznym. **Prof. Janowi Widackiemu, dziekanowi Wydziału Prawa, Administracji i Stosunków Międzynarodowych Krakowskiej Akademii, serdecznie gratulujemy.**

•

Marian Turski został wyróżniony medalem **„Za mądrość obywatelską"**, przyznawanym przez kapitułę **miesięcznika „Kraków i Świat".**

•

Rekordy nieudolności, partactwa i niedotrzymywania terminów biją prace wokół dworca PKP Warszawa Zachodnia. Spółka PKP Polskie Linie Kolejowe od lat wydaje miliardy złotych i od lat życie pasażerów jest koszmarem. Parasol nad tym bałaganem trzymają premier Morawiecki i ministrowie z rządu PiS.

•

Taras Kaczka, ukraiński minister gospodarki, oskarżył Polskę na konferencji Międzynarodowej Rady Zbożowej w Londynie o łamanie reguł Światowej Organizacji Handlu (WTO) w związku z dopłatami dla polskich rolników.

•

Na koniec 2022 r. liczba pracujących emerytów wyniosła 826 tys. i była większa o 52% od liczby pracujących emerytów na koniec 2011 r. **(„Polityka").**

•

Za rekordową cenę **4,3 mln zł** sprzedano na aukcji w Desie Unicum **obraz „Wieczór letni" Józefa Chełmońskiego.**

•

Trwa rewolucja obyczajowa. **Ubywa zawieranych małżeństw**, w 2022 r. było ich 155,6 tys., **a przybywa par żyjących w związkach nieformalnych** (553 tys.).

PRZEBŁYSKI

Bajki o Daukszewiczu

Przez lata był to program bardzo popularny, chętnie, mimo późnej pory, oglądany przez widzów TVN 24. Co ich przyciągało do „Szkła kontaktowego"? Silna ekipa współprowadzących. Ale gdy w maju przed wejściem na antenę dziennikarza Piotra Jaconia Krzysztof Daukszewicz zapytał: „To jakiej on jest dzisiaj płci?", zrobiła się afera, bo Jacoń ma córkę transpłciową. Gdy TVN pozbyła się Daukszewicza, z programu zrezygnowali też Artur Andrus i Robert Górski.

Daukszewicz wyjaśnił, że z programu odszedł, bo proponowano mu, by pojawiał się w nim tak jak Jerzy Iwaszkiewicz z „Uszanowaniem Państwu". A nawiązując do hejtu i bajek na jego temat, „szczególne ukłony śle pani prof. Magdalenie Środzie i pani red. Renacie Kim, życząc obu paniom dalszych udanych fantazji na mój temat". Widać, że Daukszewiczowi forma satyryczna wróciła.

Kulasek pod butem Kłeczka

„Proszę mi nie przerywać". „Tylko grzeczniej proszę". „Czy pan chce mówić cały czas?". „Pan nie może mówić, kiedy chce". „Pan spokojnie siedzi i czeka".

Kogoż tak niemiłosiernie poniewierano? Marcina Kulaska, prawą rękę i byłego kierowcę Czarzastego. W programie „Woronicza 17", w niedzielę 18 czerwca. Sekretarzem generalnym Nowej Lewicy, który był gościem tego widowiska, podłogę wycierał udający dziennikarza Miłosz Kłeczek. Kłeczek tak już ma. Jak trafi na ofiarę, która nie potrafi się odwinąć, to nie ma zahamowań. Kulasek był dla niego wymarzonym obiektem ćwiczebnym.

Potocki puka

Jeśli usłyszycie, że ktoś znowu puka spod dna, z pewnością będzie to on. Andrzej Rafał Potocki z tygodnika „Sieci". Fanatyczny wielbiciel ukraińskich snajperów, którzy podobno zabijają Rosjan z odległości 2710 m. Mają z czego walić. Bo jak donosi Potocki, korzystają z brytyjskich Barrett M82A1 i Accuracy International-AXMC. I polskich karabinów wyborowych Tor (WKW Wilk). Potocki w oczekiwaniu na kolejne rekordy snajperów zachwycił się rozwaleniem Igora Horneta z Ługańskiej Republiki Ludowej. Gdy minister poszedł do fryzjera w Ługańsku, ładunek wybuchowy zmiótł go z powierzchni. Zakład z załogą też wyleciał w powietrze. Ale tego, że zginęli przypadkowi ludzie, Potocki już nie ogarnia.

Chorzów walczy o zielone

Jak się obronić przed głupotą wojewody śląskiego Jarosława Wieczorka, który popiera plany firmy JK Technology z Bytomia? Prezydent Chorzowa Andrzej Kotala i rada miasta, z wyjątkiem dwójki radnych z PiS, Bernadety Biskup i Grzegorza Krzaka, protestują przeciwko pracom rozbiórkowym na nasypie kolejowym na terenie Zespołu Przyrodniczo-Krajobrazowego Żabie Doły.

Rozwalanie terenu zielonego w takim mieście jak Chorzów tylko po to, by ktoś odzyskał trochę kruszywa, jest głupotą. I gangsterką. Zobaczymy, co z tymi protestami zrobią szef wojewody Wieczorka premier Morawiecki i Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska.

FOT. YOUTOUBE

eprasa.pl fef7fb23da

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

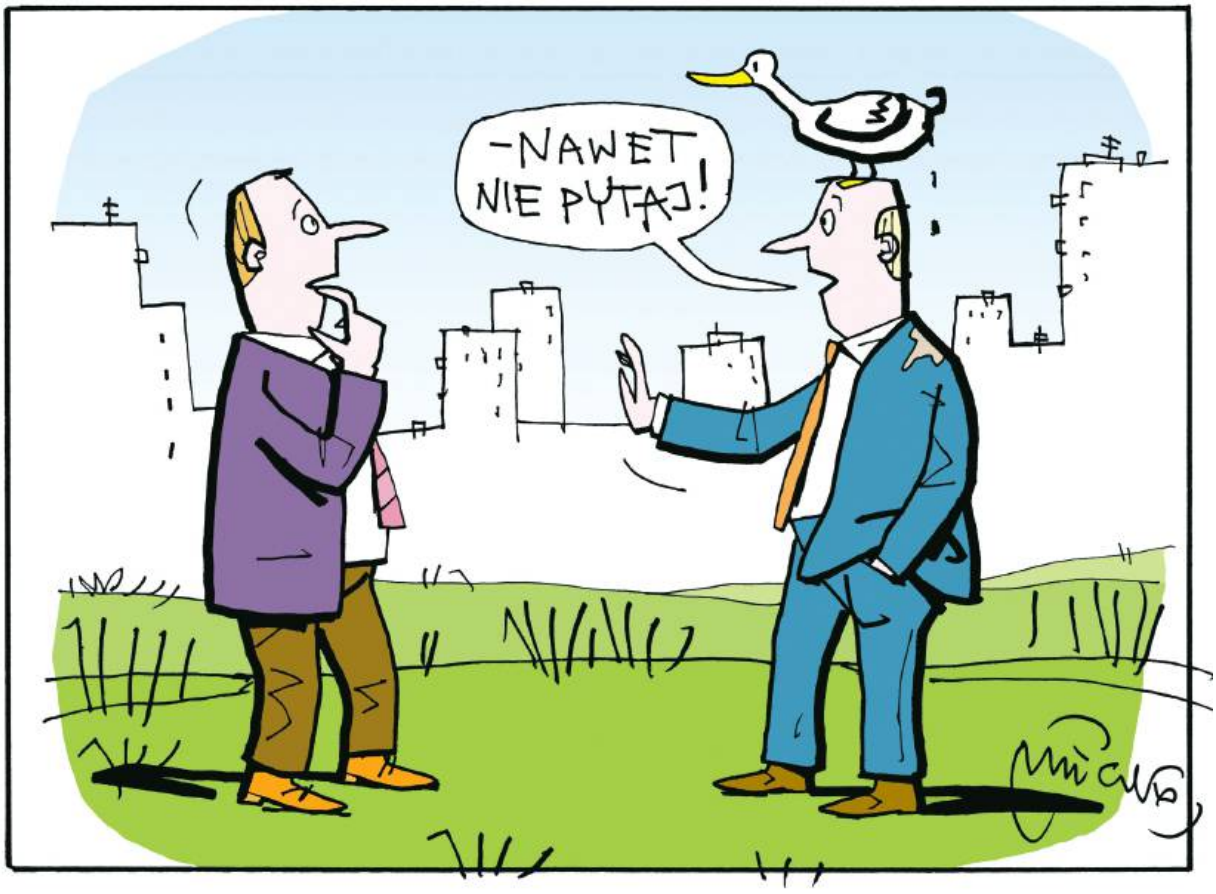

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Działka, wnuki… Na czym polega szczęśliwa emerytura?

ZOFIA NICZKE,
założycielka i prezeska Fundacji Emeryt

Szczęśliwa emerytura polega na jej wcześniejszym zaplanowaniu. Trzeba w tych planach znaleźć miejsce na realizację swoich marzeń. Każdy plan z czasem się udoskonala, o czym warto pamiętać. Emerytura to miejsce na rozwój, dlatego warto postawić na siebie. Obecnie seniorzy żyją w epoce szybkiego rozwoju technologii, dlatego trzeba się edukować. Nauka i aktywność są na emeryturze bardzo ważne – nie można odcinać się od otaczającego nas świata i popadać w stagnację. Emerytura jest też czasem dla rodziny. Polska jest pięknym krajem, dlatego cudownie jest spędzać dni na łonie natury. Dobrze mieć własną działkę, gdzie można odetchnąć. Czas spędzany z wnukami i bliskimi daje szczęście, jednak niezależnie od wieku zawsze trzeba być trochę egoistą i dbać o swoje potrzeby.

DR HAB. PIOTR SZUKALSKI,
demograf i gerontolog, UŁ

Dla jednego szczęśliwa emerytura jest tożsama z brakiem problemów finansowych. Dla drugiego głównym czynnikiem będzie dobry stan zdrowia i fizyczna sprawność. Jeszcze inna osoba będzie mówiła o możliwości wykorzystania wolnego do realizowania planów, na które wcześniej brakowało czasu. Jednak dopiero gdy połączymy przynajmniej te trzy wymiary, czyli finansowy, zdrowotny i towarzyski, będzie można mówić o udanym przebywaniu na emeryturze. Warto też zauważyć, że wraz z wiekiem następują pewne ograniczenia sprawności, co wiąże się ze wzrostem wydatków zdrowotnych. Jednak zmniejszają się bytowe potrzeby finansowe. Dla wielu osób warunkiem udanej starości jest zaś niezależność finansowa dzieci i wnuków.

DR WOJCIECH NAGEL,
ekspert BCC ds. ubezpieczeń społecznych

To zależy od wielu czynników. Jak wysokie były zarobki, czy emerytura jest wieloźródłowa, czy tylko z systemu publicznego (FUS). Nie wszyscy Polacy mogli oszczędzać podczas aktywności zawodowej. Dopiero w 1999 r. została wprowadzona reforma emerytalna, która stworzyła dodatkowe możliwości gromadzenia własnych środków – Pracownicze Programy Emerytalne. Ten filar niestety się nie rozwinął, finalnie objął ok. 600 tys. osób. Ukonstytuowała się też wtedy zasada zdefiniowanej składki – ile odłożysz, tyle otrzymasz w świadczeniu. Osoby, które przechodziły na emeryturę przed 1999 r., były w systemie zdefiniowanego świadczenia, w którym każdy dostawał mniej więcej taką samą kwotę emerytury. Statystyki z ostatnich lat pokazują, że ludzie gromadzą dodatkowe środki poza składkami emerytalnymi. To obecnie ponad 2,5 mln osób w PPK i kolejne 1,5 mln osób w IKZE i IKE. Ale to wciąż za mało. W dodatkowym zabezpieczeniu emerytalnym powinno funkcjonować – wzorem krajów rozwiniętych – co najmniej 50% osób aktywnych zawodowo.

Rozmawiał Kornel Warzyniak

eprasa.pl fef7fb23da

WOJENNY KAPITALIZM

Na wojnie, kryzysie i sankcjach bogacą się banki, koncerny zbrojeniowe, spekulanci na rynku żywności i surowców, globalni eksporterzy energii

Jakub Dymek

W londyńskim Muzeum Wiktorii i Alberta znajduje się kilka obiektów, które może nie są magnesem dla turystów, ale z pewnością przyciągną oko i sprowokują do refleksji uważniejszych obserwatorów. W jednej z gablot znajdziemy bowiem nie wiktoriańskie portrety albo kolonialne trofea, ale zdjęcia zwykłych dziewczyn w uniformach. Na przykład szpitalnym kombinezonie albo kurtce z charakterystycznym znakiem graficznym londyńskiego metra. Wszystkie te zdjęcia pochodzą z okładek pisma modowego „Vogue", a łączy je hasło: „Nowa linia frontu". To zdjęcia bohaterek nowej rzeczywistości: pielęgniarki, kurierki, motorniczej. Zdjęcia pielęgniarek czy kurierek albo sprzedawczyń opowiadają nam oczywiście o czasach pandemii, gdy to wojna z wirusem była najważniejszym światowym konfliktem, a „na froncie" walczyły owe dziewczyny ze zdjęć.

Jednak dziś marzenia o tym, że społeczeństwa Zachodu dofinansują ochronę zdrowia i opiekę, a w centrum gospodarki postawione zostaną usługi publiczne, naprawdę nadają się już niestety tylko do muzeum. Światowy kapitalizm i zachodnie społeczeństwa dobrobytu nie przeżyły pandemicznego katharsis. Wczorajsze spekulacje o tym, czy zbudujemy gospodarkę opartą na nowoczesnej medycynie i opiece, błyskawicznie zostały zastąpione scenariuszami budowy gospodarki na czas rywalizacji wielkich mocarstw. Gdy odegnaliśmy od siebie wirusa, zaczęła się prawdziwa – nie metaforyczna – wojna. A o dofinansowaniu szpitali, podniesieniu znaczenia pracowników kluczowych branż czy opiekuńczej rewolucji w usługach publicznych wszyscy zapomnieli.

Dziś chcemy płacić nie na szpitale, lecz na armię i globalne koncerny zbrojeniowe. Bohaterami zbiorowej wyobraźni są nie pielęgniarki i motornicze, lecz wojskowi influencerzy, prezydenci Zełenski i Biden oraz wszystko, co w danym momencie promuje propaganda czasów wojny. Metafory „linii frontu" i „wojny z wirusem" szybko ustąpiły prawdziwej wojennej mobilizacji.

Pandemiczny kapitalizm stanu wyjątkowego ustąpił kapitalizmowi wojennemu. Światowy porządek ma niebywałą zdolność – po każdym z kryzysów niby wymyśla się na nowo, a tak naprawdę wraca w stare koleiny.

Kto zarabia: lista (prawie) kompletna

Pomimo wszystkich innowacji i rewolucji technologicznych kapitalizm wojenny XXI w. nie różni się zasadniczo od tego z poprzedniego stulecia. Tak jak inwazja Putina obaliła teorię, że współczesne wojny będą toczyć się przede wszystkim w cyberprzestrzeni, przy użyciu bezzałogowych dronów i „inteligentnych" rakiet, tak zawirowania gospodarcze ostatniego roku obaliły twierdzenia o tym, że żyjemy w jakiejś zupełnie nowej, cyfrowej fazie kapitalizmu. Wystarczy rzut oka na branże i firmy, które bogacą się na wojnie, kryzysie i sankcjach: banki, koncerny zbrojeniowe, spekulanci na rynku żywności i surowców, globalni eksporterzy energii. Nie ma na tej liście zbyt wielu firm XXI w., za to uderza, jak nadal mocno trzyma się wielki przemysł rodem z poprzedniego stulecia. Ale stulecia XX i XXI różnią się w innym aspekcie: tym, jak szeroki strumień wojennych zysków płynie do sektora prywatnego.

Żeby nie być gołosłownym, zanim przyjrzymy się mechanizmom kapitalizmu czasów wojny i konfrontacji wielkich mocarstw, rzućmy okiem na zyski tych branż.

Banki. W 2022 r. rentowność banków odbiła się na poziom nie – widziany od 14 lat – czyli od kryzysu 2008 r. – i według prognoz sięgnie 11,5-12,5%. Tak szacowali w swoim dorocznym raporcie analitycy firmy doradczej McKinsey. Wyniki za pierwszy kwartał 2023 r. zdają się potwierdzać ich prognozy. Jak pisze „Financial Times", sektor bankowy w USA zarobił na czysto 80 mld dol. tylko w pierwszym kwartale tego roku i to pomimo kłopotów i upadłości niemałych instytucji finansowych. W Polsce jest podobnie: nie brakuje banków, które po trzech miesiącach roku mogą pochwalić się od 900 mln zł (ING) po ponad 1,2 mld zł zysku (Santander i Pekao SA). Wszystko to między innymi dzięki

Zyski wielkiej szóstki paliwowej: Shella, BP, Equinora, Total, Exxon Mobil i Chevronu wyniosły w 2022 r. ponad 200 mld dol. – to więcej niż pomoc przekazana Ukrainie.

eprasa.pl fef7fb23da

Inwazja Putina obaliła teorię, że współczesne wojny będą toczyć się przede wszystkim w cyberprzestrzeni.

polityce podnoszenia stóp procentowych, które gwarantują bankom wyższe odsetki. Ale wielkie publiczne programy inwestycyjne – czy dopłaty do budowy infrastruktury, jak w USA, czy kredytów mieszkaniowych, jak w Polsce – pokazują, że także działające w realiach wojennej mobilizacji państwo pomaga nakręcać bankierom dobry interes.

Energetyka. Tu dopiero jest hossa. Przyśpieszone odejście od rosyjskich surowców przez Zachód wywindowało w górę ceny dla europejskiego (i do pewnego stopnia amerykańskiego) konsumenta, a radykalnie obniżyło cenę rosyjskiej ropy, którą z upodobnianiem kupują teraz Chińczycy, Hindusi, a nawet Arabowie. Na zamieszaniu zyskali wszyscy wielcy gracze – choć zapłacił za to europejski podatnik i konsument. Zyski wielkiej szóstki paliwowej: Shella, BP, Equinora, Total, Exxon Mobil i Chevronu wyniosły w 2022 r. ponad 200 mld dol. Dla zrozumienia skali: to więcej niż suma pomocy zbrojeniowej, humanitarnej i finansowej przekazanej w tym samym roku Ukrainie przez wszystkie największe państwa Zachodu i UE razem wzięte. Cynik powiedziałby, że z punktu widzenia wielkich koncernów energetycznych najlepiej by było, by wojna w Ukrainie trwała w nieskończoność – skoro wydatki ponoszone na pomoc Ukrainie zwracają się po dwakroć, a akcjonariusze zobaczą w tym roku na swoich kontach hojne dywidendy.

marżach była dla koncernu z Płocka bardzo korzystna. Zapytany o to, dlaczego nie zrywamy kontraktów z Rosjanami, Obajtek odpowiedział: „dla dobra Orlenu i dla dobra Polaków". Miniony rok był bez wątpienia dobry dla Orlenu, bo firma zarobiła na czysto ponad 33 mld zł, z czego 6,4 mld trafi na wypłatę najhojniejszej dywidendy dla akcjonariuszy w historii koncernu.

Już ponad połowa państw autorytarnych na świecie zaopatruje się w broń made in USA.

I to także nie tylko w USA czy Wielkiej Brytanii. Polski Orlen również miał prawdziwe złote żniwa. Jeśli chodzi o deklaracje, polski rząd chwali się błyskawicznym uniezależnieniem krajowej energetyki od rosyjskiego surowca. Jednak w praktyce, co przyznaje nawet sam prezes Orlenu Daniel Obajtek, możliwość przerabiania przecenionej ropy z Rosji przy jednoczesnych wysokich

Sektor zbrojeniowy. Oczywiście ma się świetnie. Jeśli ktoś – nomen omen – „uzbroił się" w akcje jednego z globalnych koncernów zbrojeniowych na przełomie 2021 i 2022 r., zrobił całkiem dobrą inwestycję, z której może już liczyć na kilkanaście lub kilkadziesiąt procent zwrotu. Koncerny takie jak Northrop Grumman (+18% od grudnia 2021 r.), Lockheed Martin (+34%)

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl fef7fb23da

czy Raytheon (+20%) nie mogą narzekać. Jednak wyniki giełdowe samych firm nie odzwierciedlają skali gorączki zakupowej, na jakiej dziś bogaci się przemysł zbrojeniowy. Według informacji samego Departamentu Stanu suma kontraktów zbrojeniowych skoczyła w 2022 r. o niemal 50% w porównaniu z rokiem poprzednim i wyniosła 205 mld dol. – skok o 70 mld w porównaniu z rokiem poprzednim. Jak policzył ekspert think tanku SPRI Stephen Semler, administracja Bidena pobiła zatem – nawet uwzględniając inflację – wszystkie poprzednie rekordy. Ale – jak zaznacza – wpływ wojny w Ukrainie na nowe zamówienia nie jest do końca ujmowany w tych statystykach, ponieważ kontrakty na uzupełnienie broni przekazanej Ukrainie będą finansowane z co najmniej dwóch źródeł budżetowych i nie liczą się do statystyk eksportowanej broni. Co ciekawe, dziś USA na fali wojny Putina sprzedają broń w większych ilościach nie tylko zachodnim demokracjom, ale i reżimom autorytarnym. Semler w niedawnym tekście dla portalu Intercept szacował, że już ponad połowa państw autorytarnych na świecie zaopatruje się w broń made in USA.

Na wojnie zarabia zresztą nie tylko przemysł zbrojeniowy USA, ale także krajów, które do samego konfliktu mają stosunek raczej ambiwalentny. Jak pisze „Times of Israel", w 2022 r. udało się pobić poprzedni, zeszłoroczny rekord i sprzedać broń za 12,5 mld dol. Eksperci komentują, że wojna w Ukrainie i wzrost zapotrzebowania na drony znacząco przełożyły się na popyt – sprzedaż bezzałogowych statków powietrznych przyniosła czterokrotnie więcej pieniędzy niż eksport słynnych izraelskich pegasusów, czyli oprogramowania szpiegowskiego i systemów elektronicznego nadzoru. Tureckie media chwalą się, że podobny wzrost zainteresowania swoim uzbrojeniem notują producenci znad Bosforu, a wart prawie 4,5 mld dol. eksport broni zbliża Turcję do pierwszej dziesiątki światowych eksporterów.

Surowce i żywność. Powyższa lista i tak nie jest kompletna, bo należałoby wspomnieć chociażby o handlu surowcami, minerałami i żywnością, na których fortunę robią firmy niemal kompletnie anonimowe dla zwykłego obywatela. Bo komu mówią coś nazwy takie jak Trafigura czy Glencore? Handlarze surowców lubią ciszę (o czym pisali w wydanej niedawno w Polsce książce „Świat na sprzedaż" Javier Blas i Jack Farchy), więc mało kto wie, że i ich zyski skoczyły w 2022 r. o kilkaset procent. Podobnie sprawa ma się z ukraińskimi agrooligarchami, o których pisze w niedawnym numerze „Dziennika Gazety Prawnej" Remigiusz Falkowski. Miejscowi posiadacze wielkich połaci ziemi, magazynów i spółek z sektora spożywczego stracili na wojnie, a teraz boją się, że stracą na konflikcie zbożowym z Polską i krajami regionu. Dlatego Kijów rozpoczął właśnie ostrą walkę lobbingową w Brukseli o lepsze warunki dla swojego eksportu do Unii Europejskiej – nawet kosztem pogorszenia stosunków z Polską czy innymi sąsiadami. Ukraina walczy, by jej producenci mogli odrobić swoje straty, eksportując na Zachód i czasowo korzystając z przywilejów jednolitego europejskiego rynku, niekoniecznie wypełniając wszystkie unijne wymogi.

Jednak choć początkowo agrooligarchowie stracili, to jednak na szokującym skoku cen żywności w 2022 r. ktoś musiał zarobić (podobnie jak ktoś wzbogacił się na kryzysie zbożowym w Polsce), bo spekulacja trwała w najlepsze. Choć nie był to temat szczególnie głośny w Polsce, to pod koniec 2022 r. zjawisku spekulacji na rynkach żywności przyglądały się Unia, agencje ONZ i ekonomiści badający wpływ cen żywności na uporczywość inflacji. Posłowie do Parlamentu Europejskiego z grup Lewicy i Zielonych domagali się zaś odpowiedzi od Komisji o podejmowane w tej sprawie działania.

Europa – transformacja czy marginalizacja?

Gdyby jednak współczesny wojenny kapitalizm nie różnił się niczym od tego z XX w., nie byłoby tematu. Jednak to, że na wojnie zarabiają dziś te same branże, co zawsze, nie oznacza jeszcze, że w XXI w. nie zaszła żadna innowacja względem wojen poprzednich stuleci. Tą nowością jest skala prywatyzacji. I nie chodzi nawet dokładnie o to samo, co zarzucano USA i administracji George'a Busha po inwazji na Irak. Wtedy bowiem szło o to, że inwazja dała pretekst do oddania zarówno kolejnych dziedzin prowadzenia wojny, jak i później sterowania irackim państwem oraz gospodarką, w ręce prywatnych podmiotów i wojskowych kontraktorów. Którzy zarobili, co jasne, olbrzymie pieniądze – szacunki po 20 latach od inwazji mówią o nawet 155 mld dol., jakie poszły w prywatne ręce.

Dziś oczywiście również działa podobny mechanizm – najróżniejsi pośrednicy, agencje PR, lobbyści i korporacje korzystają przecież i na prywatyzacji w Ukrainie. Ale zmiana jest szersza. Dziś – jak opisywałem to również na tych łamach w marcu (PRZEGLĄD 10/2023) – mówimy tak naprawdę o systemowym, globalnym transferze pieniędzy z kieszeni podatników i budżetów państw do

Na wojnie zarabiają dziś te same branże, co zawsze. Nowością jest skala prywatyzacji.

Europa nie buduje własnego bezpieczeństwa, energetyki i przemysłu, lecz kupuje je od USA (zbrojenia), Arabii Saudyjskiej i Kataru (energia) oraz Chin (artykuły konsumpcyjne, technologia i motoryzacja).

eprasa.pl fef7fb23da

sektora prywatnego: koncernów energetycznych, sektora zbrojeniowego i banków. Jak to działa? Otóż dziś, aby sfinansować wydatki związane z wymogami przyśpieszonej transformacji energetycznej, większych zakupów zbrojeniowych i produkcji na czas wojny, państwa Zachodu nie przechodzą w tryb prawdziwej gospodarki wojennej, lecz po prostu finansują te zobowiązania z długu. Jest to możliwe dzięki temu, że po pandemii i tak upadło wiele tabu dotyczących zadłużenia publicznego. A niemalejące zapotrzebowanie na dolara pozwala USA zwiększać deficyt przy jednoczesnym zwiększaniu budżetu na zbrojenia, inwestycje i ochronę własnych obywateli przed skutkami kryzysu energetycznego.

Podobnie oczywiście robi Europa. Różnica między USA i UE jest jednak taka, że w wyniku wojny Ameryka odbije sobie jej koszt dzięki rosnącemu zapotrzebowaniu na energię eksportowaną przez USA i amerykańskie uzbrojenie. Co zresztą już się dzieje. W Europie zaś przeciwnie, może z wyjątkiem Norwegii czy w pewnym ograniczonym sensie również Polski, wojna dokłada się do wzrostu cen i kosztów życia, ale niekoniecznie przynosi cokolwiek poza zwiększonymi wydatkami. Norwegia zarabia na eksporcie energii, polskie wpływy z VAT (oraz zyski banków i deweloperów) pęcznieją dzięki uchodźcom z Ukrainy. Ale w większości państw UE nikt nie widzi pozytywnych skutków gospodarczych wojny, a już na pewno nie takich, jakie osiągają Stany Zjednoczone. Z tego zresztą powodu już w listopadzie niektórzy unijni komisarze, jak Francuz Thierry Breton czy szef unijnej dyplomacji Josep Borrell, oskarżali USA o dorabianie się na wojnie i wykorzystywanie kryzysu do wzmocnienia swojego przemysłu kosztem Europy.

Mechanizm działania tego wojennego kapitalizmu jest więc następujący. Państwa, chcąc sfinansować choćby odejście od rosyjskiej energii, złagodzić szoki cenowe dla miejscowego przemysłu i obywateli albo po prostu zwiększyć zbrojenia, wykładają na stół imponujące, niewyobrażalne wręcz dla zwykłego człowieka sumy pieniędzy. Międzynarodowa Agencja Energii (IEA) mówi na przykład, że suma dopłat do wydobycia i konsumpcji paliw kopalnych oraz elektryczności w 2022 r. wyniesie ponad 1 bln dol., a kwoty subsydiów przeznaczonych na obniżenie rachunków dla konsumentów wyniosą ponad 500 mld dol. w gospodarkach rozwiniętych, a z tego 350 mld w samej Unii. W zeszłym roku, według brukselskiego instytutu badawczego Breugel, państwa Europy zapisały w budżetach na łagodzenie skutków kryzysu energetycznego oszałamiające 768 mld euro. Do tego należy doliczyć kolejne kilkadziesiąt (jeśli nie ponad sto) miliardów w samych nowych kontraktach zbrojeniowych podpisanych w tym roku przez kraje NATO.

Czy wojenny kapitalizm sprowadzi Europę do poziomu postindustrialnej pustyni, gdzie niczego się nie produkuje, a wszystko importuje z zewnątrz?

Państwa więc tak naprawdę biorą na siebie podwyżki cen i koszt kryzysu – pieniądze z długu trafiają jednak nie do krajowej gospodarki pod postacią nowych fabryk broni czy elektrowni, ale bezpośrednio do zagranicznych dostawców energii i uzbrojenia (a także do banków, które zarabiają na obligacjach skarbowych i wyższych odsetkach od długu). Oczywiście można się spierać o sens takiego projektu: z jednej strony, chodzi przecież o ochronę stylu życia, wolności i portfeli zwykłych konsumentów. Nikt nie chce fundować ludziom większych wyrzeczeń niż te, które już są podejmowane. Z drugiej, można zapytać, czy ten wojenny kapitalizm nie jest także pożyczką opłaconą kosztem zdrowia i jakości życia kolejnych pokoleń, które odczują niedoinwestowanie ochrony zdrowia i usług publicznych oraz skutki dalszego transferu pieniędzy poza granice krajów. Dziś bowiem Europa – w przeciwieństwie do lat po II wojnie światowej – nie buduje własnego bezpieczeństwa, energetyki i przemysłu, lecz całkiem dosłownie kupuje je sobie od USA (zbrojenia), Arabii Saudyjskiej i Kataru (energia) oraz Chin (artykuły konsumpcyjne, technologia i w coraz większym stopniu motoryzacja).

I tu wracamy do tego, od czego zaczęliśmy. Kto pamięta o tym, że to walka o zdrowie i sprawne państwo miała być nową linią frontu? Pandemia przyniosła przez chwilę nadzieję, że państwa Zachodu dokonają swoistego zwrotu opiekuńczego, a nowy wielki dług i odwaga inwestowania publicznych pieniędzy przełożą się na poprawę zdrowia, jakości życia i funkcjonowania państwa. Dziś ten sam impet i rozmach służy innemu projektowi, który także dotyczy bezpieczeństwa, ale w dużo bardziej dosłownym wymiarze. Nikt też na razie nie wie, gdzie nas zaprowadzi – czy za 10 albo 15 lat będziemy dumni z osiągnięć energetycznej i militarnej transformacji świata zachodniego, czy przeciwnie – wojenne wzmożenie początku trzeciej dekady XXI w. będzie powszechnie uznawane za największy krok w kierunku marginalizacji Europy. I skończy się skazaniem jej na rolę wasala i klienta w największych zmaganiach przyszłości. Czy ów wojenny kapitalizm zbuduje w Europie dynamiczny rozwój, czy raczej – jak straszą niektórzy – sprowadzi ją do poziomu postindustrialnej pustyni, gdzie niczego się nie produkuje, a wszystko importuje z zewnątrz i modli o cudzą łaskawość?

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fef7fb23da

Triki przy urnie

Wybory 2023: PiS zdobywa 10 mandatów więcej, nie kiwając palcem

Robert Walenciak

To będą najważniejsze wybory od roku 1989 – powtarzają spin doktorzy PiS. – Bo one zadecydują, czy system się domknie, czy nie.

Mają rację. Dlatego Prawo i Sprawiedliwość przygotowuje się do nich szczególnie. I jednym z takich elementów jest obowiązujący Kodeks wyborczy. PiS ułożyło go według najlepszych zasad manipulacji wyborczej. Tak żeby wzmocnić wagę głosów grup i regionów, gdzie ma największe poparcie, i maksymalnie osłabić głos tych, którzy sprzyjają opozycji. To się udało.

Takimi działaniami PiS zapewniło sobie dodatkową pulę mandatów w Sejmie i Senacie. Jak dużą? Dokładnie wyliczyć tego się nie da, mówimy przecież o przyszłości, ale można zaryzykować tezę, że partia Kaczyńskiego zdobędzie w ten sposób ponad 10 mandatów więcej. Tych 10 mandatów może zadecydować o wyborczym zwycięstwie i o przyszłości Polski.

A o jakie działania konkretnie chodzi?

1. O zmniejszenie wagi głosów wyborców opozycji.

Tę operację przeprowadzono w sposób niezwykle prosty. Państwowa Komisja Wyborcza w październiku 2022 r. wysłała do marszałek Sejmu Elżbiety Witek pismo informujące, że w wyniku zmian demograficznych w Polsce trzeba na nowo ustalić liczbę mandatów w 21 okręgach wyborczych. W 11 okręgach (przeważnie rolniczych) trzeba było odebrać po jednym mandacie, w 10 – dodać (w jednym, Warszawie II, nawet dwa). Gdyby tak się stało, to przy rozkładzie głosów identycznym jak w roku 2019 opozycja zyskałaby trzy mandaty, a PiS tyle samo by straciło.

Elżbieta Witek skierowała pismo PKW do sejmowej Komisji Nadzwyczajnej, w której procedowane są sprawy Kodeksu wyborczego. I tam sprawa utknęła. Co istotne, opozycja ma w niej dwójkę wiceprzewodniczących – Borysa Budkę i Barbarę Dolniak. Chyba niepotrzebnie, bo ani Budka, ani Dolniak nie dali choćby znaku, że sprawą korekty demograficznej się zainteresowali. Albo za sprawą lenistwa lub niefrasobliwości temat odpuścili.

2. O zmniejszenie wagi głosów wyborców z zagranicy.

Wyborców głosujących za granicą jest coraz więcej (w 2019 r. było ich 316 tys.) i głosują oni raczej na przeciwników PiS. W wyborach prezydenckich za granicą w II turze stosunek głosów Trzaskowski-Duda wynosił 75-25. Nie dziwmy się więc, że w znowelizowanym Kodeksie wyborczym PiS mocno tę grupę przycięło. Po pierwsze, zlikwidowano głosowanie korespondencyjne, dzięki któremu Polacy mieszkający czasami setki kilometrów od lokali wyborczych, mogli oddawać głosy. To wielka grupa – w II turze wyborów prezydenckich na 530 tys. głosów oddanych za granicą, trzy czwarte to były głosy oddane pocztą. Teraz to znika, więc wiadomo, że frekwencja wyborcza za granicą będzie dużo niższa. Po drugie, wprowadzono zasadę, że komisje muszą przeliczyć głosy w ciągu 24 godzin. Jeśli to im się nie uda – wszystkie głosy oddane w danej komisji zostaną uznane za nieważne. Kto pamięta kolejki przed lokalami wyborczymi w Wielkiej Brytanii czy USA, ten wie, jak to się może skończyć. No i wreszcie po trzecie, utrzymano zasadę, że głosy z zagranicy doliczane są do okręgu Warszawa I. Ten okręg, liczący 20 mandatów, powinien (zgodnie z korektą demograficzną) wybierać 21 posłów. A jeżeli dołożymy głosy z zagranicy – to sześciu, siedmiu, a może i ośmiu posłów więcej. Znając preferencje wyborcze Polaków głosujących za granicą, możemy zakładać, że te mandaty dzielone byłyby w stosunku 4:2 lub 5:2 na korzyść opozycji. Tak jednak nie będzie. Opozycja zamiast zyskać trzy dodatkowe mandaty (5 – 2 = 3), będzie musiała obejść się smakiem.

W wyniku zmian demograficznych trzeba na nowo ustalić liczbę mandatów w 21 okręgach wyborczych.

3. O zwiększenie frekwencji w regionach przychylnych PiS

W wyborach w 2019 r. frekwencja wyborcza w gminach poniżej 5 tys. mieszkańców wynosiła 54%, a w miastach powyżej 500 tys. – 73%. Zamysł PiS jest więc taki, by frekwencję w małych gminach, gdzie PiS ma największe poparcie, podnieść. Zapewnić ją ma m.in. dowózka do punktów wyborczych, organizowana przez gminę. W wyborach w 2019 r. w miejscowościach do 20 tys. mieszkańców uprawnionych do głosowania było 15 325 tys. wyborców. Głosowało – 8778 tys., co daje frekwencję na poziomie 57%. Gdyby ją podwyższono do poziomu wielkich miast, pojawiłyby się co najmniej dodatkowe 2 mln wyborców. Ta grupa przechyliłaby jeszcze bardziej na korzyść PiS wyborczą szalę i w niektórych okręgach PiS mogłoby liczyć na – ostrożnie licząc – kilka dodatkowych mandatów.

Policzmy – tylko za sprawą manipulacji ordynacją i milczenia opozycji (dziękujemy Borysowi Budce, bardzo w tej sprawie zasłużył się swoją biernością) PiS już przed wyborami może liczyć na ok. 10 mandatów więcej. ■

eprasa.pl fef7fb23da

Wybory 2023: które głosy pójdą do piachu?

W połowie okręgów wyborczych powinna być zmieniona liczba mandatów. Posłowie sprawy nie ruszyli

Rozmawia Robert Walenciak

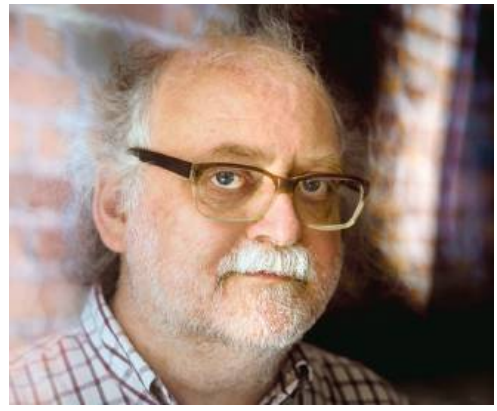

DR HAB. JACEK HAMAN
– socjolog

Czy w Polsce mamy wybory pięcioprzymiotnikowe, tak jak określa to art. 96 Konstytucji RP, czy też nie?

– Zawsze są ideały, które w rzeczywistości są nieosiągalne.

Chodzi o zasadę równości, która jest łamana...

– Z tą równością, faktycznie, rzeczywistość trochę się rozjeżdża... Są normy, które określają, ile powinno być mandatów w okręgu i ilu senatorów w województwie. One są zapisane w Kodeksie wyborczym. A rzeczywistość jest inna.

Na przykład w wyborach 2019 r. w okręgu elbląskim 250 tys. wyborców wybrało ośmiu posłów, a w okręgu Warszawa I prawie 1,4 mln wybrało 20. Głos w Elblągu był dwa razy mocniejszy. Gdyby wybory miały być równe, w okręgu warszawskim powinno być wybieranych dwukrotnie więcej posłów.

– Tak do końca to nie jest. Ponieważ jedną sprawą jest to, ilu w danym okręgu jest mieszkańców, a drugą – ilu z nich głosuje, czyli frekwencja.

Tak jest, frekwencja w województwie warmińsko-mazurskim wynosiła 53%, a w Warszawie 77%, plus głosy z zagranicy. Ale i tak nierówność wagi głosu jest uderzająca.

– Kodeks wyborczy mówi, że liczba mandatów w okręgu ma być proporcjonalna do liczby mieszkańców ustalonej na podstawie danych ewidencji ludności na koniec trzeciego kwartału przed rokiem, w którym mają odbywać się wybory. Państwowa Komisja Wyborcza ma wtedy wskazać, jakie poprawki należy wprowadzić w rozdziale mandatów na okręgi wyborcze. Cóż... PKW pisała w tej sprawie pisma do marszałka Sejmu w roku 2014, w roku 2018 i w roku 2022. Zawsze wskazując, w których okręgach należy przeprowadzić korektę, gdzie trzeba dodać mandat, a gdzie odjąć. I nic.

I jaki jest efekt tego, że nic nie zostało zmienione?

– W tej chwili między 21 okręgami powinno być przesuniętych 11 mandatów. To efekt zmian demograficznych. To jest ruch ze wsi do miast, ale również ruch z dużych miast na przedmieścia.

Zmiana powinna dotyczyć 21 okręgów na 41, które mamy w Polsce. Przeliczyłem, jak zmieniłaby się liczba mandatów, przyjmując wyniki z roku 2019. Opozycja miałaby o trzy mandaty więcej.

– To możliwe. Można robić symulacje, biorąc pod uwagę konkretne dane z konkretnych wyborów, komu by przybyło, komu by ubyło, tylko że każde wybory przynoszą inne wyniki. I wtedy, przy przeliczaniu, pojawia się pytanie, komu przypadnie ostatni mandat w okręgu. Kto ten mandat zyska, a kto go straci, to jest bardzo często zjawisko losowe. Tak więc przy korekcie demograficznej opozycja mogłaby zyskać trzy mandaty, a może cztery, a może żadnego. Na pewno nie jest tak, że tych 11 mandatów blokowo przeszłyby z jednej partii do drugiej. To by się rozdzieliło. Natomiast problem jest inny – dlaczego Sejm sprawy korekty demograficznej nie rusza?

Dlaczego nie rusza PiS, to chyba wiemy.

– Nie rozpatrywałbym tego na zasadzie, że korekta demograficzna to są ruchy na czyjąś korzyść lub niekorzyść. Raczej jest tak, że partie nie mają motywacji, by to przeprowadzić.

Skąd ten brak motywacji?

– Są dwa, trzy powody. Jeden jest taki, że przepisy Kodeksu wyborczego każą te działania podjąć w momencie, w którym na dobrą sprawę za chwilę zaczyna się kampania

Dr hab. Jacek Haman kieruje Katedrą Modeli Formalnych i Metod Ilościowych w Socjologii na Wydziale Socjologii UW. Członek zespołu ekspertów wyborczych Fundacji Batorego. Od ponad 20 lat zajmuje się problematyką wyborczą.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fef7fb23da

wyborcza. A to oznacza, że nikt nie ma głowy do tego typu spraw.

Przepisy mówią, że mandaty trzeba rozdzielić na okręgi rok przed wyborami.

– Jesienią roku przedwyborczego wpływa do marszałka Sejmu pismo od PKW. Ale, patrząc realnie, zanim Sejm się tym zajmie, musi minąć trochę czasu. Oczywiście, gdy wybory odbywają się jesienią, jeszcze da się coś zrobić. Ale gdy są na wiosnę, to czasu na jakiekolwiek zmiany już nie ma. Wprawdzie Kodeks wyborczy mówi, że zmian w liczbie mandatów można dokonać trzy miesiące przed wyborami, ale jest z kolei orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 2006 r., że znaczące zmiany muszą być przeprowadzone przynajmniej sześć miesięcy przed wyborami.

Teraz wybory będą jesienią...

– Ale i tak do zmian, które zaleciła PKW, nikt już w Sejmie nie miał głowy. Tego typu zmiany oznaczają, że wprawdzie jakiś okręg dostanie dodatkowy mandat, ale jakiś musi go stracić. Generalnie w psychologii jest znany fakt, że utrata czegoś, co się ma, jest znacznie bardziej bolesna, niż perspektywa dostania czegoś, czego jeszcze się nie ma. To oznacza, że w momencie korekty natychmiast pojawią się niezadowoleni posłowie ze wszystkich partii z tych okręgów, którym mandat zostanie zabrany. A w Senacie to już rzecz całkowicie oczywista – jakiś senator właśnie się dowie, że jego okręgu nie będzie.

I ogłosi, że to koniec Polski.

– Wiadomo więc, że korekta demograficzna jest taką operacją, która do przyjemnych politycznie i towarzysko nie należy. Oczywiście, gdyby tak się złożyło, że zmiany w okręgach byłyby zdecydowanie na korzyść jednej partii, zwłaszcza takiej, która ma większość, to wszystko przeprowadzone byłoby błyskawicznie. Ale w sytuacji, w której wypadkowa zmian mogłaby być korzystna, lecz pewności nie ma? Że to wygląda jak loteria, w której można zyskać trzy mandaty, ale może się zdarzyć inaczej? Za to pewny jest koszt wewnątrzpartyjny, awantury, intrygi.

Taka sytuacja zniechęca do zmian?

– Po pierwsze, ponieważ ze względu na czas jest to sprawa trudna do przeprowadzenia, a po drugie, że jest bardzo niewygodna politycznie. A powód trzeci jest taki, że posłowie w Polsce, i to jak widać chyba prawie wszyscy, bo ten bezruch trwa już trzecią kadencję, jakoś mało cenią sobie wartości konstytucyjne.

Posłowie w Polsce, i to chyba prawie wszyscy, bo ten bezruch trwa już trzecią kadencję, jakoś mało sobie cenią wartości konstytucyjne.

Rozmawiamy, patrząc na sprawę z punktu widzenia partii politycznych, a porozmawiajmy jak wyborcy. Dlaczego ten z Warszawy miałby być traktowany jako ktoś gorszy i jego głos miałby ważyć połowę tego, co głos wyborcy w Elblągu?

– Już o tym mówiliśmy, przeprowadzenie korekty demograficznej to kwestia woli politycznej. W tej sprawie są jednoznaczne przepisy, to jest prosta rzecz do zrobienia. Tylko nikt jej nie robi. Natomiast jest więcej problemów, jeśli chodzi o głosy wyborców i one są trudniejsze do rozwiązania. Myślę o głosach z zagranicy…

Korekta demograficzna to taka operacja, która do przyjemnych politycznie i towarzysko, nie należy.

Dopisywanych do okręgu Warszawa I.

– Tak było jeszcze przed rokiem 1989. Tylko że wtedy nie miało to znaczenia, potem miało znaczenie niewielkie, a teraz ma duże.

Bo w roku 2019 było 316 tys. głosów z zagranicy.

– Do Sejmu. A w okręgu senackim obejmującym okręg Warszawa-Śródmieście, tam, gdzie idą głosy głosujących z zagranicy, było ich więcej niż głosów z Warszawy! Sytuację częściowo ratuje fakt, że w ostatnich wyborach do Senatu rozkład głosów z zagranicy i z Warszawy był prawie identyczny, więc wynik głosowania nie został wypaczony. Poza tym, że mieszkańcy centrum Warszawy mają pół senatora. Lub inaczej – że ze względu na liczbę głosujących w okręgu powinno być dwóch senatorów, a nie jeden.

A w wyborach do Sejmu?

– Trudno to dokładnie policzyć, ale wychodzi, że z tego względu okręg Warszawa I powinien mieć przynajmniej sześć mandatów więcej.

Okręg Warszawa I ma 20 mandatów, a powinien – po korekcie demograficznej – mieć 21. A jeżeli do tego dodamy sześć mandatów, które przypadłyby tym, którzy głosują za granicą, to okręg powinien mieć 27 mandatów.

– Można różnie liczyć. Mandaty w kraju ustalamy według liczby mieszkańców, a tutaj szacujemy już samych wyborców. Można więc przyjąć różne założenia, nawet takie, że Warszawa I powinna mieć na głosy zza granicy dodatkowo osiem mandatów.

To ewidentna niesprawiedliwość – i wobec Warszawy, i wobec tych, którzy głosują za granicą.

– A jak zrobić, żeby było sprawiedliwie? To nie jest łatwa sprawa. Bardzo ciekawy system mają na przykład Czesi – u nich głosy z zagranicy nie trafiają do jednego okręgu, tylko poszczególne komisje zagraniczne są losowo przydzielane do różnych okręgów w kraju. I to się jakoś wyrównuje. Oczywiście w polskich warunkach głosy z Londynu bardziej by wpływały na wynik w okręgu niż głosy z Ałma-Aty, ale byłby to, mimo wszystko, mniejszy wpływ niż kierowanie wszystkich głosów zza granicy do Warszawy I. Możliwości są różne. Ale musi być wola, żeby to zrobić. Zwłaszcza że w tym wypadku jasno widać, kto na tym by zyskał.

Jeśli chodzi o głosy Polaków mieszkających za granicą, to mamy jeszcze jeden cios w ich prawa wyborcze – zlikwidowano głosowanie korespondencyjne.

eprasa.pl fef7fb23da

– Głosowanie korespondencyjne było za granicą szeroko wykorzystywane ze względu na nieuniknione nierówności w dostępie do komisji wyborczych.

Jeżeli była ona oddalona o kilkaset kilometrów…

– Ten system nie działał może idealnie, było w nim parę elementów do poprawienia. Tego nie zrobiono, na dodatek możliwość głosowania korespondencyjnego zlikwidowano.

A jak możemy ocenić zmiany w systemie liczenia głosów? Jakie są szanse, by komisje w Londynie czy Manchesterze policzyły głosy wyborców przez 24 godziny, bo inaczej będą one nieważne?

– Powiem cynicznie – jeśli chodzi o procedurę liczenia głosów, to komisje i tak będą to robić tak jak zawsze. Te nowe przepisy, komplikujące procedurę liczenia, będą martwe. Zwłaszcza w sytuacji, w której komisja będzie pracować w niedoczasie, a będzie miała stos kart przed sobą. Jest jeszcze jeden element zmuszający do szybkiego liczenia – za granicą punkty wyborcze działają zazwyczaj w wynajętych lokalach. W Polsce jak komisja siedzi i liczy, to liczy. I to szkoła ma problem, a nie komisja. Natomiast za granicą czas jej pracy reguluje umowa wynajmu.

Odnoszę wrażenie, że te wszystkie zmiany prowadzą do tego, by zniechęcić do głosowania Polaków za granicą, i do tego, by ich głosy były jak najmniej ważące.

– Jeżeli uznajemy, że Polacy mieszkający za granicą powinni mieć prawo do głosowania w wyborach, to powinniśmy przyjąć takie rozwiązania, które by im tego nie utrudniały i jednocześnie nie prowadziły do zaburzeń w kraju.

Czy to nie jest gerrymandering*? Te wszystkie kombinacje?

– Byłby, gdyby ktoś je świadomie zaprojektował. A tutaj… Raczej mam wrażenie, że dominuje takie myślenie – jeżeli w tej sprawie nie widzę ewidentnej korzyści, to tym bardziej nie muszę nic zmieniać.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

*Manipulowanie granicami okręgów wyborczych.

Obiecanki cacanki ministra Telusa

Osiem lat rządów PiS i niezwykła ignorancja posłów opozycji doprowadziły do tego, że rolnictwo znalazło się na skraju zapaści

Marek Czarkowski

Minister Telus powtarzał, że dopłaty będą, że nie ma o co się martwić, bo nikt tak jak PiS nie dba o rolników. Dziś mało kto na wsi w to wierzy.

Ta piękna truskawka. Wiecie, ile jest warta w tym sezonie? – pyta zdenerwowany mężczyzna na krążącym w internecie nagraniu. I sam odpowiada: – Tyle.

Po czym wyrzuca na ziemię owoce z trzymanej w rękach kobiałki.

– To jest najgorszy sezon, od kiedy prowadzę plantację truskawek. Chłodnie proponują nam tyle, ile zazwyczaj płaciłem pracownikom za zbiór. Jeśli nic się nie zmieni, tony owoców zostaną na polach.

W ostatnich dniach plantatorom truskawek oferowano w skupie od 3,30 do 4,00 zł za kilogram. Minimalna cena, która by ich satysfakcjonowała, to 5 zł. Mimo to na razie skup przebiega w miarę normalnie, gdyż z rynku zniknęły owoce sprowadzane z południa Europy. Rolnicy uprawiający maliny cenę 5 zł za kilogram uważają za skandalicznie niską.

Powód tak niskich cen skupu jest znany – ruszyły dostawy z Ukrainy. Nawet jeśli Polski nie zalewają tanie truskawki i maliny zza wschodniej granicy, to plantatorzy i rolnicy są święcie przekonani, że tak właśnie się dzieje. Uważają, że rząd, który wiele naobiecywał producentom zbóż, dla producentów owoców miękkich (truskawek, malin, porzeczek, wiśni itd.) nie zrobił nic. A to nie koniec zmartwień rolników.

eprasa.pl fef7fb23da

Dlatego nawet mieszkający na wsi sympatycy Prawa i Sprawiedliwości lżą ministra rolnictwa Roberta Telusa słowami nienadającymi się do druku. Główny zarzut: niedotrzymywanie obietnic.

Nikt ci tyle nie da, ile Telus obieca

W połowie kwietnia prezes Jarosław Kaczyński solennie zapewniał rolników we wsi Łyse: – Teraz musimy naprawić błędy i jesteśmy na to zdecydowani. Podjęty zostanie powszechny skup zboża, a jego minimalna cena to 1400 zł za tonę.

Z 4 mln ton zboża, które wiosną zalegały w silosach, z kraju udało się wywieźć około 800 tys. ton.

Pod koniec czerwca cena tony pszenicy w skupie wynosi od 740 zł za pszenicę zwyczajną po 850-960 zł za pszenicę konsumpcyjną. Cena maksymalna występuje na zachodzie kraju, w Lubelskiem rolnikom oferowano 750 zł za tonę pszenicy najwyższej jakości. Wiosną było to ok. 1000 zł i dziś wielu sprzedałoby zboże za tę cenę z pocałowaniem w rękę.

Minister Telus powtarzał za swoim liderem, że dopłaty będą, że nie ma o co się martwić, bo nikt tak jak PiS nie dba o rolników. Dziś na wsi mało kto w to wierzy.

Na razie Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa zbiera głównie wnioski o dopłaty od producentów zbóż, którzy sprzedali ziarno między 1 grudnia 2022 r. a 14 kwietnia 2023 r. Pierwsze pieniądze – 22 mln zł – popłynęły do rolników dopiero w środę 21 czerwca. Te pieniądze to kropla w morzu potrzeb.

Z drugiej strony pod koniec maja ARMiR zmieniła wniosek o dopłaty do zbóż. W założeniach miało to pomóc rolnikom. W praktyce wydłuży procedurę o tygodnie, jeśli nie o miesiące. Dlatego ci, którzy liczą na pieniądze, muszą zadowolić się obietnicami. Z tą różnicą, że dopłaty będą nie do tony, lecz do hektara. Co świetnie wygląda tylko na papierze.

Na przykład plantatorzy kukurydzy i pszenicy w województwach lubelskim i podkarpackim mogą liczyć na 1750 zł/ha za kukurydzę i 1375 zł/ha za pszenicę. Jeśli przyjąć, że średnio w Polsce z hektara zbiera się 5 ton pszenicy, to dopłata wyniesie 275 zł do jednej tony. Rolnik, który sprzedał zboże po 1000-1100 zł, po otrzymaniu dopłaty z pewnością nie uzyska obiecanych przez prezesa Kaczyńskiego 1400 zł za tonę. Nie wspominając o tym, że w roku ubiegłym pszenica kosztowała nawet 2000 zł.

Po odwołaniu Henryka Kowalczyka, który jako minister nie spełnił pokładanych w nim nadziei, Robert Telus obiecał rolnikom wszystko, by spacyfikować nastroje. Chłopskie protesty fatalnie rokowały notowaniom PiS i trzeba było uspokoić atmosferę. Udało się, farmerzy zakończyli blokady i zaczęli liczyć potencjalne zyski. Natomiast opinia publiczna, karmiona rewelacjami dziennikarzy TVP Info o tym, jak PiS dba o polską wieś, uznała, że sprawa jest załatwiona, bo pazerni chłopi dostali solidne dopłaty.

Prawda jest taka, że rolnicy może COŚ dostaną. Ale nie to 1400 zł za tonę, tylko mniej. Przy czym Telusowi przyjdzie zmierzyć się z jeszcze jedną obietnicą. Otóż miał on przed rozpoczęciem tegorocznych żniw opróżnić silosy ze zbożem, by było gdzie składować zbiory. Tymczasem na początku czerwca media donosiły, że z 4 mln ton, które wiosną zalegały w silosach, z kraju udało się wywieźć ok. 800 tys. ton. Nawet jeśli udałoby się zwiększyć tempo wywozu, to sporo jeszcze zostanie. A w Ukrainie żniwa są wcześniejsze. Jeśli Rosjanie nie przedłużą zgody na wywóz zboża przez Odessę, to polskie porty zostaną zasypane zbiorami zza wschodniej granicy.

Nie zapominajmy, że magazyny i silosy, w których będzie magazynowane ziarno z tegorocznych zbiorów, zgodnie z unijnymi standardami, powinny zostać wpierw zdezynfekowane. A to wymaga czasu. Minister Telus powinien o tym wiedzieć i uwzględnić w swoich obietnicach. Na razie tylko zdaniem rządzących wszystko idzie zgodnie z planem. O tym, kto miał rację, przekonamy się jesienią.

Schabowy z zagranicy

Problemy producentów zbóż i owoców miękkich to wierzchołek góry lodowej. Osiem lat rządów PiS oraz niezwykła ignorancja posłów opozycji doprowadziły do tego, że rolnictwo w naszym kraju znalazło się na skraju zapaści. W ostatnich dwóch latach pogłowie świń w Polsce spadło o 2,3 mln sztuk. Hodujemy jeszcze 8,9 mln sztuk. Jeśli w tym tempie będzie spadało pogłowie trzody chlewnej, w 2030 r. nie będzie raczej szans, by na rodzimym stole zagościł schabowy z polskiego mięsa. Hodowla świń przestała być opłacalna. Dlaczego? Z powodu wzrostu kosztów produkcji wywołanego wysokimi cenami energii elektrycznej, węgla, paliw, nawozów sztucznych itp. Dodajmy do tego niezdolność rządzących do poradzenia sobie z szerzącym się wirusem afrykańskiego pomoru świń (ASF).

Systematycznie spada cena skupu drobiu. W kwietniu br. za kurczęta brojlery płacono 5% mniej niż rok temu. A koszty produkcji w tym czasie wzrosły. Tuszki kurcząt są dziś o 17% tańsze niż rok temu. To także efekt konkurencji z Ukrainy.

Nasz rynek jest zalewany tanimi rosyjskimi nawozami, gdyż zostały one wyłączone z zestawu sankcji unijnych.

Swojego rodzaju symbolem stał się ukraiński milioner Taras Barszczewski, za którym na początku kwietnia Prokuratura Regionalna w Lublinie rozesłała list gończy. Biznesmen był właścicielem przetwórni owoców T.B. Fruit w Annopolu, która jest winna sadownikom i plantatorom jakieś 40 mln zł. To nie koniec. Prokuratorzy zarzucają Barszczewskiemu kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą o charakterze zbrojnym, oszustwa

eprasa.pl fef7fb23da

finansowe oraz przywłaszczenie mienia. Urząd Skarbowy ściga go za niezapłacony podatek VAT w wysokości 7 mln zł. Natomiast UOKiK nałożył na niego karę za wykorzystywanie przewagi kontraktowej w umowach z rolnikami. O tym, że nie płacił ZUS, nie warto nawet wspominać. Postawienie ukraińskiego biznesmena przed sądem jest niemożliwe, gdyż Kijów nie wydaje swoich obywateli. W tej materii ludzie Ziobry padli na kolana. Jednocześnie należące do Barszczewskiego spółki kilkukrotnie zwiększyły w roku ubiegłym import koncentratu jabłkowego z Ukrainy do naszego kraju. A co za tym idzie – zyski. Było to możliwe dzięki zniesieniu przez Unię Europejską barier celnych. Obecny rok zapowiada się dla poszukiwanego listem gończym biznesmena jeszcze lepiej.

Henryk Smolarz, były poseł Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz były prezes Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego, prowadzi rodzinne gospodarstwo rolne w okolicach Lublina. Tłumaczy, że wieś bardzo się zmieniła.

– Spada liczba gospodarstw zajmujących się produkcją rolną. W mojej okolicy mieszkają głównie prawnicy, lekarze, właściciele firm, nauczyciele, ci, którzy wynieśli się z miast. Co prawda, właściciele małych gospodarstw dostają dotacje unijne, lecz utrzymują się z pracy poza rolnictwem. Natomiast wielkotowarowych gospodarstw, które do niedawna osiągały zyski, jest mało i to one najbardziej tracą w związku z obecnym kryzysem. Jeśli ktoś ma kilkaset hektarów, na których uprawiał pszenicę lub kukurydzę, to jego straty liczone są w milionach. W przyszłym roku te gospodarstwa będą musiały ograniczyć produkcję, bo nie będą miały pieniędzy na zakup materiału siewnego, środków ochrony roślin, nawozów sztucznych itp. Rządzący z nimi się nie liczą, gdyż w wyborach głosy bogatych rolników nie mają znaczenia.

Niestety, opozycja w sprawie rolnictwa nie ma nic do powiedzenia. Temat jest trudny, trzeba mieć ludzi, którzy go znają, by przedstawić diagnozę i środki zaradcze.

Prawo i Sprawiedliwość oraz Solidarna Polska załatwiały sobie poparcie, rozdając czeki samorządowcom, wozy strażackie ochotniczym strażom pożarnym i thermomiksy kołom gospodyń wiejskich. Drobni rolnicy cieszyli się z 13. i 14. emerytur. Dziś mają cichą satysfakcję, że bogaci sąsiedzi idą na dno. Pewnie więc jesienią znów zagłosują na PiS.

Kiedyś sznurek do snopowiązałek, a dziś?

Kryzys, który dotknął duże gospodarstwa rolne, odbił się też na producentach i sprzedawcach nawozów sztucznych, środków ochrony roślin oraz maszyn rolniczych.

Filmik nagrany przez plantatora ma już ponad 200 tys. wyświetleń w sieci.

Pod koniec maja posłowie Platformy Obywatelskiej Marta Wcisło i Kazimierz Plocke chcieli przeprowadzić kontrolę poselską w puławskich Azotach. Powodem były sygnały od związkowców, że w spółce źle się dzieje. Ten wielki producent nawozów azotowych w roku ubiegłym odnotował stratę ponad 280 mln zł. Posłowie nie zostali jednak wpuszczeni za bramę. I trudno się dziwić, produkcja w zakładzie, mówiąc delikatnie, ma charakter śladowy.

W maju było już jasne, że Grupę Azoty, w skład której wchodzi puławski zakład, przejmie PKN Orlen. Właśnie finalizowana jest umowa w tej sprawie. Plocke i Wcisło chcieli zaprotestować przeciw tej decyzji, lecz nic nie wskórali.

Tymczasem sprzedaż nawozów sztucznych, zwłaszcza produkowanych w Polsce, wygląda źle. Składa się na to kilka przyczyn, m.in. wstrzymanie przez Rosję dostaw gazu, wysokie koszty produkcji i wzrost sprzedaży nawozów rosyjskich. Nasz rynek jest dosłownie zalewany tanimi rosyjskimi nawozami, gdyż zostały one wyłączone z zestawu sankcji unijnych. W tym przypadku wojna wręcz napędza rynek. By uniknąć nieprzyjemnych skojarzeń, rosyjskie nawozy są nad Wisłą przepakowywane w neutralne worki, tak że rolnicy nie wiedzą, co kupują. Rząd, który tropi rosyjskie wpływy, w tej sprawie zachowuje daleko idącą powściągliwość.

W milczeniu dogorywają sprzedawcy i producenci maszyn rolniczych. Nowy traktor to wydatek rzędu od 300-400 tys. zł do nawet 2 mln. W ubiegłym roku spadek sprzedaży wyniósł ok. 17%, ten rok zapowiada się podobnie, choć przedstawiciele producentów mają nadzieję, że będzie odrobinę lepiej.

Kłopoty rolników wpływają na wiele innych dziedzin gospodarki, by w końcu dotknąć każdego z nas. Jeśli wieś nie zarabia, najpierw tracą ci, którzy bezpośrednio pracują na jej rzecz, następnie ci, którzy zajmują się sprzedażą produktów rolnych, a na końcu konsumenci, którzy muszą płacić więcej za chleb, jabłka, pomidory, wieprzowinę i kurczaki. To delikatny mechanizm, który łatwo jest popsuć, a bardzo trudno naprawić. Polscy politycy tego nie rozumieją, dlatego za ich ignorancję będziemy płacili wszyscy.

Poseł do Parlamentu Europejskiego, były prezes PSL i wieloletni minister rolnictwa Jarosław Kalinowski, powiedział, że to, co się dzieje, to namiastka tego, co czeka europejskie rolnictwo. I pomyśleć, że w czasach PRL największym zmartwieniem chłopów w czasie żniw był brak sznurka do snopowiązałek.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ROBERT STACHNIK/REPORTER, FACEBOOK

eprasa.pl fef7fb23da

TRUDNA DECYZJA

Nikt nie ma prawa zmuszać mnie do życia dziewięć miesięcy w nieustannym strachu, że na 70% coś złego się stanie

W związku ze śmiercią kolejnej ofiary restrykcyjnego prawa antyaborcyjnego wrócił jak bumerang bolesny temat piekła polskich kobiet. Pomyślałam, że moja historia może komuś pomóc i postanowiłam ją opisać. Mam teraz 68 lat, jestem już emerytką. Zaszłam w nieplanowaną ciążę w 1991 r., mając 36 lat. Prawo nie było wtedy tak restrykcyjne. A ja z różnych przyczyn nigdy nie chciałam i nie planowałam mieć dzieci. Człowiek jest istotą seksualną, seks jest sposobem wyrażania miłości, utrzymywania więzi, daje poczucie bezpieczeństwa.

Od ośmiu lat żyłam w związku z kochanym mężczyzną, który miał dwoje dzieci z poprzedniego związku, kochał je, płacił sumiennie na ich utrzymanie (a były to czasy, gdy o pracę nie było łatwo), utrzymywał z nimi stały kontakt, był spełniony jako ojciec i moja niechęć do prokreacji nie przeszkadzała mu w najmniejszym stopniu. Byliśmy dojrzali i odpowiedzialni. Robiliśmy wszystko, aby się zabezpieczyć, przez osiem lat trzy kolejne spiralki dobrze się sprawdzały (98,8% pewności!), jednak pół roku przed terminem wymiany ostatniej stało się! Zaczęłam bardzo źle się czuć, miesiączka się nie pojawiła. Dość długo nie rozumiałam, co się ze mną dzieje, ewentualności zajścia w ciążę nie dopuszczałam do siebie. W końcu kupiłam test „na wszelki wypadek", potem stan rzeczy potwierdził ginekolog, dodając do tej nieoczekiwanej i wcale dla nas nieradosnej wiadomości jeszcze jedną: „Ma pani dużą torbiel na jajniku, ciąża ze spiralką i z torbielą jest ciążą wysokiego ryzyka, no i to pani pierwsza ciąża, a ma pani już 36 lat, co nie ułatwia sprawy". Byłam u kilku ginekologów, nikt nie umiał mi wytłumaczyć, co konkretnie może się stać, ale perspektywy, które roztaczali, nie były optymistyczne. Mówiono o możliwości skręcenia się torbieli, gdy ciąża będzie rosła, i mojej śmierci, zanim ktokolwiek zdąży udzielić mi pomocy, o uszkodzeniu płodu przez spiralkę, o wpływie torbieli na płód (ryzyko poważnego uszkodzenia, m.in. letalnej wady serca, akurat taki przypadek znałam – znajoma, mając torbiel na jajniku, zaszła w ciążę i urodziła dziecko z potrójną wadą serca, które wkrótce zmarło). Gdy pytałam o stopień prawdopodobieństwa, że urodzę zdrowe dziecko, lekarze mówili o ok. 70% ryzyka i zdecydowanie sugerowali aborcję, uzasadniając to tym, że czynników ryzyka jest zbyt dużo i nie sposób przewidzieć, co się stanie. W mojej bliskiej rodzinie była para mająca córkę w moim wieku, niezdolną do samodzielnego życia, napatrzyłam się na cierpienia i tych rodziców, i tej dziewczyny, wtedy już dorosłej kobiety, oraz ich lęk o to, co się stanie, gdy oni odejdą.

> Pro-life są najczęściej ludzie niemający najbledszego pojęcia o zagadnieniu.

Bez przerwy myślałam o tym wszystkim. Mój partner mnie wspierał, pozostawiając mi ostateczną decyzję. Zdecydowałam się na aborcję w klinice patologii ciąży. Nie było to łatwe, bardzo to przeżyłam, ale do dziś uważam, że decyzja była słuszna i to, że miałam wtedy wybór, było moim podstawowym prawem. Nie chciałam i uważałam, że nikt nie ma prawa zmuszać mnie do życia dziewięć miesięcy w nieustannym strachu, że na 70% coś złego się stanie. Nie popadłam w depresję, mieliśmy normalne życie we dwoje, ze szczęściem i smutkami, jak wszyscy. Nie popadałam w rozpacz na widok cudzych dzieci, lubiłam je. Nigdy nie zdecydowałam się powtórnie, tym razem celowo i świadomie, zajść w ciążę. Stosowałam pigułki, potem mój partner zdecydował się na (nielegalną już wtedy) wazektomię.

Przez długie lata opiekowałam się ciężko chorymi rodzicami. Spisać i przekazać swoje doświadczenia zdecydowałam się pod wpływem niedawnej dyskusji z koleżanką o prawie aborcyjnym. Ona jest z nurtu pro-life, ja pro-choice. Zanim ostatecznie pokłóciłyśmy się „na zawsze" (starsze panie pod tym względem są trochę podobne do pięciolatek – różnica zdań często kończy się zerwaniem koleżeństwa), używała argumentów podobnych do tych, które słyszeliśmy z ust Jarosława Kaczyńskiego i słyszymy z ust księży (że troska o nawet całkiem niesprawne i niezdolne do samodzielnego życia dziecko spaja rodzinę, nadaje sens życiu, że nawet jeśli dziecko umrze wkrótce po urodzeniu, to czas z nim spędzony jest bezcenny itp.). Co ciekawe, ta koleżanka, głęboko wierząca i praktykująca, ma dwoje zdrowych wnuków, ale… nie podejmuje się nawet w weekendy opieki nad nimi, bo ją denerwują, nie opiekowała się też starym, niedołężnym ojcem. Myślę, że to jest jakoś typowe – pro-life są najczęściej ludzie niemający najbledszego pojęcia o zagadnieniu.

Maria, Wrocław

eprasa.pl fef7fb23da

Z Galicji

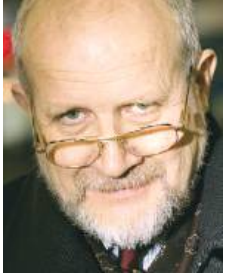

Jan Widacki

Megalomania

Przed kilkoma dniami Jarosław Gowin powiadomił naród, że w najbliższych wyborach parlamentarnych nie będzie już kandydował. Myślę, że po zapoznaniu się z tym oświadczeniem naród pozostaje nieutulony w żalu. Nie wiem, czy nawet udany wakacyjny urlop poprawi nieco nastroje. A jakie poruszenie w klasie politycznej musiało wywołać to oświadczenie! Gowin nie będzie kandydował! Zatrzęsła się scena polityczna. Odetchnęli z ulgą Tusk i Kaczyński. Jak wiadomo, obaj drżeli ze strachu przed Gowinem. Hołownia z Kosiniakiem-Kamyszem na chwilę nawet przestali się martwić spadającym poparciem. Gowin nie kandyduje? – powtarzali z niedowierzaniem. Czarzasty też podobno nie dowierzał tej hiobowej wieści, a gdy wreszcie uwierzył, posmutniał i na znak żałoby założył czarny sweterek. Jak miała nie zatrząść się scena polityczna, gdy zejście z niej zgłosił taki gigant! A zatrzęsła się naprawdę, ale raczej ze śmiechu.

Nadęte, pompatyczne oświadczenie o rezygnacji z ubiegania się o reelekcję w wyborach do Sejmu, złożone przez kogoś, kto nie ma nawet na nią cienia szansy, ma mniej więcej taką doniosłość, jaką miałoby moje oświadczenie, że w przyszłym sezonie nie wystartuję w Pucharze Świata w Skokach Narciarskich. A gdybym takim oświadczeniem chciał dorównać Gowinowi, powinienem jeszcze dodać, że nie chcę robić konkurencji mojemu sąsiadowi z Zębu Stochowi, chcę też dać szanse Kubackiemu i Żyle. Musiałbym skromnie dodać, że oto minęło 70 lat od chwili, gdy jako dziecię zapiąłem pierwszy raz narty na stokach Antałówki. Na marginesie powinienem obwieścić, że chcę też ocalić przed połamaniem swoje stare kości, abym jeszcze w przyszłości w miarę sprawny mógł nadal z pożytkiem służyć ojczyźnie. Równocześnie zadeklarować, że w przyszłym sezonie będę przed telewizorem pilnie śledził zawody Pucharu Świata, będę kibicował naszym skoczkom, ale równocześnie patrzył na nich krytycznie i żadnego błędu im nie przepuszczę. Mógłbym, aby jeszcze bardziej upodobnić się do Gowina, dodać na koniec: „Tak mi dopomóż Bóg”.

W oświadczeniu, w którym Gowin wymienia wszystkie swoje przewagi i zasługi, brak jednak informacji, z kandydowania z której to listy on rezygnuje. Kaczyński go nienawidzi i o starcie z list PiS nie mógłby nawet marzyć. Przysiadał się na chwilę, już jako świeżo nawrócony opozycjonista, do Koalicji Obywatelskiej, ale przepędził go Tusk, dodając jeszcze złowieszczo, że po następnych wyborach to nie Gowin będzie rozliczał, ale to on będzie rozliczany. Hołownia nie jest aż tak naiwny, by brać go na listy Trzeciej Drogi, bo i bez takiego balastu notowania mu spadają. Może konfederaci? W jednej parze z posłem Braunem? Czemu nie? Ale może to nawet dla niego byłoby za wiele, a zresztą co on da konfederatom? Aha, prawda. Ma przecież własną partię o tajemniczej nazwie Porozumienie (nigdy się nie dowiedziałem, kogo z kim), ale po pierwsze, przestał być jej przewodniczącym, a po drugie, w sondażach partia ta odnotowuje poparcie na poziomie kilku promili. Tak więc rezygnacja z kandydowania w najbliższych wyborach nie jest aktem szczególnego heroizmu, ale koniecznością. Naprawdę trzeba ogromnej megalomanii, aby nadawać temu rozgłos, pisać patetyczne oświadczenia.

W historii polskiej demokracji zapisał się Gowin jako ten, który popierał demolowanie przez PiS i Ziobrę praworządności w Polsce, który głosował za ustawami niszczącymi wymiar sprawiedliwości, deklarując przy tym, że „głosował za, ale się nie cieszył”, co nadawało jego poczynaniom i samej jego postaci wymiar tragikomiczny.

W historii polskiej demokracji zapisał się Gowin jako ten, który popierał demolowanie przez PiS i Ziobrę praworządności w Polsce.

Jego Konstytucja dla Nauki, z której jest tak dumny, zbiurokratyzowała jeszcze bardziej naukę, co wydawało się rzeczą niemożliwą. Wprowadziła też zasadę, że ten jest większym uczonym, kto ma więcej punktów, a o tym, kto ma więcej punktów, decyduje minister. Minister Czarnek tylko korzysta z narzędzi przygotowanych przez Gowina.

Powiem szczerze, że jako człowieka Gowina mi po prostu żal. Na uczelnię nie wróci, bo karierę akademicką zakończył bodajże na etacie adiunkta. Jego dawne krakowskie środowisko „Tygodnika Powszechnego” i Znaku zerwało z nim kontakty. Może przygarnie go niegdysiejszy promotor prof. Wojciech Roszkowski? Może wspólnie napiszą jakiś nowy podręcznik? Taki, co to przynosi trochę wstydu, ale z racji wielkości nakładu więcej dochodu. Z czegoś trzeba żyć, a jak pamiętamy, jeszcze jako wicepremier Gowin skarżył się, że z trudem wiąże koniec z końcem. Co to teraz będzie?

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fef7fb23da

TWIERDZY NIEMCY NIE BĘDZIE

W niemieckim podejściu do migracji pragmatyzm wygrywa z populizmem

Zuzanna Muszyńska

30 lat temu, 29 maja 1993 r., w Solingen zginęło pięć młodych dziewcząt i kobiet pochodzenia tureckiego, gdy prawicowi ekstremiści podpalili ich dom. Przez Niemcy przeszła fala przemocy w reakcji na rosnącą liczbę uchodźców – od tamtego czasu do dzisiaj z ręki prawicowych ekstremistów zginęło 161 osób. Obecnie co trzeci mieszkaniec Solingen pochodzi z rodziny imigrantów. Na obchody 30-lecia mordu przyjechał pierwszy niemiecki minister z tureckimi korzeniami Cem Özdemir.

W 2022 r. niemieckie obywatelstwo przyjęło ok. 168,5 tys. osób, najwięcej od dwóch dekad i niemal o jedną trzecią więcej niż w roku poprzednim. Największą grupą naturalizowanych mieszkańców Niemiec były osoby narodowości syryjskiej – przeważnie młodzi mężczyźni z fali uchodźczej w latach 2014-2016.

W niemieckim podejściu do migracji pragmatyzm wygrywa z populizmem.

Dali radę

Problem migracji dzieli naród niemiecki na pół. Jak wynika z barometru politycznego telewizji ZDF, opublikowanego 16 czerwca, nieznaczna większość (52%) Niemców uważa, że ich kraj nie poradzi sobie ze zwiększonym napływem uchodźców. Przeciwnego zdania jest 45% obywateli. Jeszcze w marcu 51% Niemców było na tak wobec migracji, 46% – na nie. Zdecydowana większość za największe zagrożenia uważa zmiany klimatyczne czy kwestię energii, problemów z uchodźcami obawia się co piąty Niemiec. Trzech na czterech sądzi, że rząd federalny niedostatecznie pomaga gminom w opiece nad przybyszami. Poparcie dla przyjmowania uchodźców uciekających przed wojną, jak wynika z badań przeprowadzonych dla telewizji ARD na początku maja, jest bardzo wysokie i wynosi 84%.

„Damy radę" – historyczne słowa kanclerz Merkel z 2015 r. przełożyły się na ogromny wysiłek w budowaniu kultury gościnności. W 2015 r. wjechały do UE prawie 2 mln migrantów, w 2016 r. – ponad pół miliona. Wniosek o azyl złożyło w Niemczech ok. 1,5 mln osób.

Prawo do azylu gwarantuje art. 16 niemieckiej ustawy zasadniczej. Pierwsza wielka fala azylantów przybyła do Niemiec na przełomie lat 80. i 90., głównie zza żelaznej kurtyny. Począwszy od roku 1986 przez dwie następne dekady Niemcy przyjęły 8 mln migrantów, z tego 3 mln azylantów i 3 mln przesiedleńców, którzy otrzymali obywatelstwo. W latach 80. wyjechało do Niemiec około miliona Polaków.

Presja migracyjna znów rośnie: w ubiegłym roku nastąpił największy kryzys uchodźczy od czasu II wojny światowej – od wybuchu wojny w Ukrainie do końca 2022 r. agencja ONZ ds. uchodźców zarejestrowała ok. 4,8 mln osób ubiegających się o azyl, głównie na wschodzie Unii Europejskiej: w Niemczech, Polsce, państwach bałtyckich, Rumunii i na Słowacji. Od stycznia do maja br. przybyło do UE 102 tys. migrantów. Od początku tego roku w Niemczech złożono 100 tys. wniosków o azyl. Przeciwnik multikulti zestawi te dwie liczby i stwierdzi, że wszyscy jadą do Niemiec po socjal. Zwolennik powie, że Niemcy wykorzystują swoje doświadczenia w zarządzaniu kryzysem migracyjnym i dają radę, chociaż presja migracyjna odczuwana jest na wszystkich poziomach administracji, jak i wśród tzw. zwykłych Niemców.

> Problem migracji dzieli naród niemiecki na pół. Nieznaczna większość uważa, że kraj nie poradzi sobie ze zwiększonym napływem uchodźców.

Landy na granicy wytrzymałości

W niemieckim systemie federalnym to kraje związkowe ponoszą większość kosztów związanych z zakwaterowaniem i integracją uchodźców. Z budżetu federalnego płyną środki na świadczenia socjalne (8 mld euro w 2022 r.), kursy integracyjne (2,3 mld euro) czy zwalczanie przyczyn migracji (12 mld euro). Wewnętrzna polityka migracyjna była tematem spotkania kanclerza Olafa Scholza z premierami krajów związkowych, którym udało się wynegocjować zwiększenie dotacji celowej na pokrycie części wydatków związanych z polityką uchodźczą o 1 mld euro – do 3,75 mld euro. Kraje związkowe chciałyby również, aby rząd federalny zapewnił im stałe dopłaty per capita dla ubiegających się o azyl.

– Od lat 50. XX w. obowiązuje zasada rozdziału składających wnioski o azyl pomiędzy kraje związkowe przy uwzględnieniu ich siły gospodarczej oraz liczby ludności. Stąd najwięcej wniosków składanych jest w największych landach, takich jak Nadrenia Północna-Westfalia czy Bawaria, a proporcjonalnie mniej w landach wschodnich. Rząd federalny wydaje rocznie na szeroko rozumianą politykę migracyjną ponad 20 mld euro. Znaczna część tej kwoty jest przeznaczana na zapobieganie nielegalnej migracji. Chodzi np. o pomoc rozwojową dla państw z Afryki czy Bliskiego Wschodu – wyjaśnia Kamil Frymark, główny specjalista

eprasa.pl fef7fb23da

Demonstracja w 30. rocznicę wydarzeń w Solingen, 29 maja 2023 r.

w Zespole Niemiec i Europy Północnej Ośrodka Studiów Wschodnich.

Palącym problemem jest brak miejsca dla osób składających wnioski o ochronę w Niemczech. – W związku z zarejestrowaniem przez Niemcy w 2022 r. ponad miliona uchodźców z Ukrainy oraz ponad 240 tys. wniosków o azyl z innych niż Ukraina kierunków, sytuacja lokalowa dla uchodźców jest bardzo trudna – dodaje Frymark.

Przed kilkoma tygodniami premierzy przygranicznych landów nalegali na stałe kontrole na granicach Niemiec. Chodziło przede wszystkim o osoby, które dostały się na teren UE przez Białoruś. Kryzys humanitarny na granicy polsko-białoruskiej trwa od prawie dwóch lat. Według danych Federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych od lipca 2022 r. do marca 2023 r. niemiecka policja odnotowała ponad 8,5 tys. przypadków nielegalnego wjazdu do Niemiec osób, które przeszły tzw. szlak białoruski. Od stycznia do kwietnia tego roku tylko w Brandenburgii odnotowano 2810 nielegalnych wjazdów (w tym samym okresie zeszłego roku o tysiąc mniej). Granica polsko-białoruska nadal nie jest szczelna mimo zapory na niektórych jej odcinkach.

Minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser (SPD) zapowiedziała wzmożone kontrole na przejściach drogowych, w pociągach i w komunikacji lotniczej, ale stałych kontroli nie będzie. Byłaby to, jak stwierdziła minister Faeser, duża komplikacja życia w regionie transgranicznym.

Prawicy ciągle rośnie

W koalicji rządowej nie ma jedności co do polityki migracyjnej. Kanclerz Scholz czyta nastroje społeczne – ogromną wolę pomocy uchodźcom wojennym, mniejszą w pozostałych przypadkach. Niemcy narzekają, że ich dzieci chodzą do klas, w których połowa uczniów nie mówi po niemiecku. Brakuje mieszkań. Już co piąty Niemiec głosowałby na AfD (Alternatywę dla Niemiec), partię wyrosłą na polityce antyimigracyjnej, która w wyborach do Bundestagu w 2021 r. zdobyła 10% głosów. W przyszłym roku odbędą się wybory w landach wschodnich, gdzie ta partia, uważana za jawnie ekstremistyczną, ma niemal 30-procentowe poparcie. Istnieją obawy, że zdoła rozbudować swoje wpływy w polityce, mimo że nowy europejski mechanizm solidarnościowy wynegocjowany w Luksemburgu odbiera jej koronny argument o zalewie Niemiec przez obcych.

– Przyjęte ostatnio rozwiązania nie doprowadzą bezpośrednio do spadku poparcia dla Alternatywy dla Niemiec – ocenia Kamil Frymark. – Co prawda, kwestie migracyjne są jednym z najważniejszych powodów sympatii dla tej partii, jednak to inne czynniki sprawiają, że co piąty Niemiec jest gotów na nią zagłosować. Chodzi przede wszystkim o skrajnie negatywną ocenę rządów kanclerza Scholza i całej koalicji. Krytyka dotyczy również polityki klimatycznej. AfD skupia wokół siebie osoby sprzeciwiające się pomocy Ukrainie i dążące do poprawy relacji z Rosją. Kolejną kwestią jest czas, w którym porozumienie luksemburskie zacznie obowiązywać, i kiedy nastąpi faktyczne jego przełożenie na spadek liczby wniosków o azyl w Niemczech.

Twierdza Europa ma plan

Europejski mechanizm solidarnościowy obejmuje nowe procedury azylowe na zewnętrznych granicach UE oraz dystrybucję migrantów wśród państw członkowskich lub – w wypadku odmowy przyjęcia migrantów – wpłatę 20 tys. euro za każdą osobę na fundusz zarządzany

FOT.AFP/EAST NEWS

eprasa.pl fef7fb23da

przez Brukselę. Sprzeciw wobec zapisów zgłosiły Polska i Węgry, a Bułgaria, Malta, Litwa i Słowacja wstrzymały się od głosu. Pakt będzie teraz negocjowany przez Parlament Europejski, by dopracować jego ostateczny kształt.

Podczas rokowań ścierały się wymogi solidarnościowe, których żądało Południe, z wymogami odpowiedzialności, czyli rzetelnego pilnowania granic i sprawnych procedur azylowych, których domagała się Północ. Pomysł relokacji uchodźców ewoluował od 2015 r. Początkowo suma za nieprzyjęcie migranta miała wynosić 250 tys. euro. Następnie proponowano elastyczną solidarność, która miała polegać na zastąpieniu relokacji pomocą dla m.in. Grecji czy Włoch. Podczas szwedzkiej prezydencji wrócił pomysł „obowiązkowej solidarności".

Według przyjętych kryteriów rocznie relokacje objęłyby 30 tys. migrantów, z czego niecałe 2 tys. przypadłyby na Polskę – to koszt ok. 40 mln euro rocznie (minus koszty przyjmowania uchodźców z Ukrainy oraz ochrony granicy z Białorusią – prawdopodobnie zsumowane do zera). Polski rząd uważa sumę 20 tys. za „karę", a cały pakt za absurdalny i niewykonalny.

Państwa pierwszego kontaktu będą odpowiedzialne za szybkie procedury graniczne, które wykluczą rozpatrywanie wniosków o azyl od przybyszów z krajów o wskaźniku przyznawania azylu mniejszym niż 20%, oraz za szybkie deportacje w razie odmowy. Według obecnych zasad Twierdza Europa w praktyce nie istnieje, gdyż kraje pierwszego wjazdu, takie jak Grecja, Włochy, Hiszpania, Węgry i Chorwacja, a teraz również Polska, umożliwiają migrantom i potencjalnym uchodźcom przemieszczanie się na północ lub na zachód. Czyli nie działa system dubliński, zgodnie z którym za migrantów odpowiedzialny jest kraj ich pierwszego wjazdu i tam powinni złożyć wniosek o azyl. Wątpliwości budzą również pushbacki, do których dochodzi w Grecji, Chorwacji, Bułgarii oraz w Polsce i na Litwie. W jednej z największych katastrof na Morzu Śródziemnym, do której doszło 16 czerwca u wybrzeży Grecji, mogło zginąć nawet 600 migrantów. Wiele wskazuje na to, że greccy pogranicznicy nie udzielili im wystarczającej pomocy.

Niemcy nie są z gumy

Berlin przystał na rozwiązania luksemburskie, by zakończyć chaos w europejskiej polityce migracyjnej, chociaż w koalicji rządowej nie było na ten temat jednomyślności. Dla Zielonych kompromis migracyjny jest trudny do strawienia, gdyż partia od początku swojego istnienia traktuje prawa człowieka jako wartość fundamentalną, a w umowie koalicyjnej z socjaldemokratami (SPD) i liberałami (FDP) podkreślała, że chce położyć kres cierpieniom na granicach zewnętrznych Unii. FDP uważa porozumienie za dobre. Natomiast partia kanclerza Scholza jest podzielona w kwestii porozumienia. – O ile sam kanclerz oraz ministrowie rządu, a także duża część czołowych polityków wskazują na wybór „mniejszego zła" jako motywację do podpisania dokumentu, o tyle znaczna część młodych członków frakcji domaga się liberalizacji porozumienia – komentuje Kamil Frymark.

W imieniu Niemiec porozumienie negocjowała szefowa MSW Annalena Baerbock (Zieloni). Baerbock miała nadzieję, że procedury graniczne nie obejmą rodzin z dziećmi, jednak nie udało się tego osiągnąć. Tylko cztery spośród 27 krajów były gotowe zgodzić się na wyjątki dla nieletnich: Niemcy, Luksemburg, Irlandia i Portugalia.

Rząd niemiecki chce również usprawnić wewnętrzny system azylowy, ograniczyć napływ wniosków o azyl, jak również zwiększyć efektywność deportacji.

– W ubiegłym roku deportowano z Niemiec ok. 13 tys. osób, o tysiąc więcej niż rok wcześniej – mówi Kamil Frymark. – Za proces odsyłania nielegalnych imigrantów odpowiadają landy, które mają różne prawodawstwo w tej kwestii, jak też praktykę jego stosowania. Oznacza to, że w landach współrządzonych przez Zielonych dużo trudniej jest deportować azylantów. Drugą kategorią problemów, które utrudniają skuteczne deportacje, jest kwestia braku współpracy z państwem przyjmującym, często niezabiegającym o przyjęcie swoich obywateli zwłaszcza w przypadku, gdy popełnili oni w Niemczech przestępstwa. Takie osoby deportowane są najczęściej. Kłopotem jest również jednoznaczne stwierdzenie tożsamości azylantów. Kolejnym zagadnieniem jest deportowanie osób stosunkowo dobrze zintegrowanych, których dzieci zazwyczaj uczą się w niemieckich szkołach, a oni sami nierzadko pracują. Wywołuje to społeczny sprzeciw i prowadzi do utraty zaufania do instytucji odpowiedzialnych za deportacje.

Niemcy chcą też dopisać do listy tzw. bezpiecznych państw pochodzenia Gruzję i Mołdawię. Ważnym elementem wewnętrznej polityki migracyjnej jest dialog z takimi państwami, otwierający m.in. legalne ścieżki emigracji zarobkowej.

Wirtschaftswunder

Niemcy są dobrym przykładem zbawiennych skutków gospodarczych migracji zarobkowej. Powojenny cud gospodarczy nie byłby możliwy bez udziału gastarbeiterów. Szacuje się, że w latach 1955-1973 przybyło do RFN ok. 14 mln pracowników z Włoch, Turcji, Jugosławii i Grecji.

Obecnie w Niemczech są 2 mln wakatów na rynku pracy. Dla liberałów

Już co piąty Niemiec głosowałby na AfD, partię wyrosłą na polityce antyimigracyjnej.

Od stycznia do maja 2023 r. przybyło do UE 102 tys. migrantów. Od początku roku w Niemczech złożono 100 tys. wniosków o azyl.

eprasa.pl fef7fb23da

jednym z czołowych haseł jest zwiększenie migracji zarobkowej. Chcieliby wprowadzenia wzorowanego na kanadyjskim systemu punktowego. Chadecy również opowiadają się za zwiększeniem migracji zarobkowej, i to nie tylko w sektorach z wyższymi płacami.

Według Fundacji Bertelsmana w 2016 r. 1,3 mln miejsc pracy zostało stworzonych przez przedsiębiorców ze środowisk migracyjnych. Wielu migrantów pracuje w zawodach akademickich, ich liczba wzrosła w latach 2012-2021 o 155%, pięć razy więcej niż wśród rodowitych Niemców. W międzynarodowym wyścigu o wysoko wykwalifikowanych specjalistów Niemcy pozostają jednak w tyle – od 2019 r. spadły z 12. na 15. miejsce wśród 38 krajów OECD. Na szczycie tabeli są Nowa Zelandia, Szwecja, Szwajcaria, Australia i Norwegia.

Po pięciu latach od kryzysu migracyjnego 2015-2016 pracę znalazło około połowy uchodźców w Niemczech, głównie dzięki chłonnemu rynkowi pracy, na którym każda para rąk była i nadal jest pilnie potrzebna, na wszystkich poziomach kwalifikacji. Na kursy integracyjne, jak również na szkolenia zawodowe popłynęły miliardy – i to się opłaciło.

Kamil Frymark podsumowuje: – Trudno zliczyć, ile miliardów euro wydano na politykę migracyjną w Niemczech w ciągu ostatnich lat, ale zarówno państwo niemieckie, jak i większość Niemców postrzegają te wydatki jako inwestycje, które w kolejnych latach oraz dekadach będą procentować. Jedną z lekcji, która płynie z niemieckiej polityki migracyjnej, jest zaangażowanie samorządów lokalnych oraz ich społeczności na jak najwcześniejszym etapie integracji. Należy jednak podkreślić, że Niemcy mają stosunkowo duży problem z wkomponowaniem uchodźców w miejscowy rynek pracy. Wynika to przede wszystkim z przerostu biurokracji oraz trudności z uznawaniem kwalifikacji obcokrajowców.

– Zarazem trwa szeroka debata, jak ściągnąć pracowników do Niemiec – kontynuuje Frymark. – Dotychczasowy system pozyskiwania pracowników składał się z trzech filarów. Pierwszy dotyczył aktywizacji zawodowej Niemców, którzy dotychczas nie pracowali. Drugi filar dotyczył pracowników z Unii Europejskiej. Warto podkreślić, że w Niemczech wschodnich lukę na rynku pracy bardzo często zapełniają Polacy i Czesi, którzy codziennie dojeżdżają do zakładów pracy po drugiej stronie granicy. Trzeci element to zachęcanie migrantów zarobkowych spoza Unii Europejskiej do podjęcia działalności zawodowej w Niemczech. Z uwagi na to, że dwa pierwsze filary wyczerpują się, trzeci będzie nabierał coraz większego znaczenia.

Szeroka debata przydałaby się również w Polsce, która w ostatnich latach stała się krajem imigracji. Tu też ścierają się podejścia – pragmatyczne z upolitycznionym. Kierując się przykładem Niemiec, trzeba szukać słusznej i etycznej drogi rozwoju.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fef7fb23da

Przedstawiciele Pierwszych Narodów domagają się większego udziału w życiu publicznym.

Prawo do bycia u siebie

Australijska konstytucja po raz pierwszy może dać głos rdzennym mieszkańcom kraju

Mateusz Mazzini

To już pewne – referendum odbędzie się przed końcem roku. Australijski parlament przyjął ustawę o głosowaniu w ubiegły poniedziałek, wyznaczając termin na 2023 r. Brzmienie pytania referendalnego nie zostało jeszcze w pełni ustalone, ale dotyczyć będzie ustanowienia nowej instytucji, potocznie nazywanej The Voice – Głos. Ma ona zapewnić stałą reprezentację polityczną australijskim mniejszościom etnicznym. Nie tylko tym najbardziej znanym, czyli Aborygenom, ale też mieszkańcom wysp w Cieśninie Torresa, oddzielającej Australię od Papui-Nowej Gwinei, czyli po prostu od politycznej i geograficznej Azji.

Choć Głos ma być ciałem wyłącznie doradczym, współpracującym z parlamentem i rządem przy tworzeniu polityk dotyczących rdzennych mieszkańców tych ziem, sam pomysł jego powołania wzbudził wielkie kontrowersje. Bo choć o Aborygenach wiedzą wszyscy, a Australia od lat lubi się nimi popisywać, stosując elementy ich kultury w budowaniu marki narodowej i napędzaniu turystyki, to wśród białych, rządzących krajem polityków z Canberry sama myśl o nadaniu większych praw tym, którzy zawsze byli tu u siebie, wywołuje mieszankę lęku i niesmaku.

Na marginesie

Tegoroczne referendum jest przez wszystkich graczy na tamtejszej scenie politycznej nazywane przełomowym i niewiele jest w tym przesady, przynajmniej z prawnego punktu widzenia. Choć z punktu widzenia trendów ostatnich lat w tego typu prawodawstwie wydaje się to co najmniej dziwne, żeby nie powiedzieć kontrowersyjne, warto podkreślić, że Aborygeni i mieszkańcy Wysp Torresa wciąż nie mają w Australii statusu tzw. Pierwszych Narodów. Innymi słowy, nikt jeszcze nie zapisał w prawie faktu, że to oni zamieszkiwali te ziemie jako pierwsi, dlatego ich kultura, język, sztuka, ale też przywiązanie do ziemi (niekoniecznie poparte tytułami prawnymi) powinny być przez australijski rząd objęte ochroną.

To o tyle archaiczna sytuacja, że Australia na arenie międzynarodowej uchodzi za kraj zdecydowanie postępowy, a podobną legislację na rzecz mniejszości etnicznych wprowadziło wiele innych krajów. Dobrym przykładem jest Kanada, która – przynajmniej nominalnie – prawa Pierwszych Narodów (choć wtedy jeszcze nie wszystkich) w konstytucji zapisała już w 1982 r. Początkowo oczywiście nie przekładało się to na nic, a na pewno nie podnosiło jakości życia Inuitów i innych grup, jednak dało symboliczny początek walce o ich prawa. Aborygeni w Australii nie mieli nawet tego.

eprasa.pl fef7fb23da

Przez dekady uważano ich za nieobywateli, bo nazwanie ich mieszkańcami drugiej kategorii byłoby zbyt optymistycznym przedstawieniem sytuacji. W nieco przeszło 25-milionowej Australii żyje ich ok. 800 tys. Do 1967 r. nie byli zresztą nawet uwzględniani w oficjalnych spisach powszechnych, dlatego nie da się precyzyjnie badać zmian populacyjnych i demograficznych wśród Pierwszych Narodów. Dziś są natomiast nadreprezentowani we wszystkich statystykach dotyczących marginalizacji społecznej. Aborygeńskie dzieci 10 razy częściej niż ich biali rówieśnicy trafiają do rodzin zastępczych, siedem razy częściej są objęte instytucjonalną opieką pomocy społecznej. Ich wyniki w nauce, mierzone podstawowymi umiejętnościami, jak czytanie ze zrozumieniem czy przeprowadzanie podstawowych działań matematycznych, bywają dwu-, a nawet trzykrotnie niższe od umiejętności pozostałych. Stanowią nieco ponad 3% populacji, ale jednocześnie co czwarty więzień australijskich zakładów karnych wywodzi się właśnie z mniejszości etnicznej. Znacznie częściej niż biali obywatele nie kończą szkół średnich, ze świecą szukać ich na uniwersytetach. Łatwiej popadają w nałogi, dużo częściej umierają na choroby serca i na raka. Co piąty członek Pierwszych Narodów mieszka na obszarach tak odległych od zabudowań miejskich, że nie ma dostępu do żadnych usług publicznych, od edukacji po służbę zdrowia. W takich sytuacjach często jedyną szansą na naukę jest uczenie korespondencyjne albo zapomniana już nieco na naszych szerokościach geograficznych szkoła radiowa. O internecie nie ma co marzyć, w głębokim interiorze Australii sygnału po prostu nie ma. A po szkole niemal na pewno bieda, bo stałą pracę ma mniej niż połowa przedstawicieli Pierwszych Narodów w grupie wiekowej 15-64 lata.

Ocean dla wszystkich

Tyle jeśli chodzi o suche dane, bo opresja Aborygenów ma jeszcze silny wymiar symboliczny. Ta historia nie różni się akurat od opowieści o innych mniejszościach na świecie. Silne przywiązanie do ziemi, na której się wychowali, brak zrozumienia dla obsesji białych ludzi na punkcie własności prywatnej, próba legitymizacji swojej obecności w konkretnym miejscu nie przez prawo, lecz przez tradycję – używając terminologii Maxa Webera sprzed ponad stu lat. Co nie znaczy wcale, że Pierwsze Narody nie próbowały swoich sił w sądach. Wręcz przeciwnie – i to tutaj należy szukać źródeł lęku, który tegoroczne referendum wywołuje u części australijskiej klasy politycznej.

W 2006 r. przez kraj przeszedł absolutny wstrząs, po tym jak jeden z sędziów federalnych uznał prawa liczącej 30 tys. osób rdzennej społeczności Noongar do traktowania zdecydowanej większości obszaru metropolitalnego Perth na południowym zachodzie kraju jako własne ziemie. To nie był wcale dawny precedens, już w 1992 r. w podobnym procesie przeciwko władzom stanu Queensland Pierwsze Narody odniosły ważne zwycięstwo. Wtedy rząd federalny zgodził się na przepisanie kodeksu cywilnego tak, aby uwzględnić w nim aborygeńskie rozumienie prawa własności i ich własną kulturę. Nie oznaczało to masowej restytucji mienia, wręcz przeciwnie – nadal każdy, kto chciał odebrać np. tradycyjne miejsce pochówku swojej społeczności wielkiej korporacji, która wydobywała w jego okolicach węgiel, musiał indywidualnie rozpoczynać wieloletnią batalię przed sądem. Na poziomie jednostki taka osoba praktycznie zawsze stała na straconej pozycji. W arsenale dostępnych argumentów miała co najwyżej przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści albo zapiski podróżników z XIX w., mogące udokumentować obecność mniejszości etnicznych na tych ziemiach. Ważniejsza jednak była wtedy perspektywa zbiorowa, bo od 1992 r. w australijskim prawie Aborygeni zaczęli istnieć – jako inni, ale mimo wszystko wciąż uznani przez władze mieszkańcy kraju.

Wyrok z Perth był o tyle kontrowersyjny, że przyznał społeczności Noongar prawa do ogromnych terytoriów, w tym do większości południowo-zachodnich plaż. Brzmi to groteskowo, ale ówczesny prokurator generalny Philip Ruddock alarmował, że w wyniku decyzji sądu biali mieszkańcy Perth mogą… utracić dostęp do morza, dlatego że zdecydowana większość spornych obszarów dotyczyła właśnie lasów, wybrzeża i tamtejszych parków narodowych. Liderzy aborygeńskiej społeczności odpowiadali, że wcale nie mają takich planów, nikomu nie zamierzają zabierać przydomowych ogródków ani szans na pływanie w oceanie, ale na niewiele to się zdało. Również dlatego, że media wolały słuchać polityków panikarzy, a nie zbiorowego głosu tych, którzy rzeczywiście na owych plażach byli pierwsi.

Pierwsze Narody Australii nie mają ambicji zmieniania całego kraju i jego ustroju. Chcą tylko współdecydować o swojej własnej przyszłości.

Referendum i co dalej

W przypadku referendalnego zwycięstwa sytuacja ta wreszcie ma się zmienić. Sam fakt głosowania jest na antypodach dużym wydarzeniem, bo Australijczycy w referendum po raz ostatni głosowali w 1999 r., a konstytucji nie zmieniali od 46 lat. Przygotowania do zmiany ustawy zasadniczej trwały siedem lat, bo choć idea stworzenia stałej reprezentacji Pierwszych Narodów istniała w Australii od zawsze, to tak samo długo pozostawała na marginesie politycznym, w dodatku była też niesprecyzowana. Wiadomo, że pomysły radykalne, jak uznanie suwerenności wysp w Cieśninie Torresa, należało włożyć między bajki. Ale wszystko inne było już możliwe do przedstawienia jako przedmiot dyskusji.

W 2018 r. rozpoczęły się konsultacje społeczne z liderami grup aborygeńskich, w których uczestniczyło ponad 500 różnych społeczności. Jak donosi portal The Conversation, ponad 90% z przedłożonych przez nich

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl fef7fb23da

propozycji zakładało jakąś formę stałego doradztwa przy tworzeniu prawa dotyczącego ich samych. Samo to pokazuje, jak daleka od prawdy była histeria wywołana przez Ruddocka kilkanaście lat temu – Pierwsze Narody Australii nie mają ambicji zmieniania całego kraju i jego ustroju. Chcą tylko móc współdecydować o swojej własnej przyszłości, jak przystało na pełnoprawnych obywateli państwa, w którym mieszkają.

Głos nie będzie miał żadnej sprawczości w ramach tworzenia australijskiego prawa. Będzie wyłącznie ciałem konsultacyjnym, bez prawa weta czy zdolności przedkładania własnych propozycji ustaw pod obrady parlamentu. Wciąż brakuje jeszcze szczegółów odnośnie do funkcjonowania samej instytucji – ilu będzie miała członków, jak będą wybierani i które grupy będą miały prawo wysunąć swoich przedstawicieli jako kandydatów. To jednak póki co kwestie wtórne, bo zasady działania Głosu nie zostaną wpisane do konstytucji, będą regulowane osobną ustawą. Tutaj pojawia się jednak pierwsza kość niezgody, bo ustawę pisać będą najpewniej członkowie parlamentu, a nie liderzy rdzennych społeczności. Oni sami po raz pierwszy wypowiedzieli się w 2017 r., ogłaszając tzw. Proklamację Uluru, fundamentalny wspólny dokument, w którym Pierwsze Narody domagały się uznania ich praw w konstytucji. Wtedy też zrobiło się gorąco w australijskiej polityce, niektórzy politycy z otoczenia ówczesnego prawicowego premiera Malcolma Turnbulla wieszczyli coś na kształt oddolnej rewolucji mas, choć sam tekst proklamacji jest wyjątkowo stonowany. Dziś częściej definiuje się ją jako zaproszenie do dialogu, a nie wyraz gniewu i chęć odebrania własnych należności, choćby siłą.

Do 1967 r. Aborygeni nie byli nawet uwzględniani w oficjalnych spisach powszechnych.

Głosowanie będzie odbiegać od innych również pod względem strukturalnym. Już w lutym ruszyły oficjalne kampanie za i przeciw reformie konstytucyjnej, obie niezależne od rządu. Ich postulaty zostaną podsumowane w kilkustronicowych dokumentach, które musi zatwierdzić australijska federalna komisja wyborcza. Potem będą dostępne dla wszystkich głosujących. Co najważniejsze jednak, zwolennikom reformy konstytucyjnej nie będzie łatwo wygrać głosowania – żeby stała się ona faktem, poprzeć ją musi „większość Australijczyków w większości stanów". Nie wystarczy zatem ponad połowa głosów w ogólnym rozrachunku. Obóz głosowania na „tak" musi zdobyć co najmniej 50% poparcia w co najmniej czterech z sześciu stanów australijskiej federacji.

Na razie w dość niespodziewany sposób ideę wpisania do konstytucji praw ludności rdzennej poparły największe australijskie spółki. Według wyliczeń Reutersa jednoznacznie za zmianą ustawy zasadniczej opowiada się aż 13 z 30 wiodących australijskich pracodawców w sektorze prywatnym, w tym również najbardziej kontrowersyjni z nich, jak przedsiębiorstwa z sektora wydobywczego. Przeciwko nie wypowiedział się nikt, połowa nie zamierza zajmować żadnego stanowiska. To i tak duży sukces. Z kolei marcowy sondaż przeprowadzony za zlecenie australijskiego wydania dziennika „The Guardian" wskazuje na 59-procentowe poparcie społeczne dla głosowania na tak w referendum, aczkolwiek trend jest spadkowy. Tylko w 2023 r. obóz popierający zmianę konstytucyjną stracił aż 5 pkt proc.

Jak zawsze w takim przypadku mnożą się obawy o realność wyborczego sukcesu. Czy dopisze frekwencja? Czy dyskusji o reformie nie zdominuje propaganda i fake newsy, jak stało się to chociażby w przypadku ubiegłorocznego referendum konstytucyjnego w Chile? Ta analogia jest nieprzypadkowa, bo leżące po drugiej stronie Pacyfiku państwo również chciało po raz pierwszy w historii zapisać w konstytucji stałą reprezentację polityczną wszystkich mniejszości etnicznych ze swojego terytorium. Propozycja ostatecznie upadła, również dlatego, że Chilijczyków straszono przymusowymi wywłaszczeniami sprywatyzowanych lasów na rzecz Mapuczy, największej niebiałej grupy etnicznej w kraju. Na prawicy, podobnie zresztą jak w Australii, mają oni opinię ekoterrorystów, gotowych do sięgnięcia po przemoc w obronie „wyimaginowanych praw do ziemi". Kluczowy jest tu też interes ekonomiczny, bo bardziej restrykcyjna kontrola terenów przekazanych Pierwszym Narodom oznaczałaby potencjalny cios właśnie dla kopalń i firm handlujących surowcami naturalnymi – dla australijskiego PKB niezwykle ważnych, w dodatku dotychczas praktycznie niezagrożonych w krajowej ekspansji.

Wiatr zmian dotarł już jednak na antypody i chyba się rozgościł. Pojedyncze akty symboliczne, jak wieszanie flagi Aborygenów w miejscach publicznych czy deklaracje uznania praw społeczności do lokalnych terenów, wygłaszane przed koncertami, przedstawieniami teatralnymi czy w szkołach przed lekcjami nikogo nie dziwią. I dobrze, w końcu może Pierwsze Narody poczują się u siebie we własnym domu.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fef7fb23da

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Które łodzie toną w ciszy?

Wokół najprawdopodobniej zakończonej dramatem i śmiercią pięciu osób wyprawy łodzi podwodnej „Titan" do wraku „Titanica" (kiedy piszę te słowa, łodzi nawet jeszcze nie zlokalizowano) pytania, wątpliwości i oceny rozrastają się jak algi w oceanie. Sama historia, przez wiele dni relacjonowana niemal na żywo (choć z przewidywaniami śmierci) przez media całego świata, jest właściwie banalna. Grupa niewyobrażalnie bogatych mężczyzn, wśród nich brytyjski miliarder, milioner z Pakistanu wraz synem (syn też chyba jest milionerem?), właściciel firmy, która zbudowała łódź i organizuje te wyprawy (bilet kosztuje ok. 250 tys. dol. za osiem dni pływania, w tym ośmiogodzinne zejście do wraku leżącego 4 km pod powierzchnię oceanu), wybrała się na skrajnie ekskluzywną wycieczkę. Podobne rejsy tą łodzią już się odbywały. Dwie godziny po zanurzeniu utracono łączność z „Titanem" i rozpoczęto poszukiwania (statki, samoloty, łodzie podwodne – w dużej mierze wojskowe lub państwowe). Nagle zdobyliśmy do niczego nam niepotrzebną wiedzę o samej łodzi, nurkowaniu, historii zatonięcia „Titanica".

Rzadziej docierały informacje o zagrożeniach, jakie niosła konstrukcja wybudowanej prywatnie, dla zysku, poza wszelkimi standardami i nieposiadającej jakichkolwiek atestów, łodzi. Przez media przemknęła informacja, że już w 2018 r. kilkudziesięciu specjalistów ze stowarzyszenia Marine Technology Society (MTS) podpisało alarmujący list do szefa OceanGate w sprawie niebezpieczeństwa pływania tą łodzią. Firma nie reagowała, natomiast w tym samym roku zwolniła Davida Lochridge'a, dyrektora odpowiedzialnego za bezpieczeństwo pasażerów, po tym, jak nie dał zgody na testy „Titana" z udziałem załogi. Można powiedzieć, że metodycznie i konsekwentnie zdążano do katastrofy. Ale dzisiaj nie analizuje się tych wątków, tylko dostarcza mediom setek bezsensownych przekazów, że słyszano głosy, że dobywały się one w cyklach czasowych, że 22 czerwca o godz. 13.08 zabraknie tlenu. Przekaz został zdominowany przez „ludzką" troskę o „ludzi" (ludzie nawet tak zamożni pozostają wszak ludźmi, nieprawdaż?), którzy przecież świadomie podjęli ryzyko z nieznanych bliżej motywacji. Akcja ratunkowa służb cywilnych i wojskowych USA i Kanady musi kosztować krocie, ale o tych sumach się nie mówi. Rzecz jasna wolałbym, żeby wycieczkowicze zostali uratowani. Choćby po to, żeby właściciel firmy i kapitan-pilot łodzi stanęli przed sądem. To nie była wyprawa badawcza, naukowa – to był komercyjny rejsokaprys.

Najciekawsza wydaje mi się fałszywa retoryka, jaka oplata ów epizod fanaberii bogaczy i zaspokajającego ich zachcianki biznesu, który funkcjonuje ponad jakimkolwiek prawem. A może należałoby przeliczyć koszt medialnego rozgłosu dla firmy, która zanurzyła tych ludzi na śmierć? Tu już wchodzą w grę miliardy, według skądinąd chorych reguł tego biznesu (mediów).

Kilka dni wcześniej na Morzu Śródziemnym tonął i zatonął kolejny stateczek, na którym znajdowało się ok. 750 uchodźców z Afryki, w tym co najmniej około setka dzieci. Uratowano zaledwie ok. 100 osób przy śladowym zainteresowaniu mediów. Tu jakoś „ludzka" troska o „ludzi" nie sięgała zbyt głęboko. Cóż, podwodna, turystyczna łódka miliarderów jest niewątpliwie bardziej sexy. Różnice, mimo pozornych podobieństw (wyprawa łodzią wątpliwej jakości, niebezpieczeństwo, ryzyko, pieniądze), są jednak fundamentalne. Uchodźcy płyną, by uciec przed śmiercią lub nędzą, wydają na to pieniądze całego życia i rodziny, są skrajnie zdeterminowani. Dla pasażerów „Titana" to urozmaicenie opływającego we wszystkie dobra, przyjemności i przywileje dostatniego życia. Ale taki język krytyki, który pojawia się wobec uchodźców, ani przez chwilę nie gości, a z całą pewnością nie dominuje, w przekazie o piątce w „Titanie". Najbogatszym przypisane jest z automatu prawo do irracjonalnej żonglerki własnym i cudzym życiem, bez reguł i zasad, które obowiązują „zwykłych" ludzi. Biedakom odbiera się prawo do walki o własne życie czy polepszenie jego straszliwego standardu.

Spektakl nierówności odegrany w medialnym kołowrocie pokazuje te sprzeczności jak na dłoni. Jednak we współczesnym kulcie bogactwa, a co za tym idzie bogatych ludzi, obdarzani są oni przymiotami, do których nawet się nie zbliżają. Nieomylności, racjonalności, przewidywalności, odpowiedzialności. Przepuśćmy przez te filtry decyzję o tej wyprawie. Nie ostanie się nic. Problemem jest to, że reguły widzenia świata przez te wykoślawione okulary dotyczą nie tylko epizodu z podwodną łódką, ale wszystkich najważniejszych zagadnień naszego życia: gospodarki, warunków życia i pracy, systemowych konsekwencji totalnych nierówności.

Nawet taki ewidentny przykład jak tragedia „Titana" niczego w tym nie zmienia. I tu naprawdę nie chodzi o „nienawiść" do tych, którzy mają więcej. Zupełnie nie o to. Ale tak to zostanie zanotowane.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fef7fb23da

Wyborcza matura

Tegoroczny egzamin był bardzo łatwy. Jedyne utrudnienie to powrót po pandemicznej przerwie egzaminów ustnych

Małgorzata Żuber-Zielicz

Prawie rok temu opublikowałam w PRZEGLĄDZIE podsumowanie z okazji 20-lecia w Polsce egzaminów zewnętrznych, w tym matury. Proponowałam postawienie dolarów przeciw orzechom, że mimo groźnie brzmiących zapowiedzi ministra Przemysława Czarnka i szefa Centralnej Komisji Egzaminacyjnej Marcina Smolika tegoroczna matura będzie przedwyborczo łatwa. I rzeczywiście była, nawet tak bardzo, że wszyscy(!) byli zaskoczeni, łącznie z opozycyjnymi mediami, które do końca wieszczyły maturalny pogrom. Jedynym utrudnieniem, jakie pozostało, jest powrót po pandemicznej przerwie egzaminów ustnych. Powrót bezsensowny, bo – jak już pisałam – oceny z tych egzaminów, jako nieporównywalne, nie są praktycznie brane pod uwagę w rekrutacji. Za to, o czym nie chcą słyszeć ani minister Czarnek, ani dyrektor Smolik, powodują na prawie miesiąc destrukcję w młodszych klasach licealnych edukacji polonistycznej i językowej. Nauczyciele tych przedmiotów muszą bowiem zasiadać w komisjach maturalnych na egzaminach ustnych. Jednocześnie ktoś musi też być obecny w komisjach na odbywających się równolegle egzaminach pisemnych. CKE oraz okręgowe komisje egzaminacyjne wyjątkowo rozrzutnie szafują tu nauczycielskim czasem – często jednego-trzech uczniów musi pilnować dwóch-trzech nauczycieli, nawet przy równolegle odbywających się w szerszym gronie maturach z tego samego przedmiotu i na tym samym poziomie. W efekcie uczniowie klas I-III liceum tracą ponad dwa miesiące(!) edukacji polonistycznej i językowej.

Wbrew pozorom łatwa matura, szczególnie z przedmiotów na poziomie rozszerzonym, stanowiących na najbardziej obleganych kierunkach podstawę rekrutacji, nie jest dobra dla maturzystów, zwłaszcza tych ambitniejszych i lepiej przygotowanych. Nie pozwala im się wykazać większymi umiejętnościami, o ostatecznym wyniku w znacznie większym stopniu zaczynają decydować głupie pomyłki, drobne błędy, niewłaściwe odczytanie tego, co autorzy arkusza mieli na myśli, nietrafienie w klucz itp. merytorycznie nieistotne czynniki. Co gorsza, mimo że jeszcze przed brexitem brytyjskie uczelnie – z Oksfordem i Cambridge na czele – nauczyły się w przypadku kandydatów z Polski korzystać z podawanej już od lat na świadectwach maturalnych skali centylowej (mówi o wyniku danej matury na tle całej populacji), to żadna(!) polska uczelnia do dziś na tę skalę w rekrutacji nie przeszła. A przecież jedynym de facto sensem matury w Polsce jest formalne prawo do studiowania i rekrutacja na uczelnie. Średnie wykształcenie maturzyści już mają.

> CKE dopuściła na maturze kalkulatory zwane dumnie „naukowymi", ale tylko na egzaminie z fizyki i chemii. Na matematyce już nie.

Podsumowując – minister Czarnek oraz dyrektor Smolik zrealizowali scenariusz ze starego szmoncesu z kozą rabina. Najpierw intensywnie strasząc, nawet pół roku przed maturą, kozę wprowadzili, a na samych maturach kozę maturalnych strachów i obaw wyprowadzili. To wielka sztuka – coś dać, niczego faktycznie nie dając.

Dyrektor CKE nie tylko jednak straszył uczniów. Od początku pełnienia funkcji, nie mając na to żadnych(!) dowodów, systematycznie wskazywał dyrektorów szkół i nauczycieli jako źródło wszystkich rzeczywistych i domniemanych wycieków maturalnych. W tym roku przeszedł samego siebie – CKE wyprodukowała wielostronicowe superszczegółowe regulaminy maturalne drobnym druczkiem. Do niektórych paczek z arkuszami maturalnymi dołączono ponoć elektroniczne czujniki, mające sygnalizować ich otwarcie przed przepisowym terminem.

Spóźniona matura Szkoły w Chmurze

Wszystko to poszło w niepamięć w jednej chwili pierwszego dnia matur – po skandalu z maturą przeprowadzaną na stadionie stołecznej Legii przez Szkołę w Chmurze – kolejny biznes Mariusza Truszkowskiego, właściciela i twórcy portalu chomikuj.pl. Egzamin zdawało tam ok. 700 maturzystów i w dwóch z kilkunastu sal nie poradzono sobie na czas z losowaniem miejsc, weryfikacją tożsamości i rozdaniem identyfikacyjnych naklejek na arkusze. Według stołecznego dodatku do „Gazety Wyborczej" nawet nie wszystkim tę tożsamość sprawdzano.

eprasa.pl fef7fb23da

Maturzyści są uprzedzani o konsekwencjach posiadania urządzeń elektronicznych, jeśli zostaną ujawnione, ale to wszystko.

W wielu szkołach matury zdaje czasem i 200 uczniów, a egzamin zaczyna się o czasie. Tu było inaczej – matura rozpoczęła się, również według oficjalnego komunikatu firmy, z półtoragodzinnym(!) opóźnieniem. Czyli w momencie, kiedy już w całej Polsce paczki z maturami otwarto, a niektórzy, mniej zainteresowani wynikiem maturzyści, mogli nawet wyjść z egzaminu. Tematy znała więc już de facto, via internet, cała Polska. Był też czas, by potrzebującym zapewnić odpowiednią „pomoc".

I nagle wszystko się zmieniło. Dyrektor Smolik z pełną wyrozumiałością pogroził tylko palcem i zapowiedział, że jak Szkoła w Chmurze się nie poprawi… Według warszawskiej OKE wszystko było w najlepszym porządku, a 11 jej pracowników oraz szefowa oświadczyli na piśmie, że mają pewność, iż przez te półtorej godziny oczekiwania maturzyści żadnego kontaktu z otoczeniem mieć nie mogli. Trudno nie wątpić w prawdziwość tego oświadczenia. Po pierwsze, komisje nie mają prawa ani sprzętu, by sprawdzić, czy dana osoba wnosi na salę niedozwolone urządzenia elektroniczne, czy też nie. Maturzyści są, owszem, uprzedzani o konsekwencjach posiadania takich urządzeń, jeśli zostaną ujawnione (np. telefon zadzwoni), ale to wszystko. Po drugie, deponując komórkę u organizatorów, zawsze można mieć drugą, smartwatcha czy mały odbiornik w słuchawce. Więc nawet jeśli zdeponowano tyle telefonów komórkowych, ilu było maturzystów, to wcale nie znaczy, że urządzeń na sali nie było. No i wreszcie na podstawie dziesiątek lat nauczycielskiego i dyrektorskiego doświadczenia sądzę, że w sytuacji znacznego opóźnienia w rozpoczęciu egzaminu członkowie komisji skupili się raczej na rejestrowaniu kolejnych maturzystów, a nie szukaniu elektronicznych gadżetów. Co więcej – cóż może być bardziej naturalne i niewzbudzające podejrzeń w zachowaniach maturzystów świadomych przecież opóźnienia, jak nie nerwowe zerkanie na zegarek. A że to akurat smartwatch…

Nic się nie stało?

To zdarzenie zbulwersowało nauczycieli i dyrektorów. W każdej innej szkole, szczególnie publicznej, egzamin by unieważniono, dyrektor i komisja egzaminacyjna musieliby się gęsto tłumaczyć, a uczestnicy pisaliby go w rezerwowym terminie (dla tych, którzy z usprawiedliwionych powodów nie mogą pisać w maju) w czerwcu. A tu nic! Co więcej, wody w usta nabrał nie tylko dyrektor CKE i jego szef, minister Czarnek, ale i dziwnie tu solidarna z MEiN „Gazeta Wyborcza". Teksty o prawdziwym przecież i ogólnopolskim skandalu maturalnym (Szkoła w Chmurze miała maturzystów z całej Polski) pojawiły tylko w stołecznym dodatku „GW", a nie w głównym wydaniu gazety. Jakaż to potężna siła kazała tak różnym politycznie podmiotom zamilknąć w tej sprawie?

Następnie zaczęła się zmasowana i wyraźnie centralnie sterowana kampania medialno-internetowa pod dwoma głównymi hasłami – „Polacy, nic się nie stało!" i „Kwestionowanie poprawności przebiegu tej matury to atak na uczniów Szkoły w Chmurze oraz samo to nowatorskie przedsięwzięcie, podjęty przez edukacyjną betonową konserwę oraz zagrożoną i zazdrosną konkurencję!". Dyrekcja szkoły wydała dość kuriozalne oświadczenie, z którego wynikało m.in., że ta placówka jest tak nowoczesna, że szanuje różne sposoby podejścia swoich uczniów do egzaminów maturalnych, również takie, w którym są one, cytuję – „spotkaniem towarzyskim".

Najwyraźniej nie chcąc prowokować porównań ze skandalem maturalnym Szkoły w Chmurze, CKE gwałtownie złagodniała w stosunku do innych wykrytych naruszeń regulaminu maturalnego. Praktyką do tej pory było, że w przypadku ujawnienia takich naruszeń bezpośredni sprawcy piszą maturę za rok, a pozostali uczniowie z danej sali – ponownie w terminie czerwcowym. W tym roku w kilku ujawnionych przypadkach fotografowania i upowszechniania wizerunku arkuszy ukarano tylko bezpośrednich sprawców. Gdzieś zniknęły też gromkie zapowiedzi dyrektora Smolika o wyciąganiu przez kuratoria odpowiedzialności w stosunku do członków komisji nadzorującej salę,

FOT. TOMASZ RADZIK/AGENCJA SE/EAST NEWS

eprasa.pl fef7fb23da

w której doszło do takiego incydentu, oraz dyrektorów właściwych szkół. Ponieważ Szkoła w Chmurze tuż po zakończeniu egzaminów wewnętrznych znienacka i bez uprzedzenia zrezygnowała ze współpracy z mnóstwem wynajętych nauczycieli, pewnie sporo się dowiemy z czasem o rzeczywistym przebiegu maturalnego skandalu.

Kalkulatory mniej i bardziej „naukowe"

Skandal czy właściwie skandale z maturą Szkoły w Chmurze – bo i w kolejnym dniu doszło ponoć do mniejszych, ale istotnych opóźnień – przyćmił parę innych kwestii.

Najważniejszym chyba problemem był niesłychany chaos, jaki towarzyszył wprowadzaniu różnych ułatwień i regulacji do pierwszego w czteroletniej wersji liceum ogólnokształcącego egzaminu maturalnego. W ciągu ostatniego pół roku pojawiały się ni z tego, ni z owego informacje o kolejnych ułatwieniach tylko dla tego i kolejnego maturalnego rocznika.

Innym przykładem chaosu jest kwestia dopuszczonych na maturze kalkulatorów. Już ze 40 lat temu nawet w krajach afrykańskich, które korzystają z systemów maturalnych np. brytyjskich czy Matury Międzynarodowej (IB), na egzaminach można, a nawet trzeba było korzystać z zaawansowanych, programowalnych kalkulatorów graficznych z wieloma jeszcze innymi funkcjami. W Polsce, wprowadzając egzaminy zewnętrzne ponad 20 lat temu, dopuszczono na nich jedynie czterodziałaniowy kalkulator z funkcją wyciągania pierwiastka kwadratowego. Wbrew pozorom nawet te kalkulatory różnią się od siebie. Mając w perspektywie często niekoniecznie skomplikowane, ale za to żmudne obliczenia w warunkach maturalnego stresu i niedoczasu, – pozostał dotychczasowy „kalkulator prosty". W efekcie niektórzy uczniowie musieli uczyć się korzystania z dwóch różnych kalkulatorów. Co więcej – określając w dokumentach kalkulator jako „naukowy", nie sprecyzowano, co ten termin znaczy, nie opisano dopuszczalnych i zakazanych możliwości takich urządzeń, nie podano dopuszczonych i zakazanych modeli najpopularniejszych firm itp. Ponieważ maturzyści to duży rynek, a kalkulator im bardziej zaawansowany, tym droższy, praktycznie wszystkie kalkulatory na rynku stały się w ofercie „naukowymi".

Matura w coraz mniejszym stopniu stymuluje i sprawdza rozwój kompetencji intelektualnych polskich uczniów.

warto się zapoznać w pełni z różnymi detalami pracy na takim urządzeniu – np. z jego klawiaturą i obsługą pamięci. Tym razem CKE postanowiła być nowoczesna i dopuściła na maturze kalkulatory zwane dumnie „naukowymi" – ot taka nowoczesność z okresu moich studiów w latach 70. Dopuściła je jednak tylko na maturze z dwóch przedmiotów – fizyki i chemii. Na innych przedmiotach – w tym obowiązkowej matematyce (ale też biologii, geografii i informatyce)

Tegoroczna matura wyborcza była nadzwyczaj łatwa. W kwietniu 2024 r. mamy wybory samorządowe. W związku z tym preferencyjne regulacje z tegorocznej matury będą obowiązywać również za rok. Chciałabym jednak ostrzec przyszłorocznych maturzystów. W tych samych regulacjach można zmieścić dużo trudniejszy, naprawdę trudny egzamin. W maju 2024 r. będzie już po wszystkich wyborach. Procedura przygotowań arkuszy maturalnych przez CKE jest taka, że przed nowym rokiem są one już w pełni gotowe. Zatem nawet jeśli po listopadowych wyborach zmieni się rząd, to nowy minister nie będzie już miał czasu czegokolwiek istotnego zmienić. Za to widać na horyzoncie parę powodów, dla których stara władza zechce nowej na odchodnym podłożyć taką tykającą bombę egzaminacyjną.

Niezależnie od takich czy innych zawirowań tendencja jest niestety ciągle ta sama – matura w coraz mniejszym stopniu stymuluje i sprawdza rozwój kompetencji intelektualnych polskich uczniów. I to nam wszystkim źle wróży.

Małgorzata Żuber-Zielicz była nauczycielką, dyrektor II LO im. Stefana Batorego oraz wicedyrektor XXXIII LO im. Mikołaja Kopernika w Warszawie, w latach 2008-2018 przewodnicząca Komisji Edukacji i Rodziny Rady m.st. Warszawy

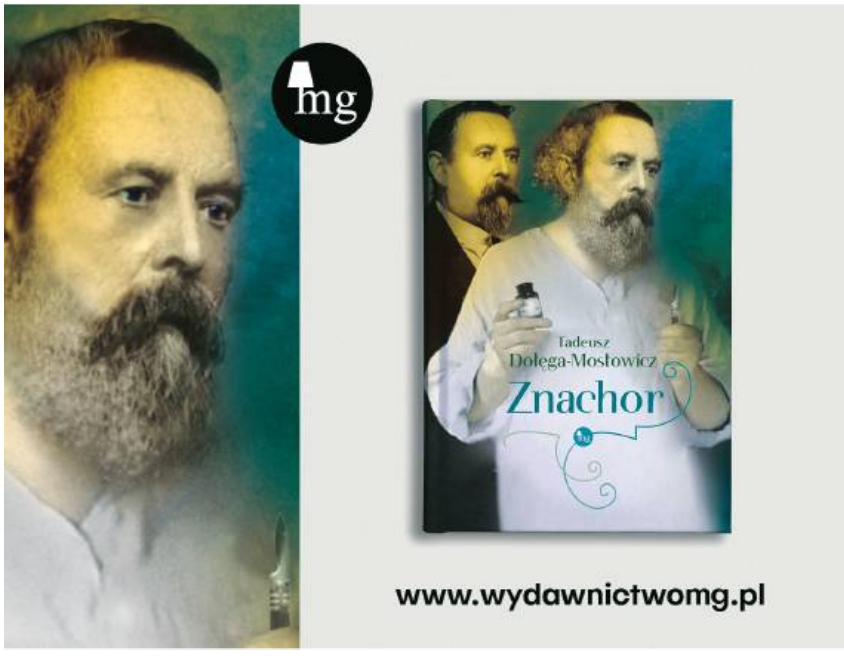

eprasa.pl fef7fb23da

Na ciebie szkoda kulki

Upowska czystka w Pustomytach

Ofiary czystki na Wołyniu.

Katarzyna Surmiak-Domańska

O rodzinie ze strony dziadka Karola przez lata nie wiedziałam nic. Tata i ciocia Jadzia w swoich wspomnieniach koncentrowali się na krewnych matki. Jeśliby mnie ktoś zapytał o pochodzenie mojego ojca, to bez zastanowienia zaczęłabym opowiadać o Wawrzkowach. Moja uwaga zupełnie odwróciła się od ludzi, których nazwisko noszę. Wystarczył mi Karol Surmiak, powstały niczym z morskiej piany. Oczywiście gdybym zadała celne pytanie, z pewnością dostałabym odpowiedź. To tak jak z ciocią Krysią i partyzantką dziadka „Babicza". Tylko skąd to pytanie wziąć?

Wzięłam je z internetu. Poszukując pewnego wpisu, w którym była mowa o mnie i mojej córce, wpisałam kiedyś do wyszukiwarki hasła: „Surmiak" i „Julia". I wyskoczyło to:

Na pograniczu Siemianówki i Pustomytów znajomi Ukraińcy wymordowali w nocy z 20 na 21 maja 1944 r. rodzinę Surmiaków. Najpierw nożem zadźgano liczącego 80 lat Antoniego Surmiaka, kiedy wyszedł z mieszkania za potrzebą, pozostawiając otwarte mieszkanie. W mieszkaniu zamordowano Józefa Surmiaka i będącą w ciąży jego żonę Julię. Nad kobietą, która błagała o litość, mówiąc, że pochodzi z ukraińskiej rodziny, szczególnie się pastwiono. Dalszą ofiarą była Maria Surmiak, która rozpoznała napastników i zwracała się do nich po imieniu. Słyszały to ukryte dzieci, które zawiadomiły potem o mordzie. Dalszą ofiarą była Stefania Surmiak z Wojciechowskich, która ciężko ranna, zmarła z upływu krwi. Konając, uspakajała jeszcze ukrytą w łóżku, trzyletnią Zofię…

– A tak, tak, tak. To o nas – skomentował spokojnie ojciec. – Byłem tam później, w tym domu. Jeszcze krew była na ścianach. Bardzo dużo krwi, wszędzie.

•

Siemianówka leży 24 km na południowy zachód od Lwowa i 8 km na wschód od Dębianki. Założona w XIV w., jest dużą, choć precyzyjnie rzecz ujmując, „długą" wioską. W latach 40. XX w. liczy ok. 600 gospodarstw, ciągnących się z północy na południe na odcinku przeszło 5 km wzdłuż rzeczki Szczerek, będącej dopływem Dniestru. (…)

Wśród przeszło 2 tys. mieszkańców zaledwie 17 rodzin to Ukraińcy, przeważnie zresztą spokrewnieni z Polakami. W bliższym i dalszym sąsiedztwie leżą wsie, w których sytuacja jest odwrotna. Prawie sami Ukraińcy, niewielkie skupiska Polaków. Tak jest w Miłoszowicach, będących przedłużeniem Siemianówki w kierunku północno-wschodnim, oddzielonych od niej wąską, wpływającą do Szczerka, rzeczką

eprasa.pl fef7fb23da

Oddział UPA, 1944 r.

Stawczanką. Kiedy zaczyna się czystka, mieszkańcy obu osad dogadują się. Ukraińcy z Siemianówki przenoszą się do Miłoszowic, a Polacy z Miłoszowic zajmują tymczasowo ich domy w Siemianówce. Kiedy którejś nocy na Miłoszowice napada banda UPA, miejscowy Ukrainiec Michał Żminka ratuje rodzinę polskiego sąsiada. Staje przed jego zagrodą i informuje napastników, że Polacy już uciekli, co jest nieprawdą. Sąsiedzi Żminki siedzą schowani w piwnicy. Uciekają dopiero rankiem, po pełnej dramatycznego napięcia nocy.

W maju 1944 r. obie wioski tworzą już dwa niemal idealnie czyste etnicznie twory. Siemianówka to teraz jedyna taka polska enklawa w okolicy. Napęczniały polskością wielgachny, łakomy kąsek, gotowy do schrupania w całości.

Homogeniczność Siemianówki sprzyja konspiracji. Od początku wojny do wioski ściągają uzbrojone oddziały partyzanckie. Z biegiem okupacyjnych lat prawie każdy dorosły mieszkaniec jest w ten czy w inny sposób związany z AK. (…) Wiosną i latem 1944 trzeba przede wszystkim bronić cywilów przed szalejącymi upowcami. Bandy są już w każdej wiosce zamieszkanej przez grekokatolików. Do Siemianówki ze wszystkich stron ściągają Polacy szukający ratunku. Jest jeszcze drugi powód, dla którego wioska nad Szczerkiem uważana jest za azyl. Od lat mieszka tu kilka osób pochodzenia niemieckiego. Na ich prośbę szef cywilnej administracji niemieckiej powiatu deleguje swoich żołnierzy, by chronili ludność przed bandami. I tak wiosną 1944 r. instaluje się w osadzie 20-osobowy oddział Wehrmachtu. Kwaterują się w pobliżu kościoła. Są skutecznym odstraszaczem.

(…) Od słowa do słowa i okazuje się, że jeżeli Polacy potrzebują broni, to nie ma problemu, żołnierze Wehrmachtu chętnie pomogą. (…) Kiedy nadchodzi wieść o pogromie w Miedziakach i Huciskach, Niemcy jadą z Polakami prawie 100 km, żeby pomóc ocalałym. Ich dowódca, leutnant Hans Faber, pochodzi z okolic Kluczborka. Rozumie i mówi nieco po polsku. Część jego podkomendnych jest Ślązakami, reszta to Austriacy. Większość wcielona do Wehrmachtu siłą.

Maria, najmłodsza siostra Karola, mieszka w Siemianówce ze swoim drugim mężem, Stanisławem, i dwiema maleńkimi córkami, Janeczką i Hanią. Frania wprowadza się do nich chyba na przełomie kwietnia i maja, gdy wokół robi się naprawdę gorąco. Przez większość czasu są z nią Bronuś i Jadzia. Alojzio jest już na stałe ulokowany u drugiej ciotki, Anny, w Glinnie za Pustomytami.

Wiosną 1944 r. obszar w promieniu 100 km od Siemianówki przypomina tarczę strzelniczą początkującego snajpera. Środek nietknięty, kręgi leżące dalej posiekane od trafień. W Buciskach i Miedziakach – 90 km na północny wschód od Siemianówki – banderowcy mordują ponad 120 osób. W Mikołajowie – 20 km na południe – pięć.

Kiedy zaczyna się czystka, mieszkańcy osad dogadują się. Ukraińcy z Siemianówki przenoszą się do Miłoszowic, a Polacy zajmują ich domy.

FOT. IPN, EAST NEWS

eprasa.pl fef7fb23da

W Radziejowie – 20 km na południe – pewien 16-latek sam przez kilka godzin broni domu. Zdołał zabić kilkoro napastników i uratował siebie. Cała jego kilkuosobowa rodzina zginęła. W Dobrzanach – 30 km na zachód od Siemianówki – upowcy dokonują egzekucji na Polce, żonie nauczyciela Ukraińca. Kazano mu wybierać: sam ją zabijesz, czy my mamy to zrobić? Nie potrafił sam.

Siemianówka zamienia się w twierdzę. (….) Każdej nocy wystawiane są warty w sile 300 ludzi. Każdy, kto nosi spodnie, ma obowiązek do niej się stawiać. Od kilkunastolatków po zdrowych 70-latków. Wartownicy stoją w wielu miejscach, po kilkunastu ludzi w każdym punkcie. W rękach trzymają kosy, ale to tylko dla zachowania pozorów wobec Niemców. Większość kosynierów ma w zanadrzu ukryty pistolet. (…)

Zbrodnia, do której doszło w nocy z soboty 20 maja na niedzielę 21 w Pustomytach, w domu mojego stryjecznego pradziadka Antoniego Surmiaka, stawia Siemianówkę w stan podwyższonej gotowości. Po raz pierwszy banderowcy uderzają tak blisko. To zaledwie 5 czy 6 km. Na skróty, brzegiem rzeki idzie się niecałą godzinę. W Pustomytach mieszka na stałe część siemianowskich akowców, np. bracia Karola i Marii, Walenty i Marcin.

Do 1914 r. Pustomyty były austro-węgierskim ośrodkiem sanatoryjno-wypoczynkowym, znanym z kąpieli borowinowych. Przeważającą większość mieszkańców stanowili grekokatolicy. Sytuacja zaczęła się zmieniać jeszcze przed wybuchem I wojny światowej, kiedy to Bank Polski w Łańcucie postanowił sprzedawać ziemię w Pustomytach, ale tylko Polakom. Po wojnie, już w czasach II RP, zaczęto sprzedawać także Ukraińcom, lecz pod jednym warunkiem: kupujący musiał przejść na obrządek rzymskokatolicki. (…) We wszystkich trzech miejscowych szkołach podstawowych uczono wyłącznie po polsku. Według stanu na 1 stycznia 1939 r. mieszkało tu 910 Polaków, 300 Ukraińców, którzy przeszli na wyznanie rzymskokatolickie, oraz 540 ukraińskich grekokatolików, którzy trwali przy swojej coraz bardziej zagrożonej tożsamości. To z Pustomytów pochodził znany greckokatolicki biskup Wołodymyr Sterniuk, który w 1943 r., będąc proboszczem na Wołyniu, dowodził jednocześnie bandą OUN-UPA. Wskazywał, kogo należy zabić. (…)

Mąż dostaje od upowców wybór – sam zabijesz żonę albo my to zrobimy. Józef odmawia. Niedobrze.

W niedzielę rano 21 maja 1944 r. Bronuś śpi na przypiecku w kuchni w domu cioci Marii. Budzą go głosy rozmawiających kobiet. Otwiera oczy. W kącie przy piecu widzi małą dziewczynkę. Kilkuletnią, z krótkimi włoskami. (…) To historia z drugiej ręki, powtórzona przez ciocię. Obrosła w to, co ustalono później na podstawie innych źródeł.

W sobotę 20 maja w domu młynarza Antoniego trwa zjazd rodzinny Surmiaków. Przyjechali krewni i powinowaci z innych wsi. W sumie ok. 20 osób. Jest wśród nich syn Antoniego Józef ze swoją ukraińską żoną Julią, jest synowa Maria, żona drugiego syna, Jana – przebywającego za granicą, pewnie na robotach w Niemczech. Napastnicy są młodzi, wszyscy z Pustomytów. Jak wiadomo z notki znalezionej przeze mnie w internecie, Maria przed śmiercią zwracała się do nich po imieniu. Najpierw zadźgali Antoniego przed wychodkiem. Widząc znajome twarze, pewnie nie wszczął nawet alarmu. Umarł cicho. Przypuszczalnie ci, którzy zostali w izbie, nie zdziwili się, gdy przez uchylone drzwi nagle weszło kilka nowych osób. Na wielu wsiach do dzisiaj nie ma dzwonków przy wejściu, nikt nie puka. Naciska się klamkę i wchodzi. Może zanim zaczęli strzelać, zamienili kilka grzecznościowych zdań?

Bandyci robią tak, żeby bolało.

Do Julii nie zamierzali strzelać. Dla kobiet, które zdradziły rasę i miały wydać na świat mieszańca, opracowano specjalny rytuał. Powtarza się makabryczny scenariusz: kobieta błaga o litość, jej mąż dostaje wybór – sam zabijesz żonę albo my to zrobimy. Józef odmawia. Zwykle mężczyźni odmawiali. Niedobrze. Lepiej by było zawczasu przećwiczyć sobie w myślach, jak zabić najbliższą osobę szybko i w miarę bezboleśnie. Bandyci robią tak, żeby bolało. Zaczynają od dziecka. Rozpruwają brzuch Julii, wyjmują płód, uśmiercają. Potem dobijają kobietę. A potem Józefa i innych.

Dziewczynka o krótkich włoskach przygląda się temu zza pieca. Kiedy wszyscy już leżą w kałużach krwi, nagle jeden z napastników ją dostrzega. Wbija w nią wzrok, podnosi pistolet, celuje w głowę. (…) Nagle zmienia zdanie, mówi do niej: „Ty taka mała, na ciebie szkoda kulki". Chowa broń, sięga po nóż. Zbliża się do dziewczynki z wyciągniętym ostrzem. Ona robi krok w tył. Jeden, drugi… Nagle potyka się. Następuje nieoczekiwany zwrot akcji. (…) Ale tak – to, o co potknęła się dziewczynka, to stopa.

> Wystaje spod łóżka. (…) Napastnik waha się, zerka to na nią, to na dziecko. Wybiera stopę. Kuca z nożem przy łóżku. Dziewczynka czmycha. (…)

Mord w leżącym na skraju wioski domu Antoniego miał być pierwszym etapem pustomyckiej czystki. Po wyjściu od Surmiaków zabójcy podpalili dwie sąsiednie zagrody. Szliby dalej, gdyby nie wydarzyło się coś niespodziewanego. Z płonącego gospodarstwa wybiegły konie. W popłochu przegalopowały przez drewniany most na Stawczance. Bandyci wzięli huk kopyt za odgłos maszerującego wojska. Uznali, że z Siemianówki nadciąga odsiecz. Zlękli się, odpuścili.

Fragmenty książki Katarzyny Surmiak-Domańskiej *Czystka*, Czarne, Wołowiec 2021

eprasa.pl fef7fb23da

Patriotyzm Mikołajczyka

Przywódca PSL jest zdecydowanie niewygodny, bo przypomina zupełnie inną prawdę o powojennej Polsce niż ta, którą serwują IPN-owskie czytanki

Paweł Siergiejczyk

Gdy w czerwcu 2000 r. sprowadzono do Polski prochy Stanisława Mikołajczyka, by spoczęły na Cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan w Poznaniu, ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski odznaczył go pośmiertnie Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski „w uznaniu wybitnych zasług dla niepodległości i suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej". Później jednak o Mikołajczyku zapomniano, gdyż następni prezydenci – zarówno z Prawa i Sprawiedliwości, jak i z Platformy Obywatelskiej – woleli upamiętniać „żołnierzy wyklętych", których urzędowy kult stał się podstawą polityki historycznej III RP.

W IPN-owskiej wizji historii, dominującej u nas przynajmniej od dwóch dekad, nie ma miejsca dla Mikołajczyka. I to nie tylko dlatego, że był zdecydowanym przeciwnikiem „podziemia niepodległościowego", czemu jasno dał wyraz w referacie programowym na I Kongresie Polskiego Stronnictwa Ludowego w styczniu 1946 r., gdzie potępiał „znikczemniałe bandy NSZ", „agentów Andersa", „zdemoralizowane bandy leśne", które „bez żadnych fikcyjnych przykrywek, a wprost w celach czysto rabunkowych, napastują obywateli". Można dziś taką postawę uważać za przejaw oportunizmu wobec dominujących już wówczas komunistów, tyle że niewiele by ona Mikołajczykowi pomogła, skoro w PPR-owskiej propagandzie i tak był on przedstawiany jako „Tato leśnych ludzi", a jego partia jako „Polskie Stronnictwo Leśne". Można więc uznać, że przywódca PSL naprawdę uważał „żołnierzy wyklętych" za jedną z plag społecznych powojennego czasu, a jeśli głośno ich potępiał, to nie po to, by zdobyć przychylność swoich przeciwników z PPR, lecz dlatego, że takie były wówczas odczucia większości społeczeństwa.

A Mikołajczyk przyjechał do Polski, by zdobyć poparcie tej większości i wygrać wybory. Te wybory, których przeprowadzenie Stalin obiecał Rooseveltowi i Churchillowi w Jałcie. Można dziś drwić z naiwności byłego premiera na uchodźstwie, że wierzył, iż Stalin pozwoli na wolne i demokratyczne głosowanie w podporządkowanej sobie Polsce. Tylko jak w takim razie nazwać „rachuby" ludzi idących z bronią do lasu na wybuch III wojny światowej i uwolnienie Polski przez zachodnich aliantów? Kto był bardziej naiwny: Mikołajczyk czy „żołnierze wyklęci"? I kto zrobił więcej dla powstrzymania sowietyzacji Polski: masowa legalna partia opozycyjna, której lider był postacią znaną (a przynajmniej kojarzoną) w całym świecie zachodnim, czy niewielkie grupki partyzantów rozpaczliwie walczące o przetrwanie kosztem nieuniknionych ofiar również wśród ludności cywilnej?

Mikołajczyk naprawdę uważał „żołnierzy wyklętych" za jedną z plag społecznych powojennego czasu. Takie były odczucia większości społeczeństwa.

A jednak to „wyklętym" stawia się dziś pomniki i to oni mają być wzorem patriotyzmu dla kolejnych roczników dzieci i młodzieży. W takiej sytuacji Mikołajczyk jest zdecydowanie niewygodny, bo przypomina zupełnie inną prawdę o powojennej Polsce niż ta, którą serwują IPN-owskie czytanki. Był to bowiem kraj milionów ludzi, którzy mieli dosyć walki i chcieli uciec od wojennego koszmaru, by spokojnie żyć, ale też nie mieli ochoty stać się obiektem stalinowskiego eksperymentu, którego groźbę niosły rządy uzależnionych od Moskwy komunistów. I do tej zdecydowanej większości, pragnącej normalnego życia w normalnym, europejskim kraju – dziś można by powiedzieć: „ciepłej wody w kranie" – kierował swoją ofertę polityczną Stanisław Mikołajczyk. Dlatego na równi potępiał terror UB i NKWD, jak i terror antykomunistycznego podziemia. Wiedział bowiem, że ani jeden, ani drugi nie prowadzi do czegoś dobrego. Skutkiem może być wyłącznie rozlew bratniej krwi.

Bez wad i zalet

Swoją decyzją o powrocie do Polski wyzwolonej przez Armię Czerwoną, w dodatku na mocy ustaleń zawartych w Moskwie, przywódca ludowców ściągnął na siebie furię ataków ze strony całej emigracji. Oskarżano go o zdradę, zaprzedanie się Stalinowi, nazywano go „kawalerem jałtańskim". Ale chyba tylko najinteligentniejszy z londyńskich publicystów, Stanisław Cat-Mackiewicz, w książce „Lata nadziei" podjął próbę głębszego zrozumienia postawy byłego premiera, porównując go z jego tragicznie zmarłym poprzednikiem:

„Wady Sikorskiego były bardzo polskimi wadami: jego »zagłobiastość«, bufonady, blagi, przechwałki,

eprasa.pl fef7fb23da

Stanisław Mikołajczyk został wybrany na prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego na kongresie 19-21 stycznia 1946 r.

pokryte niewątpliwie dobrymi manierami i bystrą inteligencją, mogły bawić Churchilla. Jakże polski był Sikorski, gdy prędko się zaperzał, czupurzył, nadymał i prędko się uspokajał, uśmiechał, już był w dobrym humorze. (...) Mikołajczyk – oto jest człowiek, do którego nigdy nie umiałem znaleźć klucza, nigdy nie potrafiłem trafnie go określić. Być może właśnie dlatego, że był tak obcy, tak niepolski. Polska – to swoista cywilizacja, tak samo zresztą, jak o Francji można powiedzieć, że to nie naród, ale cywilizacja francuska, jak można to powiedzieć o Włoszech, o Hiszpanii. Otóż Mikołajczyk do tej polskiej cywilizacji nie należał. Nie miał polskich zalet, nie miał polskich wad, jego reakcje uczuciowe nie były polskie. Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, co mianowicie Mikołajczyk kochał w Polsce. Natomiast ciągle słyszałem, że nienawidzi wszystkiego, co naprawdę jest polskie, i ciągle akcentuje wyraz »nowa« Polska, widać, że bez tego dodatku Polska sama nie wydawała się mu być godna odzyskania. Słyszałem, że w czasie jakichś wywodów o polityce Zygmunta Augusta Mikołajczyk powiedział lekceważąco: »No tak! Ale w jakim stanie byli wówczas chłopi«. Oto jest reakcja uczuciowa, która nigdy nie przyszłaby do głowy Bevinowi, który jest i autentycznym robotnikiem, i przedstawicielem stronnictwa robotniczego, a nie przyszłaby także nigdy do głowy takim chłopom litewskim jak Smetona lub Voldemaras".

Wielki piewca Rzeczypospolitej szlacheckiej, królewskiej i Radziwiłłowskiej, jakim był Cat-Mackiewicz, chyba trafił w sedno: Mikołajczyka nic nie łączyło z tą dawną Polską, rozciągającą się aż za Kijów, Mińsk i Kowno. Dlatego bez większego sentymentu mógł zaakceptować utratę ziem za Bugiem i bezkompromisowo walczyć (m.in. podczas konferencji w Poczdamie latem 1945 r.) o trwałą granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej, czyli o Polskę w zupełnie nowych granicach. Stał wówczas po tej samej stronie, co polscy komuniści, mając odwagę występować przeciwko tym polskim politykom, którzy pozostali w Londynie.

Jednak „nowa Polska", z której tak drwił Cat-Mackiewicz, oznaczała dla Mikołajczyka nie tylko nowe, bardziej korzystne i sensowne granice. W przeciwieństwie do tego wileńskiego konserwatysty – ale też do większości emigracyjnych elit – przywódca PSL był bowiem rodowitym chłopem. Ale nie chłopem galicyjskim czy królewiackim, z uniżeniem czapkującym przed dziedzicem i proboszczem. Był dumnym, nowoczesnym wielkopolskim rolnikiem, który już w młodości potrafił prowadzić samochód (jako 20-letni działacz PSL „Piast" obwoził po Wielkopolsce Wincentego Witosa!), a przed czterdziestką nauczył się języka angielskiego, by swobodnie rozmawiać m.in. z Winstonem Churchillem. Nie sposób przy tym odmówić mu patriotyzmu, skoro w pierwszych latach dorosłego życia zdążył walczyć w powstaniu wielkopolskim, a potem w wojnie z bolszewikami w 1920 r.

Przywódca PSL na równi potępiał terror UB i NKWD, jak i terror antykomunistycznego podziemia.

Region, z którego pochodził Stanisław Mikołajczyk, wytworzył jednak swoisty typ patriotyzmu. Sto lat „najdłuższej wojny nowoczesnej Europy" (by posłużyć się tytułem świetnego, choć niestety zapomnianego już serialu PRL-owskiej telewizji) ukształtowało Wielkopolan w taki

FOT. PAP

eprasa.pl fef7fb23da

sposób, że byli w stanie skutecznie rywalizować z Niemcami, posługując się ich własną bronią: solidnością, pracowitością, oszczędnością, zdrowym rozsądkiem, dobrą organizacją, wreszcie solidaryzmem społecznym, czyli współpracą i wzajemnym szacunkiem różnych warstw narodu.

Bez wątpienia stąd wzięła się postawa Mikołajczyka, który odrzucał politykę pustych gestów, tak powszechną wśród politycznej emigracji zarówno po czerwcu 1941 r., gdy z oburzeniem potępiano układ Sikorski-Majski bez gwarancji przedwojennych granic, jak i po 1943 r., gdy stało się oczywiste, że to Stalin będzie decydował o dalszych losach Polski. Dziś niestety kult owych „niezłomnych" z Londynu i Nowego Jorku ma swoich skutecznych propagatorów (takich jak Sławomir Cenckiewicz), tyle że jest to kult równie jałowy, jak w przypadku „żołnierzy wyklętych" – i tak samo niewiele mający wspólnego z prawdziwą sytuacją Polski i Polaków w dramatycznej dekadzie lat 40.

Wielkopolska szkoła rozumnego patriotyzmu w duchu pozytywistycznym, w której wyrósł Mikołajczyk, z pewnością ułatwiła mu podejmowanie decyzji trudnych, ale koniecznych. Tak było z jego z trzema wizytami w Moskwie: w lipcu-sierpniu 1944 r., w październiku 1944 r. i wreszcie w czerwcu 1945 r. Dwie pierwsze odbył jeszcze jako premier rządu polskiego na uchodźstwie, z którym jednak ZSRR nie utrzymywał już stosunków dyplomatycznych. Trzecia wizyta okazała się kluczowa, gdyż doprowadziła do powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zdominowanego przez ludzi PPR i ich sojuszników z PPS, ale z udziałem Mikołajczyka jako wicepremiera.

Gorzki patriotyzm

Już po pierwszym powrocie z Moskwy lider ludowców został ostro zaatakowany przez przedstawicieli pozostałych środowisk politycznych w Londynie. Odpowiadał im wówczas na posiedzeniu Rady Narodowej (czyli emigracyjnego parlamentu) 25 sierpnia 1944 r., że „jeżeli nie weźmiemy udziału w życiu Polski, jeżeli nie stworzymy warunków, próbując tej rzeczy dokonać, to pewne problemy dokonają się bez nas". Argumentował przy tym, że „kraj jest niewątpliwie wyczerpany i będzie musiał ustosunkować się oportunistycznie do sytuacji". Na koniec zaś dodał proroczo: „Polska będzie wolna i niepodległa, jakkolwiek na przestrzeni 20-30 lat będzie przechodziła ciężkie sytuacje".

Patriotyzm Mikołajczyka był więc patriotyzmem gorzkim, ale konsekwentnym: uważał za swój obowiązek powrót do kraju i wpływanie na rozwój wypadków w takim stopniu, w jakim to będzie możliwe – choć zdawał sobie sprawę, że jego możliwości są mocno ograniczone. A jednak zaryzykował, wchodząc do rządu, na którego działania wpływ miał od początku niewielki, ale przede wszystkim stając na czele Polskiego Stronnictwa Ludowego (sięgnięto po tę nazwę sprzed lat, ponieważ szyld Stronnictwa Ludowego – funkcjonujący od 1931 r. – został przejęty przez grupę ludowców związanych z PPR).

Stronnictwo, któremu przewodził Mikołajczyk, już w latach 30. domagało się m.in. parcelacji majątków ziemiańskich bez odszkodowania.

Analizując historię PSL z lat 1945-1947, trudno nie doszukać się analogii z NSZZ Solidarność w latach 1980-1981. Obie te organizacje szybko stały się masowe (PSL doszło do 800 tys. członków), skupiając nie tylko swoją „naturalną" bazę społeczną – chłopów w PSL i robotników w Solidarności – ale też o wiele szersze zaplecze, zwłaszcza wśród inteligencji. Partia Stanisława Mikołajczyka i związek Lecha Wałęsy stanowiły dwie formy legalnej opozycji w Polsce Ludowej, jednak opozycji, która nie podważała podstaw ustroju społecznego, za to liczyła się z realiami politycznymi, czyli dominacją Moskwy i popieranych przez nią ludzi PPR/PZPR. Dlatego obaj przywódcy – i Mikołajczyk, i Wałęsa – nigdy nie dążyli do otwartej konfrontacji z władzą ani tym bardziej ze wschodnim sąsiadem. Wręcz przeciwnie: konsekwentnie zabiegali o dialog i możliwie równoprawne porozumienie, które pozwoliłoby stopniowo czynić z Polski kraj coraz bardziej demokratyczny i suwerenny.

Losy tych masowych ruchów potoczyły się odmiennie. Co prawda, stan wojenny w grudniu 1981 r. mógł się wydawać dla Solidarności klęską, taką jak dla PSL sfałszowane wybory do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1947 r., na szczęście jednak po siedmiu latach powrócono do dialogu, co poskutkowało Okrągłym Stołem i narodzinami III Rzeczypospolitej. Wygrała więc strategia Mikołajczyka, tyle że zrealizowana już bez niego (ponad 20 lat po jego śmierci) i w zupełnie innych realiach społecznych. O ile bowiem w połowie XX w. większość społeczeństwa nadal stanowili mieszkańcy wsi, dla których naturalnym przywódcą był rolnik z Wielkopolski, to trzy dekady później większość Polaków mieszkała już w miastach i pracowała w przemyśle, więc na ich czele w naturalny sposób stanął robotnik z Gdańska.

Ameryka, nie Londyn

Ostatecznie jednak – w wymiarze zarówno politycznym, jak i osobistym – i Mikołajczyk, i Wałęsa przegrali. Zagrożony aresztowaniem Stanisław Mikołajczyk co prawda uratował życie dzięki ucieczce z Polski w październiku 1947 r. (z pomocą ambasady amerykańskiej), jednak w Londynie spotkał się z powszechną infamią, co skłoniło go do wyjazdu do USA. Swoją drogą, ten przedsiębiorczy rolnik z najlepiej rozwiniętego regionu Polski, a przy tym człowiek przez całe życie wierzący w demokrację, rzeczywiście chyba bardziej pasował do Ameryki niż do „polskiego Londynu", w którym brylowali przedwojenni hrabiowie i sanacyjni generałowie. Z kolei Wałęsa co prawda był przez pięć lat prezydentem, ale jeszcze w czasie swojej kadencji stał się obiektem zorganizowanej i do dziś niesłabnącej nagonki ze strony swoich dawnych

eprasa.pl fef7fb23da

współpracowników. Nagonki, która do złudzenia przypominała tę rozpętaną przez „niezłomnych” wobec Mikołajczyka już w 1944 r.

Dziś o Mikołajczyku pamiętają właściwie już tylko ludowcy. Ale też chyba bez przekonania, gdyż obecne PSL prezentuje się jako „konserwatywna chadecja”, a stronnictwo, któremu przewodził Mikołajczyk, już w latach 30. domagało się radykalnych reform społecznych i gospodarczych, m.in. parcelacji majątków ziemiańskich bez odszkodowania. Co więcej, przeciwko sanacyjnej dyktaturze Stronnictwo Ludowe organizowało masowe protesty o wiele ostrzejsze niż dzisiejsze marsze czy wiece opozycji – jak pamiętny strajk chłopski z 1937 r., podczas którego z rąk policji zginęło 44 chłopów. Obecny lider PSL, coraz mniej skutecznie próbujący balansować między wyborcami opozycji a zwolennikami PiS, z pewnością ma świadomość, że nie może nawet marzyć o społecznym poparciu, jakim cieszył się Mikołajczyk po powrocie do kraju w 1945 r., gdy witały go masowe manifestacje, a jego samochód na krakowskim rynku niesiono na ramionach. Mikołajczyk symbolizował wtedy nadzieję na prawdziwie demokratyczną i sprawiedliwą społecznie Polskę Ludową, która była celem ludowców jeszcze przed wojną.

Gdyby Polska przedwojenna lub powojenna była uczciwą demokracją, Stanisław Mikołajczyk z pewnością doszedłby do najwyższych stanowisk państwowych. Był bowiem politykiem niezwykle zdolnym, nowoczesnym, nieobciążonym dziedzictwem epoki zaborów i konfliktów sięgających I wojny światowej. Stał na czele najbardziej masowej partii politycznej, która w normalnych warunkach wygrywałaby wybory i tworzyła rząd. Niestety, ani w Polsce sanacyjnej, ani w podległej Stalinowi nie miał szans na realną władzę. Jedynie w nienormalnych warunkach wojennych, gdy część elit politycznych znalazła się w Londynie, doszedł do stanowiska premiera – a i to wskutek śmierci gen. Sikorskiego, którego był zastępcą. Urzędowanie Mikołajczyka przypadło jednak na najgorszy dla sprawy polskiej okres: ostrego konfliktu z ZSRR, którego wojska właśnie wchodziły na ziemie polskie.

Mikołajczyka po powrocie do kraju w 1945 r. witały masowe manifestacje, a jego samochód na krakowskim rynku niesiono na ramionach.

Przywódca PSL starał się w tej sytuacji uzyskać maksimum tego, co się dało. A dało się niemało, jeśli wziąć pod uwagę warunki, w jakich przyszło mu działać. Mikołajczyk walczył, dopóki były po temu warunki, a jego pokojowa walka – choć wtedy nie do wygrania – do dziś może stanowić wzór odpowiedzialności za losy narodu i państwa. I chyba właśnie dlatego jest dziś tak niechętnie wspominany.

Paweł Siergiejczyk

Mądrość starych Polaków

IPN w zdecydowanej większości składa się z ludzi urodzonych po 1989 r. Oczywiście są też tam, a raczej byli, obiektywni badacze. Oto kilka przykładów.

Dlaczego Józef Franczak „Lalek” ukrywał się aż do 1963 r.? Otóż wraz z grupą dokonał napadu rabunkowego na ukrywające Żydów małżeństwo Heleny i Adama Brodów we wsi Majdan Kawęczyński. Adam Broda zmarł w następstwie pobicia, a jego żona została w 1985 r. uhonorowana tytułem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Po wojnie „Lalek” kontaktował się z adwokatem w celu ujawnienia, ale mimo dwóch amnestii nie ujawnił się w obawie przed konsekwencjami za wojenne zbrodnie na Żydach (amnestie nie obejmowały prześladowań ludności cywilnej). Jego kryminalną przeszłość upublicznił dr Sławomir Poleszak z IPN w Lublinie, za co został zwolniony! Tak wygląda polityka historyczna państwa PiS.

Weźmy innego pisowskiego bohatera, Józefa Kurasia „Ognia”. W obszernej, liczącej 1227 stron, książce młodego pracownika IPN Marcina Kasprzyckiego „Organ ładu i spokoju w rękach demokracji… Aparat bezpieczeństwa w powiecie nowotarskim w latach 1945-1975” nie ma ani jednego zdania o funkcji Józefa Kurasia w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Nowym Targu. Tak IPN fałszuje historię.

Tomasz Wójcik „Tarzan”, żołnierz NSZ, w 1943 r. zamordował i obrabował Żydówkę, byłą właścicielkę sklepu koło Zawichostu. Po wojnie uciekł na Zachód. 8 lipca 1951 r. w Chicago został zabity nożem najprawdopodobniej przez syna ofiary. Mosze Zaume poprzysiągł zemstę i tropił bandytę na własną rękę. W 2021 r. szczątki Wójcika sprowadzono do Polski i uroczyście pochowano z udziałem władz pisowskich. Nawet dziś IPN kłamie, pisząc na swojej stronie, że Wójcik 8 lipca 1951 r. utonął w jeziorze Saint Clair.

Mądrość starych Polaków

Szkoda, że IPN nie czyta wydawanych przez siebie autorów

Paweł Siergiejczyk

A co do gospodarki. Pisowcy w IPN nie dostrzegają podstawowej rzeczy: za projektowaniem budynków i innych obiektów oraz ich realizacją stali konkretni ludzie, partyjni i bezpartyjni. W odbudowę kraju zniszczonego podczas wojny zaangażowało się wielu przedwojennych bezpartyjnych fachowców, chociażby inżynierowie Eugeniusz Kwiatkowski, Józef Nowkuński, Albert Czeczott, Mikołaj Gutowski (pierwszy powojenny dyrektor naczelny wrocławskiego PAFAWAG-u, a przed wojną dyrektor techniczny zakładów Lilpop, Rau i Loewenstein w Warszawie), Tadeusz Kałkowski, Kazimierz Zembrzuski, Władysław Tryliński, Roman Podoski, Antoni Rosikoń i wielu, wielu innych. Czy ktoś nazwie wiadukt kolejowy wybudowany pod nadzorem inżyniera Rosikonia wiaduktem komunistycznym? O ile od końca lat 40. i w pierwszej połowie lat 50. partia miała monopol na obsadzanie stanowisk, o tyle w następnych latach bywało różnie. Zrehabilitowane ofiary czystek stalinowskich mające wykształcenie mogły zajmować kierownicze stanowiska. Na przykład w Gdańsku od 1964 r. kierownikiem, a od 1981 r. aż do emerytury dyrektorem Zakładu Gazyfikacji był bezpartyjny Kazimierz Śliwa, najmłodszy cichociemny.

Dariusz Gutowski

eprasa.pl fef7fb23da

Ósmy krzyżyk maturzysty

Historia niektórych absolwentów II LO w Opolu ilustruje losy Ślązaków, którzy mogli, a czasem musieli, dokonać wyboru między Polską i Niemcami

Bronisław Tumiłowicz

Najśmieszniejszy był początek spotkania maturzystów rocznika 1967, z których każdy już dawno przekroczył siedemdziesiątkę. Wchodzili do restauracji o symptomatycznej nazwie Retro w podopolskiej Zawadzie (na tablicy miejscowości jest też niemiecki odpowiednik – Sowade). Trwożnie rozglądali się wokół i z reguły mówili: – Nikogo tu nie znam!

Największe powodzenie miała moja żona, warszawianka, która nigdy nie chodziła do opolskiego liceum. – Basiu, to ty? – wołali wchodzący.

Twoja twarz nic mi nie mówi

Przyjechało nas jednak sporo na zaproszenie Basi Górnik, która po maturze studiowała polonistykę w Opolu i ma za sobą długą karierę nauczycielską oraz dyrektorską, m.in. w Technikum Elektrycznym. Z pomocą znajomych odszukała dawnych maturzystów klasy francuskojęzycznej II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej. Znalazła 12 osób z Opola i Opolszczyzny, Rysiek przyjechał z Leszna, Lucy z Augsburga w Niemczech, a Aida z Long Island na wschodnim wybrzeżu USA. Gdy udało się usadzić wszystkich przy jednym stole, Basia rozdała okrągłe pamiątkowe przypinki z datami egzaminu maturalnego i spotkania po 56 latach, a Teresa Jadwiga wręczyła swój tomik poezji „Mgnienie wyobraźni", który później służył do zbierania kontaktów z koleżankami i kolegami z klasy. Gdy po czterech godzinach spotkanie dobiegało końca, Jacek stwierdził: – Kiedy tak się wpatruję w twarze dawnych kolegów i koleżanek, to wydają mi się coraz bardziej znajome.

Jacek jest potomkiem znakomitej opolskiej rodziny. Jego dziadek, Kazimierz Malczewski był powstańcem śląskim i działaczem plebiscytowym na Opolszczyźnie. Dziś w Opolu jest ulica jego imienia. Ciocia Jacka studiowała na Uniwersytecie Wrocławskim jeszcze za Trzeciej Rzeszy i została relegowana z powodu polskiego patriotyzmu. Po wojnie zajmowała się dziennikarstwem i działalnością wydawniczą. Jacek po studiach w Wyższej Szkole Inżynierskiej pracował w spółdzielczości mieszkaniowej.

Wojtek to także przykład patrioty i obywatela. Ukończył Akademię Medyczną i został cenionym kardiologiem. Niektórym kolegom szkolnym ratował życie. I dorobił się aż dziesięciorga wnuków.

Józek, najwyższy z naszego towarzystwa, po studiach rolniczych we Wrocławiu, kontynuowanych na warszawskiej SGGW, pracował w branży, został nawet prezesem rolniczej spółdzielni produkcyjnej. Uprawiał też koszykówkę i biegał po pięknej leśnej okolicy.

Rysiek również zajmował się sportem, żeglarstwem, siatkówką, a mimo niższego wzrostu dzielnie sekundował Józkowi i szkolną drużynę poprowadził do sukcesów koszykarskich. Skończył historię w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, pracował w szkole, później w policji. Ostatecznie umiłował zawód nauczyciela.

Nauczycielkami zostały także Teresa Jadwiga – polonistka, i druga Teresa – rusycystka praktykująca też nauczanie początkowe. Z kolei Renia i Lonia pracowały w bankowości i instytucjach samorządowych. Lucy, która od kilkudziesięciu lat mieszka w Niemczech, po skończeniu liceum przez 10 lat pracowała w ZETO – Zakładzie Elektronicznej Techniki Obliczeniowej w Opolu, a dopiero potem złożyła papiery na wyjazd do RFN. Jej historia ilustruje losy Ślązaków, którzy mogli, a czasem musieli, dokonać wyboru między Polską i Niemcami. Niech mottem będzie zdanie

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl fef7fb23da

z wiersza Teresy Jadwigi: „Chcę napełnić złoty dzban pamięci wodą coraz bardziej czystą”.

Śląsk, a nawet Schlesien

Lucy wspomina: – Moi rodzice byli pochodzenia niemieckiego. Ojciec był żołnierzem u feldmarszałka Erwina Rommla, który dowodził Afrika Korps – niemieckim korpusem ekspedycyjnym w Afryce. Na początku lat 60. złożyliśmy pierwsze podanie o emigrację do NRF. Nie dostaliśmy zgody. Ponownie złożyłam papiery w 1974 r. – już tylko ja sama, bo babcia, rodzice i brat nie chcieli wyjeżdżać. W Opolu chodziłam na kursy niemieckiego. Zgodę dostałam po trzech latach. W Niemczech wyszłam za mąż, mamy dwóch synów. Udało mi się ściągnąć do Niemiec rodzinę. Brata w 1986 r., rodziców dwa lata później. Ojciec zmarł w 2004 r., a brat nie czuł się w Niemczech dobrze, nie nauczył się języka. W Augsburgu nie pracowałam zarobkowo. Zajmowałam się domem. Pomagałam w parafialnej bibliotece, odwiedzałam pacjentów w szpitalu itp.

Inna jest historia Loni z Chróścic (niemiecki odpowiednik Chrosczütz), która też należy do mieszkańców osiadłych tu od pokoleń. Ma za sobą wiele lat pracy w bankowości i do dziś zasiada w radzie nadzorczej. Mówi ze śląskim akcentem, a jedno z jej dzieci mieszka na stałe w Niemczech. Chróścice były tzw. wsią książęcą, o której wzmiankowano już w 1268 r. Są tutaj dwie istotne pamiątki historyczne: mogiła dwóch nieznanych żołnierzy niemieckich poległych w 1945 r. oraz popiersie doktora medycyny Augustyna Kośnego, bojownika o polskość Śląska Opolskiego, zamordowanego przez hitlerowców w Berlinie w lipcu 1939 r.

W szponach historii

Klasa francuskojęzyczna z II LO wychowała zarówno Lucy, jak i Lonię oraz jeszcze parę innych osób stojących w rozkroku pomiędzy Polską i Niemcami, które niestety nie przybyły na spotkanie – Magdalenę, Janka, nieżyjącą już Anię. A był to czas historycznie dosyć brzemienny, bo przed wydarzeniami marcowymi 1968 r. i interwencją wojskową w Czechosłowacji. Maturę zdawano kilkanaście dni przed wybuchem izraelsko-arabskiej wojny sześciodniowej, a dwa lata po orędziu biskupów polskich do biskupów niemieckich, za to trzy lata przed uznaniem przez Niemcy Zachodnie granicy na Odrze i Nysie. Każde z tych wydarzeń miało pośredni, a czasem bezpośredni, wpływ na życie opolskich maturzystów.

Coś na ten temat wie Aida. – Mój tata jako oficer Wojska Polskiego był przenoszony z miejsca na miejsce, więc mieszkaliśmy i w Nowym Dworze, i w Gdańsku, i w Poznaniu, i w Gubinie. Ostatnim miejscem było Opole, gdzie przenieśliśmy się, gdy tata awansował do stopnia pułkownika i został zastępcą szefa sztabu. Tata był Żydem ze Starego Sambora. Jego rodzina została wymordowana w czasie wojny, a on jako nastolatek trafił na Syberię. Zaciągnął się do Armii Czerwonej i z nią walczył o Polskę, przechodząc szlak aż do Berlina. W 1968 r. tatę zmuszono do dymisji, a w 1974 r. do wyjazdu do Izraela. Dostał jednak wizę amerykańską. Ja z nim nie wyjechałam, bo po pierwsze, studiowałam, a po drugie, wychowana na patriotkę nie rozumiałam, co się dzieje. Dopiero w 1980 r., po odwiedzinach u taty, złożyłam papiery na wyjazd. Osiem lat później dostałam paszport w jedną stronę. Tak znalazłam się na Long Island.

Coś o edukacji

Na tym można by zakończyć opowieść o opolskich maturzystach z 1967 r. Wszyscy dobrze wykorzystali wiedzę i zręby wychowania nabyte w tym najpewniej bardzo dobrym ogólniaku. Nie wszyscy mogli się stawić w restauracji Retro, więc przesyłam pozdrowienia tym, którym choroba lub inne względy uniemożliwiły przyjazd – Andrzejowi, Jurkowi, Jance, trzeciej Teresie, drugiej Barbarze, Halinie, Urszuli i innym, o których moja pamięć nie dała znać.

Żałowałem bardzo, że nie zobaczyłem Janka, którego organizatorzy spotkania bezskutecznie poszukiwali za zachodnią granicą. A nie przyjechał kolega, z którym w ostatniej klasie siedziałem w jednej ławce. To był miły, trochę nieśmiały chłopiec, ubierający się zwykle w drogie zachodnie ciuchy. Na jednej z przerw Janek w zaufaniu opowiedział mi o swoich idolach – asach Luftwaffe z II wojny światowej. Z całą naiwnością młodzieńczej przyjaźni i z entuzjazmem wyliczył kilka nazwisk, nie spodziewając się pewnie, jakie tym zrobi wrażenie. Miałem wciąż przed oczami jedno z najbardziej przejmujących zdjęć z Września ’39. Fotograf uchwycił na nim zrozpaczoną nastolatkę pochylającą się nad zmasakrowanym ciałem matki leżącej przy drodze. Kobieta była ofiarą jednego z podniebnych „rycerzy” Hitlera, którzy nie przepuszczali żadnej okazji, by siać śmierć ze swoich nowoczesnych maszyn, zwłaszcza wśród cywilów uciekających z miast i wsi. Jankowi pewnie nikt nie powiedział, jak wyglądała edukacja pilotów, ani że 22 sierpnia 1939 r. Adolf Hitler na odprawie wyższych dowódców w Obersalzbergu wypowiedział znamienne słowa: „Nie miejcie litości. Bądźcie brutalni. Słuszność jest po stronie silniejszego. Działajcie z największym okrucieństwem”. Tłumaczyłem sobie, że Jankowi pewnie o tym wcześniej nikt nie powiedział. Nie miał pojęcia, że tak rodziła się legenda asów Luftwaffe: Adolfa Gallanda (104 zestrzelone samoloty), Ericha Rudorffera (262 zestrzelenia) czy Ericha Hartmanna (352 zniszczone samoloty przeciwnika). Dziś pewnie Janek wyposażony w pełniejszą wiedzę byłby bardziej powściągliwy w akcentowaniu swoich zainteresowań. Wiele z tego, co mówimy i robimy, zależy od solidnej, obiektywnej edukacji, a nie manipulacji. ■

Maturę zdawali kilkanaście dni przed wybuchem izraelsko-arabskiej wojny sześciodniowej, a dwa lata po orędziu biskupów polskich do biskupów niemieckich.

eprasa.pl fef7fb23da

W poszukiwaniu perełek

Warto oglądać stare filmy klasy B, bo w każdym z nich można znaleźć przebłysk geniuszu

Rozmawia Michał Sobczyk

Promujesz nietypowe kino, a na dodatek pokazujesz je w niecodziennych miejscach, takich jak dawne hale stoczniowe, opuszczona baza harcerska czy złomowisko.

– Wspólnym mianownikiem różnych inicjatyw, które animuję z Grześkiem Fortuną, jest przekonanie, że filmy warto przeżywać wspólnie, oraz dążenie do tego, aby myśli o zbliżającym się seansie towarzyszyła ekscytacja, tak jak w czasach przed pojawieniem się platform streamingowych. Staramy się, żeby każdy seans organizowany przez nas w ramach cyklu VHS HELL czy Octopus Film Festival był swego rodzaju przygodą. Czasem jest to tylko prelekcja przed filmem, która wprowadza w jego świat, innym razem korespondująca z nim scenografia lub podbijająca klimat inscenizacja.

VHS HELL to okazja, by oglądać filmy tak, jak w latach 90.: z magnetowidu z oldschoolowym lektorem. Pokazom często towarzyszą reklamy i zwiastuny „z epoki", czasami także lektor, który na żywo improwizuje dialogi. Tego w domu raczej nie uświadczysz.

Tak samo jak grupowych emocji, które towarzyszą obcowaniu z waszym repertuarem, pełnym filmów wywołujących śmiech lub grozę.

– Podczas zeszłorocznego Octopusa rozmawiałem na ten temat z Kajetanem Kusiną, autorem bloga Kusi na Kulturę. Cieszył się, że festiwal wyciągnął go z domu, ze strefy komfortu. Mówił, że świetnie się czuł w związku z tym, że mógł przeżywać seanse razem z przyjaciółmi, rozmawiać o nich na bieżąco, poczuć atmosferę filmowego święta. Wydaje mi się, że warto przynajmniej raz na jakiś czas doświadczyć radości z kina w szerszym towarzystwie.

Octopus, odbywający się w Gdańsku od 2018 r., oraz organizujące go stowarzyszenie Velvet Spoon, zajmujące się dystrybucją filmów, stawiają na kino gatunkowe. Jaki klucz stosujecie, wybierając tytuły, które zaprezentujecie widzom? Nie jest nim wysoka jakość realizacji ani poziom artystyczny, bo macie w repertuarze zarówno produkcje bardzo udane, jak i kuriozalne.

– Kino gatunkowe i kino autorskie są przez wielu krytyków uważane za przeciwieństwa, tymczasem my staramy się wyszukiwać takie filmy, które choć obficie czerpią z konwencji danego gatunku, jednocześnie mają jakiś autorski sznyt, czymś się wyróżniają. Spójrzmy na dwie retrospektywy, które odbyły się podczas zeszłorocznej edycji Octopusa. Doris Wishman, która już w latach 60. kręciła erotyki z nurtu *sexploitation*, oraz Enzo G. Castellari, który pracował m.in. przy spaghetti westernach, filmach wojennych i policyjnych (podgatunek zwany *poliziottesco*), to osoby z bardzo odległych biegunów kina, które łączy to, że wypracowały własny język komunikacji z widzem.

Drugim kryterium wyboru jest to, żeby w ramach swojej gatunkowości dany film był możliwie ambitny; m.in. z tego powodu raczej nie prezentujemy wysokobudżetowych hollywoodzkich produkcji. Jednocześnie nadal kochamy kino klasy B i jego przedstawicieli z wielką frajdą uwzględniamy w repertuarze.

Dla niektórych filmów, które upowszechniacie, odpowiedniejsze niż B byłyby znacznie dalsze litery alfabetu. O ile wartość najlepszych horrorów psychologicznych czy antywesternów jest bezsprzeczna, po co właściwie oglądać „Rewolwer i melony", czyli opowieść o kobiecie, która mści śmierć męża, dusząc jego morderców ogromnym biustem, czy ekstremalne filmy o kanibalach?

– Każdy ma własną definicję złych filmów. Dla mnie są to miałkie produkcje, które nie różnią się od siebie praktycznie niczym, jakby były robione w jednej fabryce. Jeśli natomiast film dostarcza emocji i zapada w pamięć, choćby dlatego, że jest dziwaczny czy nieobliczalny, wówczas moim zdaniem jest wart poświęconego czasu. To jest często kino robione przez pasjonatów, którzy nie mają ani dużych budżetów, ani dużych umiejętności, ale wkładają w swoją pracę dużo serca.

Są też twórcy, którzy z pełną premedytacją robią nieudolne filmy, bawiąc się ich konwencją.

Tak jak to robi wytwórnia Troma, która wypuszcza kolejne części „Toksycznego mściciela".

– Po takie tytuły też sięgamy, ale rzadziej. Bardziej interesują nas perełki, które wyróżniają się specyficznym podejściem do kina. Zgadzam się z reżyserem Peterem Stricklandem, który powiedział, że warto oglądać stare filmy klasy B, bo w każdym z nich można znaleźć przebłysk geniuszu. Czasem będzie to jedno ujęcie, czasem dwa, kiedy indziej błyskotliwie obmyślony wątek. Wynika to również z tego, że twórcy, którzy nie pracują dla

> Jeśli film dostarcza emocji i zapada w pamięć, choćby dlatego, że jest dziwaczny czy nieobliczalny, wówczas jest wart poświęconego czasu.

eprasa.pl fef7fb23da

KRYSTIAN KUJDA
– filmoznawca i animator kultury filmowej. Dyrektor artystyczny Octopus Film Festival oraz inicjator projektu VHS HELL, poświęconego erze wideo. Pracownik Instytutu Badań nad Kulturą Uniwersytetu Gdańskiego.

wielkich wytwórni, nierzadko mogą sobie pozwolić na więcej swobody. Podsumowując, kino klasy B często dostarcza wrażeń i emocji, których nie doświadczymy w kontakcie z produkcjami głównego nurtu.

Jakich klasyków kina gatunkowego, którzy nie są szerzej znani polskim kinomanom, szczególnie rekomendujesz? Interesują mnie przede wszystkim autorzy dzieł, które dla współczesnego widza będą czymś więcej niż ciekawostką.

– Gorąco zachęcam do sięgnięcia po twórczość wspomnianej już Doris Wishman, postaci ze wszech miar wyjątkowej. Nie dość, że wzięła się do tzw. kina eksploatacji, wcześniej zarezerwowanego dla mężczyzn, to jeszcze jej filmy są bardzo specyficzne. W wersji odrestaurowanej stopniowo trafiają one na płyty i warto się z nimi zapoznać, zwłaszcza jeżeli ktoś interesuje się tym, co było w kinie zakazane, jak działała cenzura itd.

Z całego serca polecam także włoskie kino gatunkowe lat 70. i początku lat 80. Często wkracza ono w rejony kinematografii klasy B, ale robi to w sposób zadziorny, wręcz bezczelny, często także oryginalny. Jednym z jego najwybitniejszych twórców był Enzo G. Castellari, ale także w dziełach jego licznych naśladowców zawsze znajdzie się coś ciekawego pod względem wizualnym, realizacyjnym czy scenariuszowym.

Zachodnie konwencje brano na warsztat nie tylko nad Tybrem, ale i nad Wisłą.

– Polskie filmy gatunkowe z lat 80. pokazane publiczności ostatniego Octopusa przez Tomka Kolankiewicza są źródłem bardzo ciekawych doświadczeń. Mam na myśli zwłaszcza „Jajo" Konrada Szołajskiego i „Króla komputerów" Pawła Solskiego. Fajnie zobaczyć, jak rodzimi twórcy rozumieli fantasy czy horror.

A nowe produkcje, które warto uchronić przed przeoczeniem?

– Moim ulubionym filmem z ubiegłorocznego konkursu głównego Octopusa jest „Pisklę" – fiński horror o dorastaniu. Jego bohaterką jest dziewczynka, która odkrywa w sobie kobietę, a jednocześnie znajduje ogromne jajo, z którego wykluwa się tytułowe pisklę. To naprawdę kawał dobrego kina. Dużo frajdy sprawił mi również „Deadstream" – świetny horror *found footage* (tj. stylizowany na dokument nakręcony przez uczestników pokazywanych wydarzeń – przyp. red.) z praktycznymi efektami specjalnymi i doskonałym scenariuszem. Najbardziej w ostatnich miesiącach ujął mnie jednak film „Vesper" – dystopijna i niezwykle plastyczna wizja postapokaliptycznego świata przyszłości. Według mnie to najlepsze science fiction od lat.

Aktualnie jesteśmy przed konkursową selekcją na szóstą edycję festiwalu, oglądam zatem kolejne screenery (kopie promocyjne – przyp. red.) w ilościach hurtowych. Mam już swoich faworytów, ale jest jeszcze ciut za wcześnie, aby powiedzieć, co to za filmy i czy uda się nam pozyskać je do konkursu.

W których odmianach kina gatunkowego Polska doczekała się godnych reprezentantów? Dużo u nas powstało komedii romantycznych i filmów sensacyjnych, jednak większość z nich stanowi mniej lub bardziej udolne kopie amerykańskich odpowiedników.

– W moim odczuciu do gatunkowego bumu w naszym kraju jeszcze daleka droga, co wynika z kilku

Kolejny Octopus Film Festival odbędzie się w Gdańsku w dniach 8-13 sierpnia 2023 r. Strona wydarzenia: octopusfilmfestival.com.

FOT. MICHAŁ SZYMOŃCZYK

eprasa.pl fef7fb23da

czynników. Przede wszystkim z tego, że ten rodzaj kina był przez długie lata pogardzany przez polskich krytyków, którzy zupełnie go nie rozumieli. W latach 70. i 80. w publikowanych w „Filmie" i „Kinie" recenzjach amerykańskich horrorów czy sensacji pisano niestworzone rzeczy. Kolejne pokolenia – wychowane niekoniecznie na kinie moralnego niepokoju, raczej na hitach z wypożyczalni kaset – są jednak coraz mniej obciążone negatywnym myśleniem o tym segmencie popkultury. W efekcie powoli dochodzą do głosu twórcy tacy jak Agnieszka Smoczyńska czy Jagoda Szelc, potrafiący bardzo świadomie z niego czerpać, robiąc autorskie dzieła. Bacznie obserwujemy ich rozwój.

Druga przeszkoda ma charakter finansowy, bo jednak wiele gatunków filmowych wymaga większych budżetów.

A czy konsumpcja kina gatunkowego ma w Polsce jakąś specyfikę?

– Na początku ery magnetowidów, gdy nadrabialiśmy zaległości w sferze popkultury, zachodnie kino gatunkowe oglądali wszyscy, niezależnie od jego poziomu. Kiedyś udało nam się przejąć całą kartotekę po dużej, państwowej wypożyczalni, która mieściła się w Gdańsku. Żeby zostać jej klientem, trzeba było wypełnić kwestionariusz, w którym było też pytanie o wykonywany zawód. Okazuje się, że „Robocopa", „Conana Barbarzyńcę" czy „Predatora" mieli w historii wypożyczeń zarówno robotnicy oraz rolnicy, jak i artyści czy adwokaci. To było jednak już ponad 30 lat temu, kiedy polscy widzowie byli wyposzczeni i rzucali się na każdy film, który nie miał szans zaistnieć w publicznej telewizji czy w repertuarze kinowym. Sytuacja ustabilizowała się wraz z powstaniem kolejnych firm dystrybucyjnych i szerszym dostępem do telewizji kablowej, a później do internetu. Teraz, kiedy mamy wybór równie szeroki jak na Zachodzie, nasze gusta chyba nie wyróżniają się w szczególny sposób.

Opowiedz o planach twojej ekipy w zakresie popularyzacji kina nieoczywistego.

– Aktualnie jesteśmy tuż przed kolejną edycją Octopusa i to na niej w tej chwili się koncentrujemy. Nie chciałbym jeszcze zdradzać szczegółów, ale mogę zapewnić, że festiwal wciąż się rozwija. Oprócz konkursu głównego i cykli retrospektywnych, w tegorocznym programie znajdzie się konkurs gatunkowych filmów krótkometrażowych oraz sekcja *industry*, którą organizujemy we współpracy z Gdańskim Funduszem Filmowym. Równolegle planujemy już jesienne premiery kinowe z Velvet Spoon i kolejne pokazy z cyklu VHS HELL.

Kino klasy B często dostarcza wrażeń i emocji, których nie doświadczymy w kontakcie z produkcjami głównego nurtu.

Michał Sobczyk
m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

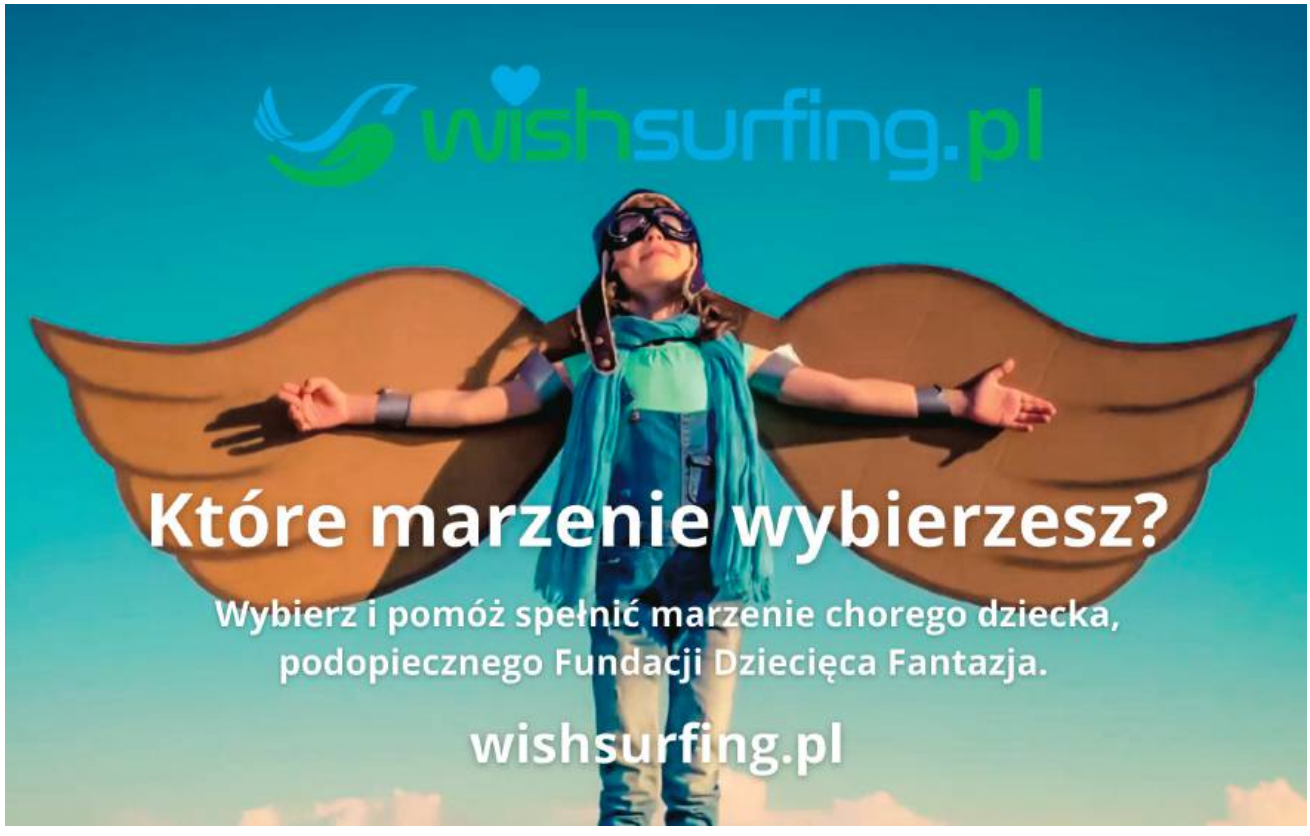

eprasa.pl fef7fb23da

Oko w oko

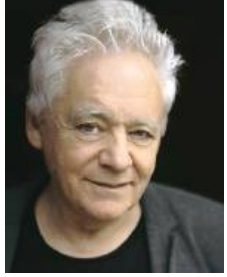

Tomasz Jastrun

Między młotem a kowadłem

W małym L., wsi nie tak dawno, teraz miasteczku, są nawet trzy wysokie domy, aż 11-piętrowe, z lat 70. Obok zupełnie nowy basen i ścianka wspinaczkowa, obiekt jakby z innego świata, podobnie jak pobliski dworzec autobusowy, a poza tym domy jednorodzinne, betonowe pudełka, smutek tej brzydoty. I neogotycki kościół, jedyny zabytek. Na ostatnim piętrze „wieżowca" mieszka B. Z okna obszerny widok, wieże kopalń z charakterystycznymi żelaznymi kołami, a o wiele, wiele dalej zarys Tatr. B. zaprosiła mnie tu na literackie spotkanie, odbyło się w domu kultury. Kilkanaście osób i zawsze ten sam scenariusz, niemal same kobiety i tylko trzech mężczyzn, w tym burmistrz miasteczka. Gęsto i serdecznie. Burmistrz, okazuje się, był na marszu 4 czerwca. Pełen troski i obaw o Polskę. Gram rolę optymisty, wygramy, tylko jak potem czyścić te stajnie Augiasza. Przed spotkaniem mała wycieczka, pobliskie piękne stawy, rybacy moczą w wodzie swoje nadzieje. Potem kolacja u B. Mąż górnik, w samych majtkach, z wydatnym brzuchem wita się i znika w swojej jamie. Moja gospodyni całe życie była kelnerką, jest prosta, cokolwiek to znaczy, ale ma autentyczny talent poetycki, zaskakuje mnie swoim tomikiem, taki samorodek, niebywałe.

•

Nazajutrz Kraków. Spotkanie z szefem wydawnictwa Austeria Wojtkiem Ornatem. Właściciel restauracji na kazimierskim ryneczku, tam też księgarnia i wydawnictwo. Ornat to jeden z nielicznych wydawców, który książki nie traktuje jak produktu, chętny nawet, by drukować mi tomik wierszy, a teraz wydawcy unikają poezji jak ognia. I w pracowni Kasi Karpowicz, młodej malarki, która odniosła wielki sukces, a ja jej w tym pomogłem. Lubię jej pracownię, w starym budynku blisko Plant, drewniana, stara podłoga, wszędzie obrazy, pachnie farbą. Jaka szkoda, że moja żona nie jest malarką.

Śpię w Krakowie u ludzi, których znałem tylko internetowo, a serdeczni jak rodzina. On pracował w banku na wysokim stanowisku, PiS usunęło go, by wsadzić tam swojego człowieka. Opowiada o mechanizmie wymiany kadr, to się dzieje wszędzie na niebywałą skalę, stada nieudaczników, jak drapieżniki na świeże mięso, rzuciły się na posady, ten czas to raj dla konformistów i nieudaczników. Nazajutrz dwa muzea – Czartoryskich i Sukiennice. W tym pierwszym niezwykłe obrazy. Rembrandta „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem" już z dala lśni swoim światłem. I w osobnej, jakby ciemnej kapliczce, jak perła w koronie „Dama z gronostajem" Leonarda. Ten obraz zdaje się religijny też w tym sensie, że taka sztuka może być dowodem na istnienie Boga.

Ulicą św. Jana szedł pijany Brytyjczyk i podrzygiwał sobie. Po Krakowie snują się pijane watahy Anglików, na wpółnagich, w gaciach, obraz upadku imperium i idiotyzmu brexitu. To jak najazd barbarzyńców na kulturalny i trzeźwy kraj, którym dla kontrastu staje się Polska.

•

Zawsze z satysfakcją czytam opinie Wojciecha Sadurskiego, stąd długi cytat: „Pamiętam, jak komuniści mówili o zewnętrznej ingerencji w sprawy polskie. Teraz Zjednoczona Prawica tak traktuje UE, jak komuniści traktowali świat zachodni, demokratyczny. Im przeszkadza, że UE ma i musi mieć mechanizmy kontroli sytuacji wewnętrznej państw członkowskich, na przykład jeśli chodzi o praworządność. Jasnym jest, że dla Zjednoczonej Prawicy jakakolwiek kontrola z zewnątrz jest nie do przyjęcia. Oni potrzebują bezkarności. Tylko bezkarność się liczy, ona jest najważniejsza, niezbędna do zmienienia w Polsce ustroju. A wracając do samego Donalda Tuska, to jego sukces w UE symbolizuje wszystko to, czego oni nie osiągnęli i nigdy nie osiągną. Poza tym, zgoda, ich nienawiść do Unii Europejskiej ma głębokie uzasadnienie ideowe. Dlatego, że Unia Europejska w swoich założeniach jest tym wszystkim, co jest dla nich wrogie. Przecież to instytucja, która przede wszystkim opiera się na prawie, co jest z kolei sprzeczne z ich myśleniem i działaniem. PiS, cała Zjednoczona Prawica to są ludzie, którzy uważają, że polityka jest ważniejsza niż prawo. Poza tym UE jest przestrzenią otwartości, tolerancji, a ideologia Zjednoczonej Prawicy to nietolerancja. A nietolerancja nie ma nic wspólnego z demokracją". Sadurski jest światowym człowiekiem, profesorem na uniwersytetach we Florencji, w Sydney i w Warszawie, widzi więc Polskę ostro z boku i od wewnątrz.

•

Głośny dramat kobiet w ciąży, umierających, bo lekarze boją się przerwać ciążę, nawet gdy to konieczne dla zdrowia matki. Tak działa pisowska ustawa. Lekarze są między młotem PiS a kowadłem społecznego potępienia, między prawem a sumieniem. ■

Lekarze są między młotem PiS a kowadłem społecznego potępienia, między prawem a sumieniem.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fef7fb23da

FESTIWAL

29. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Hamilton de Holanda Jobim Trio

Wielbiciele jazzu odliczali już dni – i oto z początkiem lipca wracają cosobotnie wieczorne uczty muzyczne na Starówce. W programie festiwalu premierowe projekty i koncerty jubileuszowe. Wystąpią polskie i międzynarodowe gwiazdy oraz pionierzy gatunku. Po raz kolejny można będzie się przekonać, jak wiele kolorów ma jazz i że potrafi dać dużo radości. Usłyszymy m.in. latin jazz, fusion, nu jazz i swing, a jako pierwszy wystąpi Hamilton de Holanda, nazywany „Jimim Hendriksem mandoliny". Zagra kompozycje ikony bossa novy, Antonia Carlosa Jobima. Będzie to premierowy koncert artysty w Polsce. Po raz pierwszy wystąpi u nas też pianista Harold López-Nussa, wschodząca gwiazda kubańskiego jazzu. Pojawi się także jeden z najlepszych współczesnych pianistów jazzowych Antonio Faraò. Z polskich artystów usłyszymy m.in. Grażynę Auguścik i Kubę Stankiewicza, Wojtka Mazolewskiego oraz Marcina Maseckiego, który ze swoim Big Bandem zagra „Suitę Jubileuszową" z okazji 70-lecia odbudowy Starego Miasta. A 50-lecie pracy artystycznej świętować będzie Krzesimir Dębski. *(ap)*

Więcej na: www.jazznastarówce.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 1 LIPCA-26 SIERPNIA, GODZ. 19

MIĘDZY OKŁADKAMI

Gianfranco Calligarich
Ostatnie lato w mieście
tłum. Katarzyna Skórska
Czarne, Wołowiec 2023

Powieść Calligaricha przywodzi mi na myśl „Wielkie piękno" Paola Sorrentina. W obu dziełach mamy i melancholijnego niespełnionego pisarza, i Wieczne Miasto widziane oczyma dobrze sytuowanych mieszkańców; oba dzieła są gorzką opowieścią o rozczarowaniu życiem i niechęci do zadowalania się jego resztkami. Jeśli literatura ma opowiadać o końcu, niech robi to z klasą, bez tanich chwytów. Tak o końcu, o upadku, o melancholii, która jest pogodną zgodą na kres, potrafią opowiadać tylko Włosi. Wiemy to od czasów księcia Lampedusy, znamy to z filmów Viscontiego, z piosenek, które śpiewał Lucio Battisti. Teraz dzięki świetnemu tłumaczeniu Katarzyny Skórskiej mamy i literackiego asa „słodkich melancholii", który jak inni włoscy mistrzowie, tacy jak Moravia czy Pavese, przeplata nostalgię z ironią, a apatię traktuje jako nieusuwalną cechę współczesnego człowieka. Cóż, jeśli życie to tylko ciągła strata, to niechaj ten ciąg upadków będzie elegancki, barwny i stylowy, niech to będzie prawdziwa sztuka bez kiczu, literatura, która niczego nie udaje, jest tylko i aż dobrze napisaną opowieścią.

Rafał Pikuła

NA POWAŻNIE

Horror wojenny w operze

Opera romantyczna o Fauście i Małgorzacie w ujęciu Teatru Wielkiego w Łodzi stała się okrutną bajką o zdziczeniu świata w warunkach konfliktu zbrojnego. Muzyka pozostała niezmieniona, ale okoliczności, w których dochodzi do kontraktu starego doktora z diabłem, zostały wtłoczone w sytuację kontrolowaną przez wojsko. Na tym tle Mefisto przestaje być demonem zła. Za tragedię odpowiadają ludzie. Zwyczajni. Posłuszni. Ogłupieni.

Bronisław Tumiłowicz

Charles Gounod, „Faust", reżyseria Ewa Rucińska, kierownictwo muzyczne Rafał Janiak, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 17 czerwca 2023

ZAJRZYJ TU

Bez gorsetu. Camille Claudel i polskie rzeźbiarki XIX w.

Już sam twórczy akt stanowił wtedy wyzwanie. Polskie rzeźbiarki XIX w., wśród nich Tola Certowicz, Natalia Andriolli, Felicja Modrzejewska, Maria Gerson-Dąbrowska, Helena Skirmuntt, tworzyły zgodnie z konwencjami i realiami epoki. W Paryżu Camille Claudel mogła sobie pozwolić na więcej. A jednak biografie nieznanych Polek i ikony światowej kultury to niemal te same historie – kobiet przełamujących stereotypy, walczących o dostęp do zawodu rzeźbiarki, uznanie ich talentów, przestrzeń publiczną, swobodę wyboru tematów, zamówienia. Wystawa jest znakomitym przykładem tego, jak udostępnić i spopularyzować wartościowy projekt badawczy, wydobyć z niebytu zapomniane artystki, włączyć w proces odkrywania ich twórczości i rozmowy o sztuce szeroką publiczność.

Joanna Brych

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, DO 10 WRZEŚNIA

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. JOANNA MIKLASZEWSKA, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl fef7fb23da

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Duch czasu wojennego

Poranna prasówka, mój niegdysiejszy rytuał, w czasie letnim szczególnie przyjemny, bo możliwy do wykonania pozadomowo, ławkowo lub ogrodowo, też już został mi odebrany. Niezależnie od tego, jak wcześnie się budzę, w sklepie już tylko gadzinówki i tabloidy – na ulubioną gazetę, której jestem wierny czwartą dekadę, zbyt wielu chętnych jak na obniżony nakład. „Jako medium trwale opozycyjne, bez reklam spółek skarbu państwa i na każdym kroku szykanowane przez władze, pływamy z otworem nosowym ledwo nad wodą. Budżety poobcinane, pensje od lat zamrożone", pisze do mnie znajomy redaktor. Oby do jesieni, pocieszają się wszyscy, którzy przez dwie kadencje pisowskiej demolki stracili etaty, zlecenia, obniżyli standard życia, ale konsekwentnie opierali się pokusom kolaboracji z prorządowymi mediami.

Pociecha to na wyrost, ale nadziei odbierać nie wolno – na Nowogrodzkiej rwetes i chaos, skończyło się „chowanie prezesa". Kaczyński znowu wrócił do rządu, co mnie cieszy, bo jako nieuleczalny destruktor dużo niebezpieczniejszy jest, gdy zarządza kryzysem zza pleców swoich totumfackich. A skoro pogonił wicepremierów i wziął kierownicę w swoje ręce, by – jak wieść niesie – zmierzać w kampanii wyborczej do czołowego zderzenia z Tuskiem, stracił tym samym bufory. Strefa zgniotu drastycznie się powiększyła – można mieć nadzieję, że u Kaczyńskiego znów się uaktywni gen samozagłady i z tej czołówki PiS cało nie wyjdzie. Owóż poczytać o tym na papierze nie bardzo mogę, bo musiałbym przedsiębrać przedświtowe wyprawy po prasę, a czytanie e-gazet i e-booków jakoś mi w krew nie weszło, zdaje się być czynnością wyjałowioną sensorycznie. Ja po prostu lubię zapach farby drukarskiej i szelest papieru, jeśli tekst nie pachnie, nie brudzi palców, jeśli wiatr nie przewraca stron, czytam co prawda, ale percypuję powierzchownie – nie potrafię w lekturze się zatopić. Może to i lepiej, bo nawet w portalach dotąd stonowanych i rozsądnych trwa podprogowe podsycanie nastrojów konfrontacyjnych, jakby przeczucie krwawej i ostatecznej rozgrywki politycznej o Polskę wdarło się do każdej dziedziny życia, wszędzie trzeba iść z duchem czasu wojennego. Nagłówki wiadomości w każdym dziale wprost kipią od przemocy, jakby język informacyjny, przezroczysty, nienacechowany, już po prostu „nie żarł" i aby przyciągnąć uwagę czytelnika należy o wszystkim informować w konwencji batalistycznej.

Wojna w języku, wojna w głowach – nawet w dziale kultury najłacniej się klikają kolejne wielkie awantury: jakby nikogo już nie interesowały nowe dzieła, a liczył się tylko udział w krwawych zapustach – karnawał sztuki się skończył, teraz czas na ucinanie głów i obalanie pomników. Niedawno wielbieni szamani są degradowani do roli przemocowych szarlatanów, mistrzowie okrzykiwani bełkotliwymi dziadami – *cancel culture* rozpędza się, trwa zbiorowa ekstaza linczu. Ledwie co warszawka uczęszczała nabożnie na „Wymazywanie" Lupy, teraz garnie się do wymazywania Lupy. Jest w tym nagłym ocknięciu się jakiś posmak mstliwej hucpy, jak w całym antyprzemocowym wzmożeniu wielkomiejskiej lewicy, które samo w sobie jest aktem przemocy. Tłumna labilność królobójców mnie przeraża – im większym uwielbieniem darzyła wczoraj swych idoli, z tym zajadlejszą nienawiścią ich dzisiaj piętnuje. Ba, nie dość piętna – kara musi działać wstecz: kogo obwołano krzywdzicielem, nie ma już nawet prawa do dorobku, trzeba go usunąć z historii, kanoniczne arcydzieła przemianować na grafomańskie wybryki kabotyna. I tu kolejna przewaga papieru nad e-tekstem: kiedy już nadzorcy czułych narracji usuną z sieci wszelkie ślady po skancelowanych twórcach, zostaną mi na półkach ich książki. Jakkolwiek by teraz obwoływano Krystiana Lupę przemocowym dziadem, zadręczającym aktorów wielogodzinnymi monologami, ich ślady w postaci kolejnych tomów dziennika na moich regałach pozostaną – choćby „Labirynt" i „Podglądania", które mam za wyżyny rodzimej diarystyki. Czytam zatem wyłącznie na papierze i byłbym musiał uznać się za człowieka, który po prostu utknął w XX w., gdyby nie to, że inaczej rzecz się ma z filmami – nie jestem radykalnym wyznawcą sal kinowych. Wszechdostępność sztuki filmowej na rozlicznych platformach streamingowych sprawia, że do kina chodzę już tylko z dzieckiem na familijne blockbustery. Projekcja kinowa to misterium, w którym sam film jest ledwie pretekstem do tego, by znaleźć się w ciemnej, chłodnej i bezpiecznej przestrzeni, poczuć wspólnotę i oddać się zbiorowej hipnozie na kilkadziesiąt minut – wierzący praktykują to w kościele. Tymczasem do intymnej lektury dzieła filmowego sala kinowa nie jest mi potrzebna, jako krótkowidz wolę mieć ekran jak najbliżej siebie – większość filmów oglądam zatem, o zgrozo, na telefonie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl fef7fb23da

Z Meksyku do Owczarni

Niedaleko podwarszawskiego Milanówka, we wsi Owczarnia, na terenie dawnego parku dworskiego znajdziemy poruszające wyobraźnię miejsce. Jest nim Ogród Rzeźb Juana Soriana. W parkowy krajobraz wkomponowanych zostało ponad 20 niezwykłych rzeźb, a w dawnej stodole znajduje się galeria prac meksykańskiego artysty. Twórcą tej ekspozycji jest Marek Keller, marszand, menedżer i wieloletni przyjaciel Soriana.

eprasa.pl fef7fb23da

Juan Soriano (1920-2006) to niepokorny malarz, rzeźbiarz, enfant terrible, którego obrazy znajdują się w galeriach na całym świecie, a jego rzeźby zdobią budynki publiczne w Meksyku i USA.

Ogród Rzeźb Juana Soriana
ul. Artystyczna 20
Owczarnia
Wstęp wolny

(rp)

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl fer7fbzada

Chrystian Ślusarczyk

Perły w adriatyckiej koronie

W Chorwacji czy Czarnogórze możemy liczyć na prawdziwe lato, jednak bez męczących upałów, jak w Turcji czy na Cyprze

Starsi czytelnicy pamiętają zapewne wyjazdy nad Adriatyk, do Jugosławii. Należało mieć w paszporcie specjalne rozszerzenie. A także dolary czy niemieckie marki, które gwarantowały wymianę na ówczesne dinary. Sporą przeszkodą były tamtejsze ceny paliw, a nawet płatnych odcinków autostradowych. Kolejną barierą były ceny w hotelach. Stąd wielu naszych rodaków decydowało się na biwakowanie na dziko. Czasy te minęły bezpowrotnie. O ile wtedy dotarcie nad Adriatyk dla wielu stanowiło swoisty bieg przez płotki, o tyle dziś do Chorwacji z wielu regionów Polski dostać się możemy w ciągu jednego dnia. A to za sprawą nowych sieci autostradowych w Czechach, na Słowacji, Węgrzech czy w Austrii. Nieco dalej jest do Czarnogóry.

Chorwacki rok: Schengen i strefa euro

Niepodległa Chorwacja, kraj liczący niewiele ponad 4 mln mieszkańców, powstała w 1991 r. Tuż po proklamowaniu niepodległości rozpoczęła się wojna z Jugosławią (de facto z Serbią). Krwawy konflikt zostawił trwały ślad na gospodarce młodej republiki. Na szczęście działania wojenne ominęły wybrzeże dalmatyńskie, a kilkudniowy ostrzał Dubrownika nie wyrządził miastu większych szkód.

Wiek XXI to dla Chorwacji czas polityczno-społecznej oraz gospodarczej normalizacji. W 2009 r. kraj dołączył do NATO, a cztery lata później został członkiem Unii Europejskiej. Wraz z początkiem tego roku Chorwacja weszła do strefy Schengen, a obowiązującą przez kilka lat kunę zastąpiło euro.

Dzisiejsza Chorwacja, coraz mocniej powiązana gospodarczo z Zachodem, opiera się przede wszystkim na sektorze usług, który generuje ok. 60% PKB. Sama turystyka dostarcza ponad 17% PKB. Z roku na rok nakłady na turystykę i jakość usług turystycznych rosną.

Rozrasta się też sieć dróg. Autostradą (płatną) dojedziemy nie tylko do Zagrzebia, ale niemal do Dubrownika. Dzięki otwarciu w lipcu 2022 r. mostu Pelješkiego aby dotrzeć na południe Dalmacji, nie przejeżdża się już przez Bośnię w rejonie miasta Neum. Malowniczy półwysep Pelješac zyskał połączenie z kontynentalną Chorwacją. Otwarcie mostu miało dla Chorwatów znaczenie prestiżowe; realizacja projektu wymagała bowiem zastosowania specjalnych rozwiązań z uwagi na zagrożenie sejsmiczne, huragany i burze.

Niestety, Chorwacja z roku na rok jest coraz droższa. Widać to m.in. na autostradowych bramkach. Jadąc od granicy węgierskiej do Zadaru, zapłacimy 22 euro. Dojazd autostradą w okolice Dubrownika to już 36 euro.

Ceny w chorwackich restauracjach też do niskich nie należą, a przyjęcie euro spowodowało kolejny ich wzrost. Za obiad czy kolację w tawernie zapłacimy dwa razy więcej niż w Bułgarii. I sporo więcej niż w Albanii, Czarnogórze czy Serbii.

Dalmacja i kilometry rozkoszy

O miano stolicy Dalmacji rywalizują Split z położoną bardziej na północ Rijeką. Oba miasta to też największe porty, także promowe. Więcej zagranicznych gości przyciąga liczący 160 tys. mieszkańców Split. Miasto położone u stóp skalistych gór słynie z imponującego pałacu cesarza Dioklecjana, wplecionego dziś w otoczenie starych kamieniczek centrum. Okolice miasta przyciągają głównie żwirowymi plażami, krystalicznie czystą wodą i możliwością uprawiania sportów wodnych (m.in. żeglarstwa czy lotów hydroplanami).

eprasa.pl fef7fb23da

Kotor z murami obronnymi i wąskimi uliczkami uznawany jest za najpiękniejsze miasto Czarnogóry.

Split słynie z pałacu Dioklecjana wplecionego dziś w otoczenie starych kamieniczek centrum.

Najchętniej odwiedzanym przez turystów miastem Chorwacji od lat jest Dubrownik (wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO). Niewielkie miasto rozciągające się wokół pokrytej kamiennymi płytami głównej ulicy Stradun stanowi unikatowy w Europie, zachowany w całości układ urbanistyczny średniowiecznego grodu z systemem umocnień obronnych. Latem przyciągają tam liczne muzea, festiwale i imprezy kulturalne, lokalna kuchnia i życie nocne.

Dalmacja to jedno z tych miejsc, gdzie nie da się nie zrobić ładnego zdjęcia. Na architekturze tamtejszych miasteczek swój ślad odcisnęły Rzym i Bizancjum, ale przede wszystkim Wenecjanie. Trudno odpowiedzieć na pytanie, które z tych miasteczek warto odwiedzić. Pula, Opatija, Szybenik, Makarska, Ploće i okolice z pewnością nikogo nie zawiodą.

Jeśli chodzi o liczbę wysp i wysepek, Chorwaci rywalizują z Grekami. Warto wybrać się, np. promem, na większe wyspy: Krk i znajdujący się tam park narodowy (nowością jest bezpłatny most), Cres, Rab, Brač, Korčulę czy też mniejsze, prawie niezamieszkane, latem ciche i spokojne. To właśnie na wyspie Brač znajduje się – przez wielu uznawana za najpiękniejszą w Europie – plaża Zlatni rat (złoty róg). W okolicach liczącej ponad 400 m żwirkowej plaży uprawiane są chorwackie hity: snorkeling, narciarstwo wodne, surfing czy spadochroniarstwo.

Plitvicki cud natury

Większość turystów odwiedza jedynie wybrzeże. Tymczasem godnych zatrzymania się na kilkudniowy urlop miejsc nie brakuje. Bez wątpienia wielką turystyczną atrakcją są Jeziora Plitwickie (bilet wstępu do Parku Narodowego – 15 euro). Warto się tam zatrzymać i zanocować w którymś z licznych pensjonatów. Jeziora o niezwykłym zielonkawym kolorze i kaskady spadającej wody co roku przyciągają ok. 1,5 mln turystów. Plitvice to bajkowy spacer pośród dzikiej przyrody. Obszar parku obejmuje 16 jezior krasowych różnej wielkości. Ze względu na różnice wysokości pomiędzy nimi woda przelewa się widowiskowymi wodospadami wśród roślinności.

Stolicy kraju, ponad 700-tysięcznego Zagrzebia, nie należy omijać obwodnicami. To typowe austro-węgierskie miasto w wielu miejscach przypomina Wiedeń czy Kraków. Położona na wzgórzu starówka (Gornji Grad) przyciąga wzrok potężną gotycką katedrą Wniebowzięcia NMP (niestety od wielu lat trwa renowacja wież), kościołem św. Marka z bajecznie kolorowym dachem i herbami czy majestatycznym budynkiem Chorwackiego Teatru Narodowego.

Czarnogóra – małe jest piękne

Położona dalej na południe niewielka Czarnogóra, licząca 630 tys. mieszkańców, czyli tyle co Wrocław, to bałkańska perełka. W wielu językach kraj nazywany jest Montenegro (czarne góry) od ciemnych gór, które wyrastając z morskich głębin, robią ogromne wrażenie. Jednak turyści odwiedzający Czarnogórę latem, zamiast czarnych gór w głębi lądu widzą raczej spalone słońcem łąki, palmy nad Adriatykiem i białe skały schodzących do morza Gór Dynarskich.

Niepodległa Czarnogóra pojawiła się na mapach w roku 2006. Serbowie, z którymi Czarnogórcy zawsze pozostawali w braterskich stosunkach, decyzję Podgoricy przyjęli z tolerancją i zrozumieniem. Silne więzi z Serbią (bardzo podobny język i dominujące prawosławie) były, są i jeszcze zapewne długo będą widoczne w gospodarczym krajobrazie Czarnogóry, dla której Serbia pozostaje głównym partnerem handlowym. Od lat serbscy turyści (głównie zamożni mieszkańcy Belgradu) stanowią zdecydowanie największy odsetek zagranicznych gości. W 2021 r. dochody z turystki wyniosły ponad 30% czarnogórskiego PKB. Do tego sukcesu

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl fef7fb23da

w znaczny sposób przyczynili się także polscy turyści. Jednak pandemia i inwazja Rosji na Ukrainę zahamowały napływ turystów i były ciosami dla gospodarki Czarnogóry. Wcześniej zarówno Ukraińcy, jak i Rosjanie bardzo chętnie przyjeżdżali do bliskiej im kulturowo Czarnogóry.

Największym sukcesem Czarnogóry jest zdolność do utrzymania prozachodniego kursu mimo postjugosłowiańskiej spuścizny. Państwo dołączyło do NATO, weszło na drogę integracji europejskiej i jest wymieniane jako lider wśród krajów Bałkanów Zachodnich w kolejce do wejścia do UE. Wskaźniki makroekonomiczne pokazują, że mimo podobnego punktu wyjścia Czarnogóra rozwija się szybciej niż Serbia. Wciąż hamulcem dla jej akcesji są kwestie zależności wymiaru sprawiedliwości i korupcja.

Czarnogóra stanowi prawdziwą mozaikę etniczną i religijną. Ale, w odróżnieniu od tego, co dzieje się w sąsiednim Kosowie, nie jest to potencjalnym źródłem niestabilności i niepokojów. Dziś blisko 75% Czarnogórców uznaje jurysdykcję Serbskiej Cerkwi Prawosławnej, a 20% (odsetek ten systematycznie wzrasta) to wyznawcy islamu. Mimo to jakiekolwiek waśnie na tle religijnym to w Czarnogórze rzadkość.

Adriatyckie fiordy

Zdaniem wielu Polaków Czarnogóra niewiele różni się od Chorwacji. Nie do końca jest to zgodne z prawdą. Czarnogórskie wybrzeże jest jeszcze bardziej urozmaicone niż chorwackie. Choć kraj to mały, jego linia brzegowa ma blisko 300 km. A to głównie za sprawą słynnej Boki Kotorskiej – zatoki o śródziemnomorskim klimacie przypominającym pejzażowo norweskie fiordy. Sam Kotor uznawany jest za najpiękniejsze miasto Czarnogóry. Forteca, mury obronne, wąskie uliczki z zaglądającymi do siebie oknami sąsiadów, cerkwie, kościoły i niemal pionowe skały tuż nad starówką czynią z tego miasta ulubiony cel podróży nie tylko zmotoryzowanych, ale także ogromnych wycieczkowców raz po raz zaglądający do portu. Nad Boką turystów przyciąga mniejszy Perast, w pobliżu którego znajdują się dwie charakterystyczne wysepki Sveti Dorde (św. Jerzego): nazywana Wyspą Umarłych ze względu na rosnące tam cyprysy i Gospa od Skrpelja (wyspa Matki Boskiej na Skale). Miejscem wyjątkowym są z pewnością wyspa i miasteczko Sveti Stefan (364 mieszkańców). Łącząca wyspę ze stałym lądem grobla komunikacyjna jest zalewana w czasie niewielkich przypływów. W wiekach średnich istniało tam ufortyfikowane miasto rybackie. Dziś całe miasteczko należy do luksusowej sieci arabskich hoteli.

Dzięki otwarciu w lipcu ubiegłego roku mostu Pelješkiego, aby dotrzeć na południe Dalmacji, nie przejeżdża się już przez Bośnię.

Ważnym ośrodkiem turystycznym jest Budva, serce tzw. Riwiery Budwiańskiej. Okolice szybko rozrastającego się miasteczka, którego początki sięgają IV w. p.n.e. są najbardziej skomercjalizowanym fragmentem czarnogórskiego wybrzeża Adriatyku.

Piaszczyste plaże i wrota Orientu

Wśród polskich turystów pokutuje przekonanie, że czarnogórskie wybrzeże niczym nie różni się od chorwackiego. A na kamienistych i żwirowych plażach – tak jak w Chorwacji – musimy być zaopatrzeni w obuwie ochronne. Nic bardziej mylnego. Południowe wybrzeże adriatyckie Czarnogóry to także kilometry piaszczystych plaż. Takie morskie luksusy czekają na nas w okolicy miasteczka Ulcinj, zamieszkanego niemal w całości przez wyznającą umiarkowany islam ludność pochodzenia albańskiego. W pobliżu dzielnicy Gjerane rozpoczyna się ciągnąca się do granicy z Albanią i jeszcze dalej tzw. Velika Plaža. Szerokość pasa dość ciemnego piasku w niektórych miejscach przekracza 100 m. Miasteczko meczetów i minaretów – Ulcinj i okolice to najtańszy region Czarnogóry. Latem pełno tam Kosowian, zarówno tych z najbliższego sąsiedztwa, jak i z diaspory. Bogactwo potraw i ogromny ich wybór w tamtejszych lokalach przypominają, że Orient – w najlepszym tego słowa wydaniu – jest tuż-tuż.

Niewielka Czarnogóra to nie tylko piękne wybrzeże, plaże i zatoczki oraz ciepły od czerwca do października Adriatyk. Kraj szczyci się też wspaniałymi górami. Znajdujące się na północy, przy granicy z Bośnią i Serbią, szczyty przekraczają 2500 m n.p.m. Zimą jeździ się tam na nartach, latem, gdy pogoda najczęściej nie zawodzi, to wymarzone miejsce dla miłośników górskich wspinaczek bez tłumów i zadeptywanych szlaków. Niezwykłą atrakcją jest położony w górach Durmitor kanion rzeki Tary – najgłębszy kanion w Europie. Podziwiamy w nim skalne i kamieniste progi, piaszczyste plaże (!), wysokie klify i ponad 80 dużych jaskiń.

Czarnogórski interior kryje też inne skarby – prawosławne, żywe także dziś, klasztory. Najsłynniejszym, najliczniej odwiedzanym jest Monaster Ostrog niedaleko Podgoricy. XVII-wieczny biały klasztor jest niemal „przyklejony" do kontrastujących z nim skał. Wierni oddają w nim cześć przechowywanym tam relikwiom św. Bazylego – fundatora klasztoru. Za cudotwórcze uważane są również krzew winorośli oraz źródło, jakie według tradycji pojawiło się w Ostrogu po śmierci założyciela monasteru na skale, na której wznosi się budowla.

Podobnie jak w Chorwacji także w Czarnogórze nie musimy się martwić o wymianę waluty. Z tą tylko różnicą, że Chorwacja weszła do strefy euro całkowicie legalnie (spełniając unijne wymagania), a niebędący w UE Czarnogórcy wprowadzając euro w 2002 r., uczynili to bez zgody i porozumienia z Europejskim Bankiem Centralnym.

Jadąc do Chorwacji czy Czarnogóry, możemy liczyć na prawdziwe lato – suche, ciepłe i pełne słońca, jednak bez skrajności i tak męczących upałów, jak w części Hiszpanii, Turcji czy Cypru.

Chrystian Ślusarczyk

eprasa.pl fef7fb23da

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Brawo, jesteście wspaniali

Ale czy to nasza wina, że robi się nam przyjemnie, kiedy ktoś chwali naszą pracę, artykuł, ciasto, kwiaty na balkonie? I czy rzeczywiście pragniemy, żeby mówiono nam wprost, że tym razem poszło gorzej, słabiej, mniej ciekawie? Że inni byli lepsi albo my w przeszłości byliśmy lepsi od siebie? Bo wyobraźmy sobie tę szczerość, którą tak cenimy, o którą tak zabiegamy. Te wszystkie zakończone przyjaźnie, urazy nie do zażegnania. Nie bez powodu przecież lawirujemy, oceniając to i owo: publicznie stawiamy na poręczne półsłówka – to taka umowa społeczna. Pytający nas o zdanie w pewnym momencie na wszelki wypadek odpuszcza. Jednak znając ten mechanizm, nie czujemy się najlepiej, kiedy to nas ktoś zbywa półsłówkami.

Z drugiej jednak strony równania znajdują się komplementiarze (i komplementiary)! Oczywiście bardziej nam się wydają żałośni, kiedy komplementują kogoś innego, nie nas. Nasza pogarda podszyta zazdrością każde widzieć w nich węże owijające się wokół tych, od których zależą, wokół tych, którzy coś im mogą załatwić. To hołd dla decydentów – w końcu właśnie na ich grzbietach pochlebcy próbują wznieść się wyżej i wyżej, żeby wystawić z kolei własne plecy do masażu, żarliwego głaskania: „Jakże piękny, piękna, piękne. Brawa, brawka, jesteście wspaniali". Kiedy jednak to nas biorą te liski w obroty, nagle trudno się oprzeć ich manipulacji, nie wydają się już tacy straszni. Tak, mają w sobie ten słodki jad, który sprawia, że zawsze znajdą swoje miejsce na dworze.

Nie znam zbyt wielu osób odpornych na pochlebstwa, nawet te wypuszczane z automatu, seriami. Bywa raczej tak, że osoba obdarzona względami wraca z imprezy do domu we wspaniałym nastroju i mówi: „Jakaś taka sympatyczna ta Sabina. Jakiś miała dzisiaj lepszy dzień". Bo większość z nas lubi, jak się robi milutko, a nasza próżność zasysa każdy komplement jak tlen. „No i co – mówimy do siebie, kiedy pojawia się namysł nad naszą kondycją, kiedy nachodzi nas autorefleksja: – I co w tym takiego strasznego, że ktoś chce się nam przypodobać, że jest zwyczajnie uprzejmy, nawet jeśli jego pochwała jest trochę przesadna. To nie manipulacja, lecz forma, konwencja". Ostatecznie zresztą mamy w tym wszystkim *win-win:* komplementiarz ma stabilne miejsce na dworze, dwór ma komplementiarza.

Na próżno czekamy, aż osoba adorowana otrząśnie się, przejrzy na oczy i doceni szczerość, zawstydzając manipulanta, oszusta, który kadzi, masuje stópki i leje ten mdły miód jak szalony. To nie dzieje się niemal nigdy. Chociaż, pozostając w sferze teorii, cenimy odwagę, szczerość, konfrontację, a podwójność przypisujemy szubrawcom., to w życiu wolimy adorację. Podejrzenie, że to fejk, zdusimy w sobie po raz kolejny, w końcu robiliśmy to wiele razy. Jednak nie dajcie się zwieść: pochlebcy nie chodzi tylko o sympatię. Kieruje nim także chęć skupienia uwagi na sobie, spektakularny popis. Dlatego najczęściej adoruje osoba niedowartościowana, która w chwili rzucania czaru sama sobie wydaje się „błyskotliwa i szarmancka". Badacze ludzkiej osobowości doskonale rozpoznają ten typ. Chociaż nie wiem, na co komu ta wiedza. Ani ty, ani ja – dziś, jutro – nie oprzemy się komplementom, modląc się do Dziejucha, żeby było w tych słowach chociaż ziarno prawdy, coś, czego się uczepimy, zasypiając.

Ale szanować będziemy kogoś innego – tych, którzy potrafią przeżyć bez wkręcania się w cudzy tyłek. Może mają przywileje, może jednym z nich jest duma, może uczciwość, może zarozumiałość, a może odwaga? Czasem nimi jesteśmy. A czasem tamtymi, którzy zalewają innych własnym gorącym uśmiechem.

Jesteście wspaniali.

Większość z nas lubi, jak się robi milutko, a nasza próżność zasysa każdy komplement jak tlen.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY NEWSLETTER ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Można to zrobić na stronie **tygodnikprzeglad.pl**, podając swój adres e-mail, lub dzwoniąc do redakcji, tel.: 22 635 84 10.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY W KONTAKCIE!

YouTube

eprasa.pl fef7fb23da

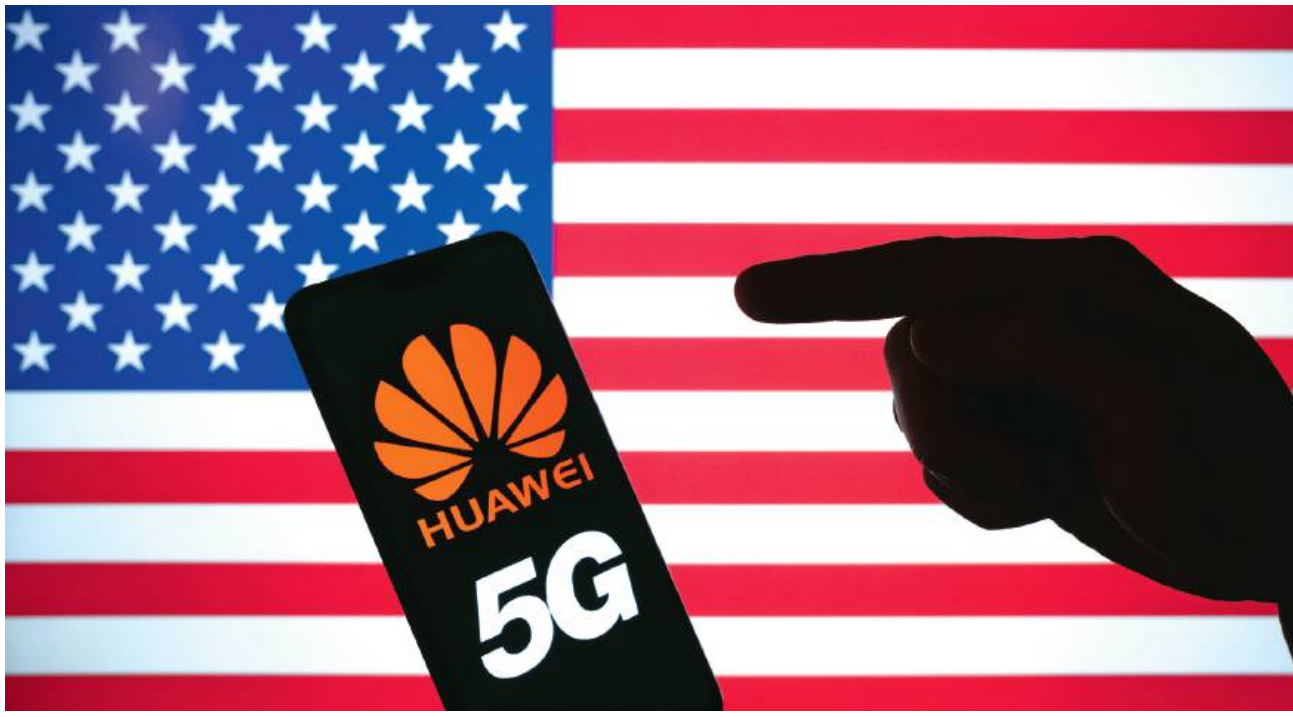

Atak na Huawei

Chiny nie zrobiły nic, żeby wziąć odwet za utrudnianie działalności swojej najbardziej zglobalizowanej firmy technologicznej

Chris Miller

„Nazywam to szpiegostwem – odpowiedział prezydent Trump zapytany o Huawei przez gospodarzy jednego z jego ulubionych programów telewizyjnych, Fox & Friends. – Nie chcemy ich sprzętu w Stanach Zjednoczonych, ponieważ nas szpiegują. (…) Wiedzą wszystko". To żadne odkrycie, że infrastruktura techniczna może służyć do kradzieży poufnych informacji. Po tym, jak w 2013 r. Edward Snowden, były pracownik National Security Agency (NSA), uciekł do Rosji, ujawniając wiele najpilniej strzeżonych tajemnic agencji, w której był zatrudniony, prasa na całym świecie regularnie publikowała wiadomości o możliwościach amerykańskich cyberszpiegów. Imponujące możliwości hakerskie Chin również były powszechnie znane po serii głośnych oskarżeń o zdobycie rzekomo tajnych danych amerykańskiego rządu.

W NSC i Pentagonie sprawa Huawei była postrzegana raczej nie jako problem szpiegowski – choć amerykańscy urzędnicy nie wątpili, że firma będzie wspierać chińskie działania tego typu – ale bardziej jako pierwsza potyczka w długiej walce o techniczną dominację. Matt Turpin, urzędnik Pentagonu, który pracował nad wojskową strategią nowego „zrównoważenia", uważał, że Huawei jest symptomem szerszego problemu występującego w amerykańskim przemyśle nowych technologii: chińskie firmy „były częścią systemu stworzonego przez Stany Zjednoczone", ponieważ projektowały chipy, wykorzystując amerykańskie oprogramowanie, produkowały je przy użyciu amerykańskich maszyn i często instalowały je w urządzeniach sprzedawanych amerykańskim konsumentom. Dlatego nie sposób było wyobrazić sobie sytuacji „że Stany Zjednoczone są bardziej innowacyjne niż Chiny, a następnie uniemożliwiają im korzystanie ze swoich innowacji".

Huawei i inne chińskie firmy zaczęły odgrywać główne role w podsektorach technicznych, nad którymi Stany Zjednoczone chciały zachować kontrolę, aby utrzymać nad Chinami przewagę technologiczną zapewniającą dominację strategiczną i militarną. „Huawei stał się egzemplifikacją wszystkiego, co zrobiliśmy źle, konkurując z Chinami w branży nowych technologii", powiedział inny wysoki urzędnik administracji Trumpa.

Obawy dotyczące działalności Huawei nie ograniczały się do administracji Trumpa i Stanów Zjednoczonych. Australia odcięła Huawei od sieci 5G po tym, jak jej służby bezpieczeństwa stwierdziły, że korzystanie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fef7fb23da

z urządzeń tej firmy byłoby ryzykowne, nawet gdyby firma zapewniła otwarty dostęp do kodu źródłowego używanego oprogramowania i całego sprzętu. Premier Australii Malcolm Turnbull początkowo sceptycznie podchodził do tego pomysłu. Według australijskiego dziennikarza Petera Hartchera Turnbull kupił sobie 474-stronicową książkę zatytułowaną „A Comprehensive Guide to 5G Security", aby dogłębnie zbadać problem zachowania bezpieczeństwa w sieciach 5G i móc zadawać trafniejsze pytania swoim ekspertom technicznym. W końcu przekonał się, że nie ma innego wyjścia, jak tylko odciąć sprzęt Huawei od sieci 5G. Australia stała się pierwszym krajem, który formalnie to zrobił. Podobne decyzje wkrótce podjęły Japonia, Nowa Zelandia i inne państwa.

Nie każdy kraj tak samo oceniał zagrożenie. Wiele państw sąsiadujących z Chinami było sceptycznie nastawionych do firmy i nie chciało podejmować ryzyka związanego z bezpieczeństwem sieci. Natomiast w Europie kilku tradycyjnych amerykańskich sojuszników z rezerwą odnosiło się do kampanii nacisków administracji Trumpa, która miała ich przekonać do odcięcia Huawei od sieci 5G. Z kolei niektórzy bliscy sojusznicy Ameryki w Europie Wschodniej, np. Polska, otwarcie zakazali działalności firmy. W 2019 r. w Polsce aresztowano zresztą byłego dyrektora Huawei pod zarzutem szpiegostwa. Także Francja po cichu nałożyła na firmę surowe restrykcje. Inne duże kraje europejskie próbowały znaleźć złoty środek. Niemcy, które eksportują dużo samochodów i maszyn do Chin, zostały przez chińskiego ambasadora ostrzeżone przed „konsekwencjami", jeśli zakażą Huawei działalności. „Chiński rząd nie będzie przyglądał się temu bezczynnie" – zagroził chiński dyplomata.

Administracja Trumpa mogła spodziewać się negatywnej reakcji ze strony Niemiec, które postrzegała jako niezależnego sojusznika w wielu kwestiach. Większą niespodzianką była Wielka Brytania, która pomimo „specjalnych relacji" ze Stanami Zjednoczonymi odrzucała prośby Ameryki o zakazanie Huawei dostępu do brytyjskich sieci 5G i zaopatrywanie się w sprzęt u innych dostawców, takich jak szwedzki Ericsson czy fińska Nokia. W 2019 r. brytyjskie rządowe National Cyber Security Centre stwierdziło, że można zarządzać ryzykiem związanym z systemami Huawei bez odcinania firmy od sieci 5G.

Dlaczego australijscy i brytyjscy eksperci do spraw cyberbezpieczeństwa różnili się w ocenie ryzyka związanego ze sprzętem Huawei? Nie ma dowodów, że mieli różne opinie w kwestiach technicznych. Na przykład brytyjskie organy regulacyjne dość krytycznie odnosiły się do niedociągnięć w praktykach Huawei w zakresie cyberbezpieczeństwa. Debata dotyczyła tak naprawdę tego, czy należy uniemożliwić Chinom odgrywanie coraz większej roli w światowej infrastrukturze technicznej. Robert Hannigan, były szef brytyjskiej agencji wywiadu radioelektronicznego, przekonywał, że „powinniśmy zaakceptować fakt, że Chiny będą w przyszłości globalną potęgą technologiczną, i zacząć zarządzać ryzykiem już teraz, zamiast udawać, że Zachód może przeczekać rozwój techniczny Chin". Wielu Europejczyków uważało również, że postęp techniczny w Chinach jest nieunikniony i dlatego nie warto go powstrzymywać.

Rząd Stanów Zjednoczonych nie zgadzał się z takim stanowiskiem. Problem wykraczał daleko poza debatę na temat tego, czy Huawei pomagał podsłuchiwać telefony i kraść dane. Naruszenie amerykańskich sankcji wobec Iranu, do czego przyznało się kierownictwo firmy, rozdrażniło wiele osób w Waszyngtonie, ale była to sprawa drugorzędna. Prawdziwy problem polegał na tym, że chińska firma nieustannie wspinała się po technologicznej drabinie – zaczynała działalność pod koniec lat 80. od handlu prostymi centralami telefonicznymi, a pod koniec drugiej dekady XXI w. doszła do produkcji najbardziej zaawansowanego sprzętu telekomunikacyjnego i sieciowego. Jej roczne wydatki na badania i rozwój zaczęły dorównywać wydatkom amerykańskich gigantów technologicznych, jak Microsoft, Google i Intel. Spośród wszystkich chińskich firm technologicznych była eksporterem odnoszącym największe sukcesy, co dawało jej szczegółową wiedzę na temat zagranicznych rynków. Firma nie tylko produkowała sprzęt do stacji bazowych sieci komórkowych, ale także projektowała najnowocześniejsze chipy do smartfonów. Stała się drugim co do wielkości klientem TSMC, plasując się zaraz za Apple'em. Naglące pytanie brzmiało: czy Stany Zjednoczone mogą pozwolić, by taka chińska firma odniosła sukces?

„Stany Zjednoczone muszą zdusić Huawei", oświadczył republikański senator Ben Sasse w 2020 r.

To pytanie wprawiało wielu ludzi w Waszyngtonie w zakłopotanie. Przez całe pokolenie amerykańskie elity wspierały wzrost gospodarczy Chin. Stany Zjednoczone wspomagały firmy technologiczne z całej Azji, zapewniając japońskim firmom, takim jak Sony, dostęp do swojego rynku w latach szybkiego wzrostu Kraju Kwitnącej Wiśni, a kilka dekad później południowokoreańskiemu Samsungowi. Model biznesowy Huawei niewiele się różnił od modelu biznesowego Sony czy Samsunga, kiedy zdobywały znaczącą pozycję w światowym ekosystemie technologicznym. Czy trochę większa konkurencja nie była w porządku?

Jednak w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego rywalizacja z Chinami była teraz postrzegana głównie jako gra o sumie zerowej. Dla jej przedstawicieli Huawei był wyzwaniem nie gospodarczym, lecz strategicznym. Sony i Samsung były firmami technologicznymi z krajów sprzymierzonych ze Stanami Zjednoczonymi. Huawei był jedną z najlepszych firm głównego geopolitycznego rywala Ameryki. Patrząc przez ten pryzmat, ekspansja Huawei była dla niej zagrożeniem. Również Kongres chciał zaostrzenia prowadzonej polityki.

eprasa.pl fef7fb23da

„Stany Zjednoczone muszą zdusić Huawei – oświadczył republikański senator Ben Sasse w 2020 roku. – Współczesne wojny toczone są za pomocą chipów, a my pozwoliliśmy Huawei używać amerykańskich projektów układów scalonych". Problemem nie było to, że Huawei bezpośrednio wspierał chińską armię, lecz to, że dzięki niemu w Chinach podnosił się ogólny poziom know-how w dziedzinie projektowania układów scalonych i mikroelektroniki. Im bardziej zaawansowana elektronika byłaby produkowana w Chinach, tym nowocześniejsze chipy musiałaby zawierać i tym bardziej światowy ekosystem układów scalonych polegałby na Państwie Środka kosztem Stanów Zjednoczonych. Co więcej, wzięcie na cel najsłynniejszej chińskiej firmy technologicznej byłoby równoznaczne z uprzedzeniem innych krajów na całym świecie o rychłej konieczności opowiedzenia się po jednej ze stron. Zahamowanie wzrostu Huawei stało się jednym z priorytetów administracji Trumpa.

Kiedy administracja Trumpa po raz pierwszy zdecydowała się zwiększyć presję wywieraną na Huawei, zabroniła sprzedawać tej firmie chipów, które były produkowanych w Stanach Zjednoczonych. Już samo to ograniczenie było druzgocące, biorąc pod uwagę, jak wszechobecne są chipy Intela i jak wiele innych amerykańskich firm produkuje niemal niezastąpione układy analogowe. Jednak po dziesięcioleciach offshoringu coraz mniej układów scalonych produkowanych było w Stanach Zjednoczonych. A Huawei zlecał produkcję zaprojektowanych przez siebie chipów tajwańskiej firmie TSMC, a nie firmom ze Stanów Zjednoczonych, ponieważ nie posiadały one lokalnych fabryk, w których możliwe było wyprodukowanie najnowocześniejszych procesorów do smartfonów. Ograniczenie sprzedawania firmie Huawei towarów wyprodukowanych w Ameryce nie powstrzymałoby TSMC przed wytwarzaniem dla tej firmy zaawansowanych technologicznie chipów.

Zahamowanie wzrostu Huawei stało się jednym z priorytetów administracji Trumpa.

Można by się spodziewać, że offshoring produkcji chipów zmniejszy wpływ rządu Stanów Zjednoczonych na produkcję zaawansowanych chipów przez firmy z innych krajów. Z pewnością łatwiej byłoby odciąć Huawei, gdyby cała zaawansowana produkcja układów scalonych odbywała się w Ameryce. Jednak Stany Zjednoczone ciągle miały do dyspozycji mocne karty. Na przykład proces offshoringu produkcji chipów zbiegł się w czasie z rosnącą monopolizacją wąskich gardeł przemysłu półprzewodnikowego. Prawie każdy chip na świecie korzysta z oprogramowania przynajmniej jednej z trzech amerykańskich firm: Cadence, Synopsys, Mentor (ta ostatnia jest własnością niemieckiego Siemensa, ale ma siedzibę w Oregonie). Z wyjątkiem chipów, które produkuje Intel, wszystkie najbardziej zaawansowane układy logiczne są produkowane przez dwie firmy – Samsunga i TSMC – obie mają zakłady produkcyjne w krajach zależnych w kwestiach bezpieczeństwa od armii Stanów Zjednoczonych. Co więcej, produkcja zaawansowanych procesorów wymaga maszyn do litografii EUV produkowanych tylko przez jedną firmę, holenderskiego ASML. Firma ta z kolei w zakresie dostaw nieodzownych źródeł światła do swoich urządzeń do litografii EUV jest zależna od Cymera z San Diego, którego kupiła w 2013 r. O wiele łatwiej jest kontrolować wąskie gardła procesu wytwarzania chipów, gdy do realizacji tak wielu istotnych etapów produkcyjnych niezbędne są narzędzia, materiały lub oprogramowanie dostarczane przez zaledwie garstkę firm. Wiele z tych wąskich gardeł pozostało w rękach Amerykanów. Pozostałe są w większości kontrolowane przez bliskich sojuszników Stanów Zjednoczonych.

Mniej więcej w tym samym czasie dwóch naukowców, Henry Farrell i Abraham Newman, zauważyło, że na międzynarodowe stosunki polityczne i gospodarcze coraz większy wpływ ma zjawisko, które nazwali „współzależnością wykorzystywaną jako broń". Zauważyli, że kraje są ze sobą bardziej powiązane niż kiedykolwiek wcześniej, ale zamiast rozbrajać konflikty i zachęcać do współpracy, ich współzależność tworzy nowe obszary rywalizacji. Sieci zależności łączące narody stały się

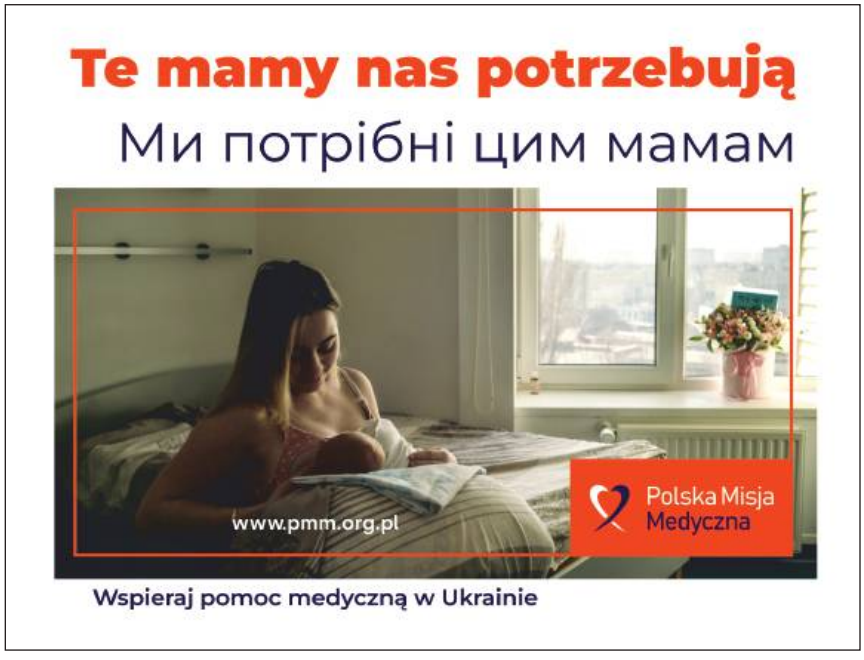

eprasa.pl fef7fb23da

przestrzenią konfliktu. Na przykład w sferze finansowej Stany Zjednoczone skorzystały z uzależnienia wszystkich krajów od dostępu do systemu bankowego, żeby ukarać Iran. Farrell i Newman martwili się, że wykorzystywanie przez rząd Stanów Zjednoczonych handlu i przepływów kapitałowych jako broni politycznej zagraża globalizacji i grozi niebezpiecznymi, niezamierzonymi konsekwencjami. Z kolei administracja Trumpa doszła do wniosku, że jako potężnej broni może użyć łańcuchów dostaw układów scalonych.

W maju 2020 r. administracja Trumpa jeszcze bardziej zaostrzyła restrykcje wobec Huawei. Departament Handlu zadeklarował, że „chroni bezpieczeństwo narodowe, ograniczając możliwości wykorzystywania przez Huawei amerykańskich technologii i oprogramowania do projektowania i produkcji układów scalonych za granicą". Nowe zasady Departamentu Handlu nie ograniczały się tylko do uniemożliwienia firmie zakupu towarów wyprodukowanych w Stanach Zjednoczonych. Zablokowały jej również dostęp do jakichkolwiek towarów wyprodukowanych przy użyciu technologii stworzonej w Stanach Zjednoczonych. W branży półprzewodnikowej, w której pełno jest wąskich gardeł, oznaczało to prawie każdy chip. TSMC nie może produkować zaawansowanych układów scalonych dla Huawei bez użycia amerykańskich urządzeń. Huawei nie może projektować chipów bez oprogramowania stworzonego w Stanach Zjednoczonych. Nawet SMIC, najbardziej zaawansowana odlewnia w Chinach, jest w dużym stopniu uzależniona od amerykańskich maszyn. Huawei został odcięty od całej światowej infrastruktury do produkcji układów scalonych z wyjątkiem tych, na których zakup Departament Handlu USA raczył udzielić mu specjalnej licencji.

Przemysł półprzewodnikowy na całym świecie szybko zaczął wdrażać amerykańskie przepisy. Mimo że Stany Zjednoczone próbowały wyrugować drugiego co do wielkości klienta TSMC, prezes firmy, Mark Liu, obiecał przestrzegać nie tylko litery prawa, ale także jego ducha. „To coś, co dotyczy nie tylko interpretacji przepisów, ale również ma związek z intencjami rządu Stanów Zjednoczonych" – powiedział dziennikarzom. Po tych wydarzeniach Huawei został zmuszony do zbycia części swoich biznesów związanych ze smartfonami i serwerami, ponieważ nie mógł zdobyć chipów niezbędnych do ich produkcji. Uruchomienie przez Chiny własnej sieci telekomunikacyjnej 5G, które kiedyś było głównym priorytetem rządu, zostało opóźnione z powodu braku niezbędnych układów scalonych. Po wprowadzeniu przez Stany Zjednoczone ograniczeń inne kraje, w szczególności Wielka Brytania, zdecydowały się wydać zakaz instalowania sprzętu Huawei, argumentując, że w przypadku braku dostępu do amerykańskich chipów firma miałaby trudności z serwisowaniem swoich produktów.

Po ataku na Huawei na amerykańskiej czarnej liście pojawiło się wiele innych chińskich firm technologicznych. Holandia po rozmowach z USA zdecydowała się nie wyrażać zgody na sprzedaż maszyn ASML do litografii EUV firmom z Państwa Środka. Sugon, firma produkująca superkomputery, którą AMD określił w 2017 r. jako „partnera strategicznego", w 2019 r. została umieszczona przez Stany Zjednoczone na czarnej liście. Podobna sytuacja miała miejsce z Phytium. Jak pisał „Washington Post", to firma, która według amerykańskich urzędników zaprojektowała chipy do superkomputerów używanych do testowania pocisków hipersonicznych. Układy scalone Phytium zostały zaprojektowane przy użyciu amerykańskiego oprogramowania i wyprodukowane na Tajwanie w TSMC. Dostęp do ekosystemu półprzewodnikowego Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników umożliwił rozwój Phytium. Jednak uzależnienie firmy od zagranicznego oprogramowania i procesów wytwarzania sprawiło, że stała się ona bardzo podatna na amerykańskie restrykcje.

Ostatecznie jednak amerykański atak na chińskie firmy technologiczne miał ograniczony zasięg. Wiele największych chińskich firm, takich jak Tencent i Alibaba, nadal nie ma specjalnych problemów z kupowaniem amerykańskich układów scalonych ani ze zlecaniem TSMC ich produkcji. SMIC, najbardziej zaawansowany technologicznie chiński producent układów logicznych, napotyka coraz to nowe ograniczenia dotyczące zakupów nowoczesnych narzędzi do wytwarzania chipów, ale nieprzerwanie prowadzi swoją działalność. Nawet Huawei może kupować starsze układy scalone, takie jak te, które są używane do łączenia się z sieciami 4G.

Ostatecznie amerykański atak na chińskie firmy technologiczne miał ograniczony zasięg.

Niemniej zaskakujące jest to, że Chiny nie zrobiły nic, żeby wziąć odwet za utrudnianie działalności swojej najbardziej zglobalizowanej firmy technologicznej. Wielokrotnie groziły ukaraniem amerykańskich firm, ale nigdy nie pociągnęły za spust. Pekin stwierdził, że sporządza „listę niewiarygodnych" zagranicznych firm, które zagrażają chińskiemu bezpieczeństwu, ale wydaje się, że jest ona pusta. Najwyraźniej uznał, że lepiej się pogodzić z faktem, że Huawei stanie się drugorzędnym graczem w branży technologicznej, niż eskalować konflikt ze Stanami Zjednoczonymi. Okazuje się, że Stany Zjednoczone mają rosnącą przewagę, jeśli chodzi o zrywanie łańcuchów dostaw. „Współzależność wykorzystywana jako broń – zadumał się po ataku na Huawei jeden z byłych wyższych urzędników. – To piękna rzecz".

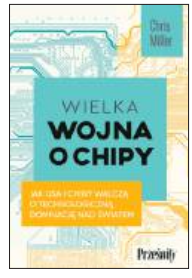

Fragment książki Chrisa Millera *Wielka wojna o chipy. Jak USA i Chiny walczą o technologiczną dominację nad światem*, Poltext/Prześwity, przeł. Aleksandra Samson-Banasik, Michał Głatki, Warszawa 2023

eprasa.pl fef7fb23da

Za nami tylko Wyspy Owcze

Polscy piłkarze pokazali, że można zarabiać pokaźne kwoty i mieć absolutnie luźne podejście do wykonywanego zawodu

Maciej Polkowski

Jeżeli do minionego wtorku byli tacy, którzy nie wierzyli, że niemożliwe jest możliwe, to po spotkaniu piłkarskich reprezentacji Mołdawii i Polski przekonali się, że owszem, jest możliwe. Jedenastka biało-czerwonych dokonała na stadionie w Kiszyniowie nie lada wyczynu, by dominując i prowadząc po pierwszej połowie 2:0, po przerwie dać się kompletnie sponiewierać i zakończyć mecz przegraną 2:3! Początek eliminacji mistrzostw Europy beznadziejny. Najpierw porażka z Czechami 1:3 w Pradze, potem skromne 1:0 z Albanią w Warszawie i teraz totalny blamaż w starciu ze 171. zespołem rankingu FIFA. W tabeli grupy E wyprzedzamy jedynie Wyspy Owcze. Ręce opadają. Bo jak po spotkaniu Fernando Santos przyznał: „Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem i nie mam dla tego wytłumaczenia".

Mecz sam się nie wygra

O tym, że Mołdawianie u siebie potrafią zaskoczyć rywali, przekonali się Czesi, zaledwie remisując bezbramkowo z podopiecznymi Sergheia Cleşcenco. Wydawało się więc, że nie ma mowy o jakimkolwiek deprecjonowaniu rywali, co podkreślali na przedmeczowej konferencji prasowej selekcjoner Santos oraz bramkarz Szczęsny. A jednak stało się inaczej.

Kolejny raz przychodzi się zastanawiać, jak złożona z piłkarzy najlepszych lig świata reprezentacja Polski przegrywa z kadrą wartą tyle, co jeden z naszych reprezentantów średniej klasy. Była to bowiem istna deklasacja.

Ulubieniec tifosich z Neapolu Piotr Zieliński popełnił poważny błąd przy pierwszym golu dla gospodarzy. – To jest ciężkie, biorę to na siebie. Zaczęło się ode mnie – fatalna strata. Podpaliliśmy Mołdawię. Nabrali wiatru w żagle i przegraliśmy. To, co było w drugiej połowie, było fatalne. Jestem zmiażdżony – mówił po meczu.

Gospodarzom udało się wyrównać po akcji Ionа Nicoălescu, który po podbiegnięciu pod pole karne Polaków okiwał Jana Bednarka i uderzeniem w kierunku dalszego słupka doprowadził do remisu. Nasz obrońca zdobył się na szczere wyznanie: – Myśleliśmy, że mecz sam się wygra i pojedziemy na wakacje. Niestety, tak się nie stało. Zasłużyliśmy na wszystkie słowa krytyki, które na nas spadają, to jest nasza wina. Każdy z nas musi być szczery przed samym sobą. Mam nadzieję, że nikt nie będzie zaklinał rzeczywistości. To, co się stało, nie może się powtórzyć, to jest nie do zaakceptowania.

Szczerość polskiego obrońcy grającego w Southampton jest porażająca. Jak się okazuje, można zarabiać pokaźne kwoty i mieć absolutnie luźne podejście do wykonywanego zawodu. Czyżby to – jak mawia klasyk – syndrom tłustych kotów? O godnym traktowaniu barw narodowych już nie wspomnę. Jak to powinno wyglądać, nie trzeba daleko szukać.

Kiedy Jan Bednarek i jego kompani z kadry będą wypoczywać na wakacjach, niech od czasu do czasu odtworzą sobie drugą połowę meczu w Kiszyniowie. I niech przypatrzą się, na czym polegała całkowicie zasłużona wygrana Mołdawian. Byli zdeterminowani, nie bronili się rozpaczliwie, tylko szukali szans na strzelenie gola, byli ruchliwi i wykorzystywali indolencję naszych zawodników, jak choćby Piotra Zielińskiego czy Tomasza Kędziory, którzy popełnili karygodne błędy, skutkujące stratą bramek.

Kuba, dziękujemy!

W 16. dniu czerwca, po 16 minutach towarzyskiego spotkania piłkarskich reprezentacji Polski i Niemiec, gracz w biało-czerwonym stroju z numerem 16 na koszulce na środku boiska ukłonił się na cztery strony świata i owacyjnie uhonorowany zszedł z murawy. Posiadacz Orderu Uśmiechu i Medalu Św. Brata Alberta, tytułu Honorowego Obywatela Opola oraz Człowieka Pojednania i Pokoju 2017; kawaler Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski zakończył reprezentacyjną karierę na 109 występach i 21 zdobytych bramkach. Wystarczy powiedzieć Kuba, by każdy kibic wiedział, że chodzi o Jakuba Błaszczykowskiego. Spełniał się on bowiem i spełnia nie tylko – jak ktoś określił – jako „sportowiec pełnowymiarowy", ale i pełnowymiarowy człowiek.

Zanim Błaszczykowski opuścił murawę, przekazał Robertowi Lewandowskiemu kapitańską opaskę. Cała Polska widziała spektakularny braterski uścisk dwóch wybitnych piłkarzy, których nie łączyła nawet tzw. szorstka

GRUPA E

Kraj	Mecze	Punkty	Bramki
1. Czechy	3	7	6-1
2. Albania	3	6	5-2
3. Mołdawia	3	5	4-5
4. Polska	3	3	4-6
5. Wyspy Owcze	3	1	2-7

Polska we wrześniu zagra z Wyspami Owczymi u siebie i z Albanią na wyjeździe; następnie w listopadzie z Wyspami Owczymi na wyjeździe oraz z Mołdawią i Czechami u siebie.

eprasa.pl fef7fb23da

Jan Bednarek: Myśleliśmy, że mecz sam się wygra i pojedziemy na wakacje.

przyjaźń. Z całą pewnością przyczynił się do tego fakt, że kiedy w 2014 r. pozbawiono Błaszczykowskiego funkcji kapitana, uczyniono to poniekąd cichaczem. Wówczas całą sprawę „wziął na klatę" selekcjoner Adam Nawałka, ale – jak się niedawno okazało – inicjatorem zmiany był Zbigniew Boniek, wybitny specjalista działania zza węgła. Doszło do tego w momencie, kiedy dobiegał końca okres wspólnych występów (2010-2014) tercetu: Łukasz Piszczek – Jakub Błaszczykowski – Robert Lewandowski w Borussii Dortmund. Zgranych na boisku, ale poza nim niekoniecznie. Świadczy o tym chociażby niezaproszenie obu kolegów na ślub Lewandowskich czy pominięcie ich w niedawno zaprezentowanym filmie „Lewandowski nieznany".

Po meczu w oficjalnych mediach społecznościowych Lewego pojawiły się dwa słowa: „Dzięki, Kuba!" – jak w żołnierskim meldunku, krótko i na temat.

Szczęsny – Niemcy1:0

Po tym spotkaniu kapitan naszej narodowej powiedział (rozmowa w tvpsport.pl): „Jeśli mówimy o samym wyniku – cieszymy się. Fajnie wygrać z Niemcami. Nieważne, że był to mecz towarzyski – takie zwycięstwo buduje i cieszy. Z drugiej strony – jest jeszcze wiele rzeczy do poprawy. Dużo rzeczy mogłoby lepiej funkcjonować, ale takie zwycięstwo pomaga budować morale, pewność siebie".

Lewandowski zagrał tylko w pierwszej połowie, w której wszystko wyglądało jako tako. W 31. minucie objęliśmy zwycięskie prowadzenie. Po rzucie rożnym Jakub Kiwior dobrze złożył się do uderzenia głową, piłka odbiła się po koźle i wpadła do bramki bezradnego Marca-André ter Stegena. W ten oto sposób – strzelając swojego pierwszego gola dla biało-czerwonych – obrońca Arsenalu stał się bohaterem numer 2 meczu.

Bezapelacyjnie prymat należał się Wojciechowi Szczęsnemu. To był kapitalny występ naszego goalkipera. Po jego kolejnych interwencjach Niemcy tylko łapali się za głowy. Szczęsny obronił aż 10 celnych strzałów rywali i zachował czyste konto.

Warto posłuchać Piechniczka

Kilkoma ciekawymi refleksjami po meczu z Mołdawią podzielił się były selekcjoner Antoni Piechniczek (Polsat Sport): – Jestem daleki od wylewania wiadra pomyj. Wszystko wymaga analizy. Jakbyśmy wygrali 3:0, to też byśmy taką analizę zrobili. Mówilibyśmy, że kadra jest na dobrej drodze, bo wcześniej było 1:0 z Niemcami. Jest jednak inaczej. (…) Od dawna wiadomo, że piłka uczy pokory, cierpliwości. Trzeba się teraz uderzyć w pierś, przyznać do błędu. Niektórzy domagają się, żeby piłkarze przeprosili kibiców, jakoś ich udobruchali. Jestem za. Trzeba posypać głowę popiołem, założyć kaptur pokutny na głowę i powiedzieć sobie, gdzie tkwi błąd. (…) Ten mecz przegraliśmy w przerwie. Po rozpoczęciu drugiej połowy szybko straciliśmy gola i to był sygnał, że wszystko jest na złej drodze. Jak można tak rozpocząć połowę? To była powtórka z Czechami. Tyle że Czesi załatwili nas na początku spotkania, a Mołdawia na początku drugiej połowy. Można powiedzieć, że po wygranej z Niemcami i wygranej pierwszej połowie z Mołdawią nastąpiło rozluźnienie. Każdy już zaczął myśleć o urlopie. I tu powinien wkroczyć do akcji trener. Powinien krzyknąć, szarpnąć, zapytać: „Panowie, a wiecie, jaki mamy wynik?". Tego jednak zabrakło. Dostaliśmy gola i zapaliło się pulsujące czerwone światło. Był taki moment, że na chwilę narzuciliśmy swój styl, przeprowadziliśmy jedną akcję, ale to za mało. Puenta jest taka, że zdecydowało nastawienie psychiczne. Trochę mnie mimo wszystko dziwi, że ci doświadczeni zawodnicy nie złapali jeden drugiego za uzdę i nie postawili się do pionu. I jeszcze chciałbym na jedną rzecz zwrócić uwagę. Czasem jak się robi dużo zmian, to nie jest dobrze. Bo czasem te zmiany dają efekt, bo wchodzący strzela bramki, ale czasem to nie daje nic. A ja zawsze powtarzam, że lepsze jest wrogiem dobrego. Jak idzie, to nie rób zmiany dla zmiany, nie ściągaj wielkich. Jednak najważniejszym problemem pozostaje psychika. Santos ma olbrzymie doświadczenie, więc powinien sobie z tym poradzić. ■

Fernando Santos: Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem i nie mam dla tego wytłumaczenia.

FOT. BEATA ZAWADZKA/EAST NEWS

eprasa.pl fef7fb23da

EMBLEMAT

Bataliony są poligamiczne. Samice po spotkaniu z samcami na tokowisku samotnie urządzają gniazdo i bez pomocy opiekują się pisklętami

Grzegorz Kłosowski,
Tomasz Kłosowski

Leżę na brzuchu u stóp niskiego wzniesienia wyłaniającego się z płaskiej jak stół nadrzecznej łąki. Głowa ciągle zadarta, aż kark boli, ale tylko w takiej pozycji da się zajrzeć w wizjer aparatu. Kryje mnie niski namiot, z którego można fotografować na leżąco. Obiektyw o ogniskowej 500 mm dołączony do aparatu na film zwojowy firmy Kodak jest wycelowany w jedno miejsce na wzgórku. Tkwi tam od paru godzin ciemno upierzony samiec bataliona – prawdopodobnie najsłynniejszego z rzędu ptaków siewkowych.

Sławnego, bo wyjątkowego. W okresie wiosennych godów u samców tego osobliwego gatunku, zwanego kiedyś dziwoptakiem, pojawiają się obszerne kołnierze ozdobnych piór, uzupełnionych jeszcze finezyjnymi grzywami. Kiedy te ozdoby wyrosną w pełni, samce zbierają się na tokowiskach i niekiedy zawzięcie się czubią. Stąd nazwy: bojownik albo batalion. Druga nazwa jest o tyle myląca, że odnosi się do liczby żołnierzy w jednostce. Tymczasem bataliony występują nie w batalionach, ale w stadach liczących nawet tysiące osobników.

Ten, którego mam właśnie na oku i fotograficznej muszce, jest sam. To prowodyr tokowiska. Przypomina dyrektora firmy, który nie chce opuszczać swojego fotela, czy kapitana statku niechętnie schodzącego z mostka. Gdy inne ptaki po rannych tokach rozlatują się ochoczo po nadrzecznych błotach, by odbudować nadwątlone siły, on nadal pilnuje swojego miejsca na pagórku, będącego podstawą i świadectwem jego wysokiej pozycji. Podobnie zresztą jak czerń piór kołnierza, która wśród batalionów jest wyrazem dominacji (...).

Mój skrzydlaty model to stoi, to się kładzie, narażając moją cierpliwość na okrutną próbę. Gdy przychodzę, aby się ukryć, a potem opuszczam czatownię, spłoszony odlatuje, ale wkrótce wraca. W to samo miejsce, które jest teraz dla niego najważniejsze na świecie. (...)

Około południa, w czasie ptasiej sjesty, batalion stanął na jednej nodze, schował szydełkowaty dziób w sute pióra kołnierza i przymknął oczy podczas parominutowej drzemki. Ale oto nagle ocknął się, rozejrzał wokół nerwowo jak ktoś, kto nie obudził się na czas, i wreszcie zaczął podskakiwać, mocno bijąc skrzydłami. Teraz czarna postać zaczyna wprost kłuć w oczy bielą, skrzydła bowiem od spodu są całkiem białe. (...)

Dzięki kilkuletniemu doświadczeniu wiem już, co to znaczy. Mój tokowik – tak bywa nazywany ptak dominujący na tokowisku: batalion, cietrzew czy inny uczestniczący w zbiorowym tokowaniu – ujrzał nadciągających od strony łąki kamratów. Rzeczywiście, przez pagórek przemyka kilka cieni. Prowodyr podnosi dziób

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fef7fb23da

na powitanie, a zaraz wyciąga się cały w górę. Jakby chciał do nich wystartować, ale jednocześnie jakiś niewidzialny klej nie pozwalał mu na oderwanie się od ziemi. Towarzysze jednak nie wylądowali. Może coś ich spłoszyło? Raczej nie mój obiektyw, bo widzą go tu już od wielu dni.

Znów spokój, bezruch, drzemka. Ale opadające coraz niżej słońce zapowiada, że jest jeszcze szansa na jakąś scenę, bo lada moment zacznie się ogarniające wszystkie ptaki przedwieczorne ożywienie. Faktycznie – po usypiającej ciszy panującej na łące gdzieś koło drugiej-trzeciej po południu, kiedy można ulec wrażeniu, że żadna skrzydlata istota nie egzystuje ani nie gnieździ się w okolicy, zaczynają z wolna pojękiwać czajki, swoje natrętne, przypominające dźwięk ostrzenia kosy okrzyki rozrzucają w powietrzu rycyki, pobekują bekasy. Wysoko przemykające czaple pokrzykują ochryple i dostojnie, niespiesznie wachlując skrzydłami.

I oto koło czarnej ptasiej postaci na pagórku pojawia się druga. Podobna, choć nie taka sama. Też czarna, ale nosząca na kołnierzu kilka białych podłużnych kropel. Ląduje metr od towarzysza. Nie zwracają na siebie zbytnio uwagi, nie biją się. To członkowie stałej załogi tokowiska, dobrze znający się nawzajem, a także znający swoje miejsca w hierarchii, co u tych ptaków przejawia się także zajmowaniem określonego miejsca na arenie toków.

Po chwili w moim wizjerze robi się jasno i obok świeżo przybyłego ląduje trzeci uczestnik tokowej gry, z wyglądu będący zaprzeczeniem obu. Jego kołnierz lśni prawie nieskazitelną bielą, zaczesana w tył grzywa też jest częściowo biała i, co znamienne – a mnie dobrze znane dzięki dłuższym obserwacjom – ląduje tuż obok przybyłego przed nim, jakby wokół nie ciągnęły się łąki, a i na pagórku nie było dość miejsca. On jednak zaraz, jakby na usprawiedliwienie swojej bezczelności, pada poprzednikowi do nóg, dziób kieruje ku ziemi, a cała jego postać wyraża pokorę i skruchę. Ciemny towarzysz staje nad nim jak kat nad dobrą duszą, akcentując w ten sposób swoją dominację. Trudno jednak wciąż tkwić w pozie pełnej uniżenia, biały wstaje więc i oba ptaki stoją przytulone do siebie niczym kochankowie. (…)

Nagle cała trójka wstaje i zaczyna podskakiwać, machać skrzydłami i błyskać ich białym podbiciem – takim samym u osobników ciemnopiórych, jak i u białego. Grupa zmienia się w migocące widowisko. Na krótko obok nich ląduje brunatna, pokryta ciemnymi kropelkami samica, dużo mniejsza od każdego z nich, bez ozdobnych piór. Staje, jakby onieśmielona, ale jej onieśmielenie to nic wobec zachowania samców. Te nagle nachylają się do ziemi i nieruchomieją, jakby ktoś przekręceniem niewidzialnego kurka odciął dopływ życiodajnej energii. Dwa stłoczone we wspólnym rewirze osobniki, leżąc, stykają się kryzami, a dziób każdego z nich przeszywa kołnierz kamrata. Samotny czarny dominant kłania się nisko i podpierając się dziobem jak laską, nieruchomieje.

Ten pokaz uniżoności i pokory nie potrwa zbyt długo. Samce zaczynają się wiercić, zmieniać pozycje, ale pilnują przy tym, by nie opuścić zajmowanych rewirów. Starają się ułożyć tak, by na przybyłą przedstawicielkę płci przeciwnej jak najmocniej się… wypiąć. Czarnopióry prowodyr kręci się przy tym jak nadziany na szpilkę. Wygląda niemal jak igła magnetyczna kompasu reagująca na każdy ruch samicy.

Przypominam sobie, że według naukowców z Holandii – jako że u nas nikt nie prowadził badań nad zachowaniem ptaków tego osobliwego gatunku – samica wskazuje partnera do kopulacji, zachodząc go od tyłu i dziobiąc w plecy. Może stąd pochodzi to namiętne wypinanie się na damę i zadzieranie ogona jak najwyżej. Tylko raz w ciągu wielu lat podpatrywania ptaków nad Biebrzą miałem okazję oglądać taką scenę – ale bez finału zakończonego kopulacją. Może teraz? (…)

Podczas jednej z kolejnych wizyt w czatowni poczułem jakiś obcy, dotąd nieodczuwany zapach – jakby miętówek, ale chyba nie z naszych sklepów, bardziej rześki i słodkawy. Przybywszy tam nazajutrz, ujrzałem wystający z otworu namiotu obiektyw wycelowany tam, gdzie i ja kierowałem mój. Podszedłszy, zyskałem pewność, że obcy samiec zajął moje terytorium. Miły siwy pan z Niemiec. Posługując się łamaną angielszczyzną, dałem mu do zrozumienia, że to moje miejsce. Nie protestował. Cóż, musiałem niczym batalion bronić swego rewiru. Na to, abyśmy mogli jak czarny samiec bataliona z białym zająć wspólne terytorium, było tutaj za ciasno. Zresztą nie uzyskalibyśmy w ten sposób tego, co uzyskują dwa samce, zbijając się w jednym miejscu w pierzaste czarno-białe indywiduum. (…)

Bataliony występują nie w batalionach, ale w stadach liczących nawet tysiące osobników.

Wyrazem narastania godowego zapału są zaczepne gesty i powtarzająca się trzepotanina ożywionych samców. Ptakom najwygodniej jest odprawiać te harce na suchych wzniesieniach z krótką trawą albo, jeszcze chętniej, na groblach, nawet wybrukowanych kamieniami i zasypanych ubitym przez ciągniki żwirem.

W drugiej połowie kwietnia taka grobla wygląda jak zasypana nowymi, na dodatek ruchliwymi kamieniami. Gdy nią nadjeżdżamy, kamienie znikają jak zdmuchnięte wiatrem, a droga zaczyna „dymić” tłumami wzlatujących ptaków, które zwartymi stadami, niejako skrzydło w skrzydło, w szaleńczym tempie wywijają zakręty i młynki, by w końcu zacząć obsiadać drogę za oddalającym się pojazdem. To widowisko od lat przywabia ciekawskich i fotografów. Obok parady ptasich samców z kołnierzami w różnych barwach, odcieniach i deseniach mamy paradę terenowych samochodów, potężnych obiektywów, eleganckich strojów maskujących, markowych namiotów do czatowania na ptaki – to ozdobne pióra samców naszego gatunku.

eprasa.pl fef7fb23da

Zebrani na tokowisku mężczyźni pragną zrobić dobre zdjęcia dziwoptakom, a wtedy i te obrazy, pokazane w sieci, będą cennymi dodatkami do ich godowych insygniów. W tym okresie ludzkie samce mają już na sobie – i ze sobą – pełny zestaw tych gadżetów, tymczasem obserwowanym przez nich batalionom jeszcze do tego stanu daleko. Owszem, mają już ozdobne kryzy i plerezy z barwnych piór, ale te dopiero rosną, są króciutkie. Nie ustaliły też jeszcze konkretnych tokowisk, gdzie każdy ptak obejmuje swoje nienaruszalne terytorium.

Na razie panuje chaos – jest trochę bijatyk i wzajemnych zaczepek buńczucznych osobników, trochę kłaniania się damom lub warowania przed nimi, a wszystko to w przerwach od masowego żerowania na płyciznach, by odbudować siły po wędrówce i zgromadzić je na kolejny etap podróży. Ptaki z tych grobli są bowiem w trakcie drogi do tundry – ich właściwej ojczyzny. Nad Biebrzą bataliony już właściwie się nie gnieżdżą, ale my z bratem pamiętamy, gdy były tu stałymi skrzydlatymi obywatelami. Wtedy byle górka przegniłego, ubitego przez śniegi siana pozostawiona po sprzątniętym stogu stawała się areną tokową kilku samców w pełnym godowym upierzeniu. Samce z grobli potrafią z dnia na dzień zniknąć – ku rozczarowaniu samców z aparatami, którzy pozajmowali już sobie placyki z rozbitymi namiotami, niemal jak bataliony na prawdziwym tokowisku. A nuż nadleci kolejna fala wędrowców? (…)

Na arenie tokowej najważniejsze samce – przez badaczy trafnie nazwane rezydentami – zajmują swoje miejsca niczym piony i figury na szachownicy. Przeważnie panuje wśród nich spokój. Do jednego z takich tokowisk, które tworzyło się przez wiele dni, aż ostatecznie rozkwaterowało się na grobli, mogliśmy podjechać samochodem. Z dnia na dzień byliśmy coraz bliżej, aż wreszcie nasz wehikuł stanął obok grupki ptaków, które na trawiastym poboczu grobli pozajmowały sobie koleby wygniecione przez bydło czy zagłębienia pomiędzy wrośniętymi w drogę kamieniami. W tym czasie dla samca, gotowego do walki o przekazanie swoich genów, nic nie jest tak ważne jak okupowanie maleńkiego terytorium. (…)

Dlaczego nazywamy bataliony odszczepieńcami? Bo choć wszystkie ptaki z liczącej wiele gatunków, zróżnicowanej grupy siewkowych najuczciwiej łączą się w pary i wspólnymi siłami obojga rodziców wychowują młode, to bataliony są poligamiczne. Ich samice po spotkaniu z samcami na tokowisku samotnie urządzają gniazdo, które, jak u większości siewkowych, jest skromnym dołkiem zawierającym cztery zielonkawe nakrapiane jajka, i samotnie je wysiadują, a następnie bez żadnej pomocy sprawują opiekę nad pisklętami.

Bataliony obraziły się na Europę, a dziś już nie bataliony, ale całe ich dywizje lecą z zimowisk na Syberię, ominąwszy wschód kontynentu.

Poligamia czy wręcz promiskuityzm – czyli obcowanie obu płci z różnymi partnerami – to sposób rozmnażania raczej rzadki u ptaków. Dodajmy, że bataliony są bardzo podobne do innych siewkusów pod każdym względem innym niż rozmnażanie. W obrębie tej grupy ptaków istnieje wiele gatunków bliźniaczo do siebie podobnych. (…) Bataliony – zarówno samice, jak i samce po okresie godów tracące wykwintne stroje – są ptakami tego samego co brodźce różnych gatunków pokroju i można je ze sobą pomylić. Bliższe obserwacje pokazały zresztą, że i one kiedyś były monogamistami, a samce – nawet w czasie godów – niewiele się różniły od samic. Dopiero później rozwój tego gatunku zwrócił się w stronę poligamii z właściwym jej przepychem upierzenia samców i brakiem ich zainteresowania potomstwem.

Batalion jest trochę jak woda o trzech stanach skupienia. Samce tego gatunku tworzą trzy różne frakcje i tylko samice stanowią jednolitą grupę. W okresie wędrówek ptaków z zimowisk na tereny lęgowe możemy zauważyć, że samce mają różne, jeszcze nie do końca wtedy wyrośnięte ozdobne szaty z piór. Ich rozmaitość jest niewyczerpana i podobno największa w całym świecie ptaków. Ozdobne kołnierze odznaczają się różnymi odcieniami czerni, bieli i brązu, niektóre opalizują barwami tęczy, a najbardziej rozmaite są wzory zdobiące upierzenie. Są to poziome kreski, kropelki, przecinki, białe lusterka i płomyki na czarnym tle. Póki na bataliony polowano – a pamiętamy czasy, gdy to czyniono, nawet korzystając z naszych czatowni – myśliwi tworzyli całe kolekcje wypchanych ptaków i nie znalazło się wśród nich dwóch identycznych. Plerezy i „rogi" na głowach samców były równie rozmaite jak kryzy. (…)

Z daleka jednak widzimy na tokowisku przede wszystkim postaci czarne i białe – jakby pionki i figury na szachownicy. Te dwa główne odcienie reprezentują właśnie dwie różne frakcje samców. Trzecia jest mniej zauważalna, bo i na arenach tokowych przebywa rzadziej, a przy tym przenosi się z jednego tokowiska na drugie. Frakcja samców z przewagą czerni w godowym upierzeniu to batalionowi „prawdziwi mężczyźni": energiczni, bitni, mający własne, niewielkie, ale tym zacieklej bronione terytoria – dlatego nazywamy ich rezydentami. Oni mają największe powodzenie u samic i największe szanse na zbliżenie z nimi. Osobniki białopióre – to jakby zniewieściałe „mięczaki" nieposiadające terytoriów, ale wpraszające się na ziemie rezydentów i, co w tym wszystkim najciekawsze, chętnie przyjmowane do pary, choć czarnopióre ptaki okazują tym przybyszom wyższość i pogardę.

Nie wszyscy rezydenci mają takich białych kamratów. Wśród wierchuszki o ciemnych piórach zwykle znajduje się jeden samotny, ale obejmujący placyk w centrum tokowiska rezydent, który jest ponad te dziwne związki i nie zadaje się

eprasa.pl fef7fb23da

z noszącą mleczne upierzenia hołotą. Tkwi on tu najwytrwalej ze wszystkich, jakby był prezesem tokowiska. Pozycja samca rezydenta zależy też od położenia jego posiadłości – im bliżej centrum tokowiska, tym wyższe notowania.

Nadlatujące co jakiś czas samice mierzą zawsze w środek areny, więc dobrze zajmować parcelę w tutejszym „śródmieściu". Osobniki białe są mniejsze od ciemnych, a poza okresem godów chętnie trzymają się razem z samicami w wędrujących stadach. Kto będzie tym ciemniejszym i większym, a kto jaśniejszym i mniejszym?

Natura zapisała te informacje w genach. Indywidualne określenie pozycji samca, przede wszystkim urodzonego jako rezydent, zależy natomiast od jego zachowania. Stanowisko trzeba sobie wywalczyć, choć później można je też stracić. Białe samce mogą poprawić swoją pozycję tylko przez wproszenie się na terytorium rezydenta i, nie mając własnych ziem, to właśnie robią. Jaki jednak pożytek mają czarni rezydenci z takiej krępującej ruchy ciasnoty? Otóż okazuje się, że rezydenci z białymi towarzyszami mają większe powodzenie u dam niż ci pozbawieni takich kamratów. Odbywają najwięcej aktów kopulacji.

Obserwacje, prowadzone też na stadach trzymanych w wolierach, pokazały, że w obecności samicy ów ciemny rezydent zaczyna agresywnie poszturchiwać białego towarzysza, dziobać go, jakby chciał jej pokazać, jaki z niego chojrak i dominant. Być może więc dla batalionowych dam – podobnie jak dla niektórych ludzkich – prawdziwy mężczyzna to ten, który potrafi przyłożyć drugiemu po głowie.

No dobrze, teraz na usta ciśnie się pytanie: dlaczego ów biały ptak godzi się z takim losem i sam pcha się rezydentowi wprost pod dziób? Jaką on czerpie korzyść z tej zależności, skoro to ciemny osobnik ma szanse na miłosny kontakt z płcią przeciwna? Ano taki, że po pierwsze – może być blisko lądującej obok rezydenta samicy, a po drugie – wobec agresywności swojego „władcy", który chętnie czubi się z rezydentami z sąsiedztwa w razie naruszenia przez któregoś granic jego terytorium – jasno upierzony biedak może wykorzystać jego nieuwagę i pokryć samicę. Dla jasnych batalionów jest to właściwie jedyna szansa na kopulację i jeśli tylko mogą, zawsze z niej korzystają.

Po latach obserwowania batalionów i ich krewniaków z rzędu siewkowych nasuwa mi się jeszcze jedno spostrzeżenie tłumaczące te czarno-białe relacje, związane zresztą z bielą i jej znaczeniem w świecie zwierząt. Wszelkie białe plamy na ciele – jakieś lusterka na skrzydłach ptaków, białe „talerze" na kuprach saren i co tam jeszcze – służą do sygnalizowania obecności na ciemnym, zwykle zielonym tle środowiska. Pomagają odnaleźć się istotom stadnym, a innym umożliwiają zasygnalizowanie swej obecności ewentualnym partnerom w czasie godów. (…)

Przypatrując się przez wiele lat tokowiskom, zauważyliśmy, że co jakiś czas na ich peryferiach pojawiają się dziwne ptaki: ni to samce, ni samice. Przylatują zresztą tylko na widok nadciągających właśnie przedstawicielek płci pięknej. Niby też mają godowe kołnierze, ale jakieś płaskie, jakby naklejone, nie białe lub czarne, ale szare, często z deseniem podobnym do tego, jaki widujemy u perliczek. Nie obejmują terytoriów i na ogół szybko znikają. Początkowo myśleliśmy, że to jakieś ułomne osobniki, które przylatują tylko po to, by choć popatrzeć na harce i walki zdrowych i silnych ptaków. A może to staruszkowie? Badania ornitologiczne pokazały jednak, że to jakby żywe relikty – osobniki, które zachowały taką postać tego gatunku, jaką miał on w czasach, kiedy przypominał inne siewkowe. Samce i samice niewiele się od siebie wtedy różniły i wspólnie zajmowały się potomstwem, nim gatunek wkroczył na mało wydeptaną w ptasim świecie ścieżkę poligamii. Tych w pewnym sensie niepełnych ptaków, stanowiących echo batalionowej przeszłości, jest w całej współczesnej populacji niewiele ponad 1%.

(…) Batalion stanowi gatunek godny uwagi i badań. U nas to jednak nieco spóźniona refleksja. Nad Biebrzą i w przyległej dolinie Narwi, gdzie ptaki te miały swoją największą ostoję, prawdopodobnie nie gnieżdżą się już wcale. A pamiętam czas, gdy na Grobli Honczarowskiej przez wiele, wiele wiosen utrzymywało się duże tokowisko, a obok, na przerośniętych mchami turzycowiskach przypominających tundrę, liczne samice zakładały gniazda. (…)

Okazuje się, że bataliony obraziły się na Europę, a dziś już nie bataliony, ale całe ich pułki i dywizje lecą z zimowisk prosto na Syberię, ominąwszy szerokim łukiem wschód Europy. Bo też nie przyjmowała ich ona zbyt gościnnie – odbierała im bagienne siedliska, a do tego nieraz częstowała kulką. (…)

Tym bardziej się cieszę, że miałem okazję fotografować prawdziwych batalionowych rezydentów oraz ich białych zniewieściałych kamratów, i to w akcji. Uwieczniając wspomnianego na początku tego rozdziału ciemnopiórego samczyka i jego zawadiackie podskoki, nie wiedziałem, że właśnie tworzę emblemat Biebrzańskiego Parku Narodowego, który miał zostać wkrótce powołany. Na podstawie jednego z tych zdjęć grafik sporządził logo parku. Jestem z tego do dziś bardzo dumny.

Nad Biebrzą i w przyległej dolinie Narwi, gdzie bataliony miały największą ostoję, prawdopodobnie nie gnieżdżą się już wcale.

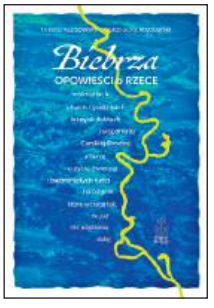

Grzegorz Kłosowski, Tomasz Kłosowski, *Biebrza. Opowieści o rzece, mokradłach, olsach i grądzikach, leśnych duktach i wspaniałej Carskiej Drodze, a także o życiu zwierząt i biebrzniętych ludzi na bagnie, które wciąga tak, że już nie pójdziesz dalej,* Paśny Buriat, Kielce 2023

eprasa.pl fef7fb23da

JOLKA

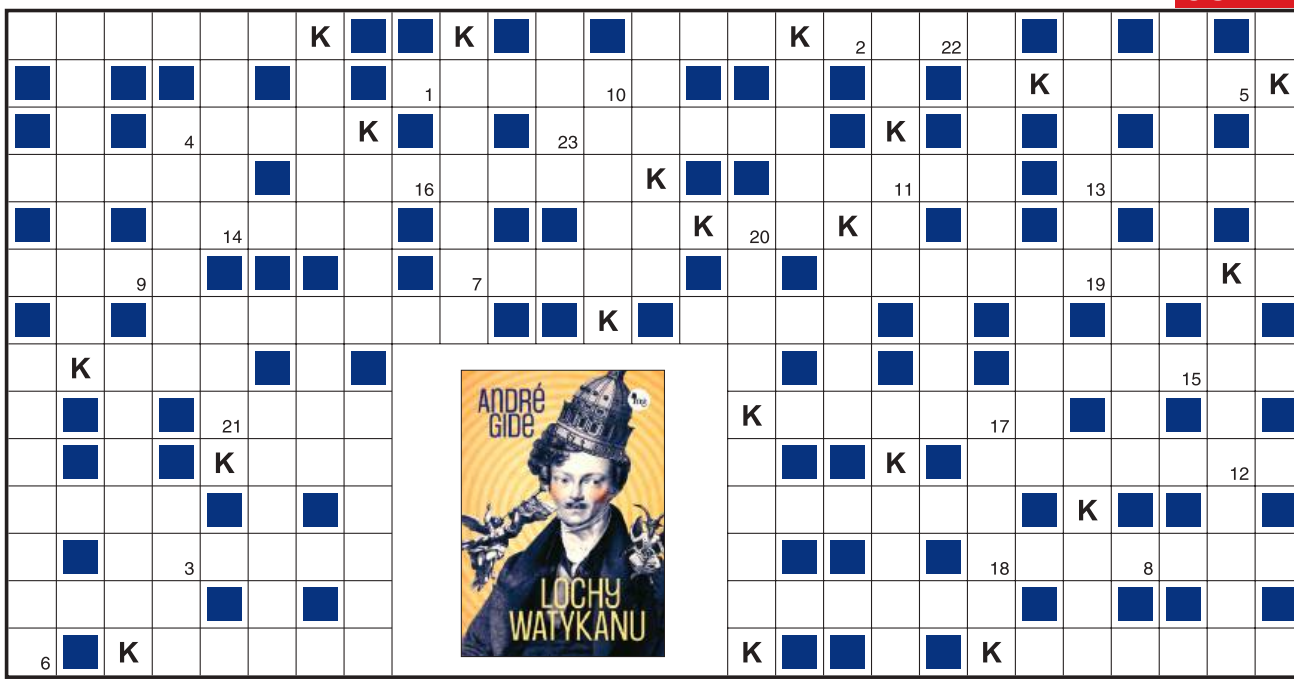

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- główny port Jemenu
- pani admirująca pana
- spirytus z żółtkami i cukrem
- bije się na niego lub go podnosi
- ostrzeżenie z RCB
- specjalista od danych i prognozowania
- Nowa ze stanami Maine, Vermont, Connecticut
- Małe z Barbadosem, Bonaire, Curaçao
- Mickiewiczowski zaręczył się z Teklą Hreczeszanką
- tkanina z prawej strony gładka i błyszcząca
- B w NBP
- kij przytwierdzony do rękojeści cepa
- wisiorek przy kluczach
- imię kryminalistyka Hołysta
- ...czekoladę, czarną kawę popijał Waligóra
- i artykuł wiary, i aksjomat
- tajne oskarżenie, denuncjacja
- towarzyszy panu młodemu
- przetwór owocowy
- i suwak, i ciastko
- imię autora „Za rzekę, w cień drzew”
- król Minos jej synem
- jednostka częstotliwości drgań
- obraz na drewnie, nieraz w koszulce
- duża i ozdobna litera
- imię tenisistki Novotnej
- o Amerykaninie
- rozpusty lub hazardu
- odmiana chalcedonu zwana krwawnikiem
- likwidacja zakonu, klasztoru
- sienny na skutek uczulenia na pyłki
- uderzenie za karę
- z zakręcanym kurkiem
- między gardłem a tchawicą
- niesprawiedliwość, wyrządzona szkoda
- zajmowanie się handlem
- w starożytnym Rzymie zarządzał skarbem państwa
- młoda ze skeczy Ewy Szumańskiej
- tam zamek nad Nogatem
- Proust, Dassault lub Duchamp
- „Jeszcze jeden... dzisiaj”
- pracy, energii lub PRZEGLĄDU
- róg, węgieł
- Sonia Najman, czyli aktorka ...Ney
- i adwokat, i defensor
- kawałek szkła, bursztynu, pocisku
- wśród jej dopływów Opawa i Olza
- wielka ilość lub wielkie rozmiary
- wyższy od Parnasu
- przełożony klasztoru, np. Bernard z Clairvaux
- uroczyste, długie przemówienie
- niemowlę karmione mlekiem matki
- pod, nad, do lub od
- obwiniająca wypowiedź, żalenie się
- i ze spadochronem, i na szachownicy
- żałosny głos psa
- występuje indywidualnie
- surowy, odmienny lub wojenny
- pieczęć
- „...i kot” Ignacego Krasickiego
- rękodzielnicy z Bielawy (ich strajk w 1844 r.)
- dawać go czemuś – dawać ujście

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1123”. Do rozlosowania książki „Lochy Watykanu” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 2 lipca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1120” z nr. 23: *Przy dwojgu i trzeci podje.*
Nagrody otrzymują: Beata Kordon z Tychów, Tadeusz Pilichowski z Łodzi, Barbara Wiśniewska z Ełku.

eprasa.pl fef7fb23da

Narada, czyli wiec

Czy warto ściągać z całego świata ambasadorów, żeby serwować im dyrdymały? Bo tak wyglądała narada ambasadorów RP zorganizowana przez MSZ. Odpowiedź na to pytanie jest prosta: oczywiście, że warto. Władza ma dobre samopoczucie, a szefowie placówek mają niepowtarzalną okazję spotkać się z kolegami i powymieniać plotki. Z tego punktu widzenia impreza jest na plus.

A jeśli chodzi o tzw. sprawy merytoryczne? Przez lata całe dominowała zasada, że narada miała swój temat główny, wokół którego toczyła się dyskusja. Wiadomo, dziś najważniejszym wyzwaniem dla Polski jest wojna rosyjsko-ukraińska. I cóż w tej sprawie usłyszeli ambasadorowie? Otóż Zbigniew Rau cytował słowa prezydenta Rwandy, że przepis na sukces opiera się na trzech punktach: by trzymać się razem, być odpowiedzialnym i by myśleć oraz działać odważnie. Dlaczego akurat Rwandy? Ano dlatego, że gościem honorowym narady był minister spraw zagranicznych tego państwa – Vincent Biruta. Nie ma to, jak znaleźć odpowiedniego gościa na daną imprezę.

À propos gości – w latach poprzednich z reguły była to światowa I liga. Żeby nie szukać daleko i PiS zbytnio nie gnębić… Gdy w roku 2018 naradę organizował Witold Waszczykowski, gośćmi byli Miroslav Lajčák, szef MSZ Słowacji, wybrany na przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego ONZ, oraz Daniel Fried, były ambasador USA w Polsce, odpowiadający w Departamencie Stanu za sprawy naszego regionu.

Natomiast à propos trzymania się razem – w tej sprawie wypowiadał się premier Mateusz Morawiecki. „Chcemy przeciwdziałać z całą mocą daleko posuniętej centralizacji decyzji w Unii Europejskiej", mówił. Tłumacząc, że Europie grozi dyktat jednego albo dwóch państw. Na razie jest to miękki dyktat, ale może być twardy. Więc premier wzywał do ogólnoeuropejskiego buntu.

„Wszystkich ambasadorów działających na niwie europejskiej, na forum europejskim, proszę tutaj o szczególną aktywność, uświadamianie tym, którzy dzisiaj są słabsi i nie chcą się narażać, nie chcą się wychylać, nie będę nazywał ich po imieniu, ale państwo doskonale wiecie, że są kraje, które myślą podobnie do nas, ale boją się głośno o tym powiedzieć", tłumaczył. Wiemy już zatem, jakie jest zadanie polskich dyplomatów w UE. Mają podburzać inne państwa do wetowania unijnych decyzji. Jak to się ma do haseł o potrzebie jedności Zachodu?

Prezydent Duda, trzeci z przemawiających, nie miał z kolei żadnych wątpliwości. „Rosjanie muszą poczuć gorzki smak porażki, aby przestali myśleć o świecie w taki właśnie sposób (tj. imperialistyczny)", powiedział prezydent, podkreślając, że mówi o Rosjanach, a nie tylko o Putinie, ponieważ „duch imperializmu jest głęboko zakorzeniony w całym rosyjskim społeczeństwie".

Aby doszło do złamania „ducha imperializmu", Ukraina musi zwyciężyć. „Wszelki zgniły kompromis czy wychodzenie Putina z twarzą z tej wojny zakończą się wyłącznie zamrożeniem konfliktu, swoistym niedosytem społeczeństwa rosyjskiego, który spowoduje prawdopodobnie wybuch jeszcze większej agresji i to w bliskiej przyszłości", mówił Andrzej Duda.

Tak oto prezydent zagrzewał polskich dyplomatów do wojny. Jakby nie wiedział, że jego wpływ na to, jak ona się potoczy, jaki będzie jej wynik, jest bliski zeru.

Miała być narada, wyszedł wiec. Do boju, do boju! Ta władza tak rozumie świat.

Attaché

„Dama z wachlarzem" Gustava Klimta, jeden z ostatnich obrazów namalowanych przez słynnego artystę, 27 czerwca trafi na licytację w domu aukcyjnym Sotheby's w Londynie. Jego wartość szacuje się na 80 mln dol.

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl fef7fb23da

PENETRACJE

KRAKÓW

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI

Już w roku 1990, przy kampanii prezydenckiej, okazało się, że Solidarność była listkiem figowym, który cały czas przykrywał ówczesny PiS. A katolicyzm, którym się szczyciliśmy, ten „turowiczowski", to też tylko listek figowy, skrywający agresywny katolicyzm ludowy. Wzięliśmy udział w tym kłamstwie. Nie zdając sobie sprawy, wzięliśmy udział w kłamstwie. Polska jest zupełnie inna. I Kaczyński to odkrył. To nie jest Polska Solidarności, tej, która zachwyciła świat, to nie jest Polska Turowicza i „Tygodnika". Jedno i drugie ma tu swoje drugie dno, i to ono jest właściwym obrazem Polski. To pisizm.

TYGODNIK POWSZECHNY

PAWEŁ PIENIĄŻEK,

REPORTER

Obecnie trudno natrafić na ochotnika – przed „wojenkomatami" od dawna już nie ma kolejek. Stosownie do tego komisje poborowe zmieniły taktykę. Grupy wojskowych i policjantów czatują teraz w często uczęszczanych przez mieszkańców miejscach: pod supermarketami, w metrze, na przystankach autobusowych i trolejbusowych, w parkach i w popularnych miejscach spotkań czy także na drogowych posterunkach, które zazwyczaj znajdują się na wjazdach i wyjazdach z większych miejscowości. Ich celem są mężczyźni w wieku poborowym, czyli w przedziale 18-60 lat, którzy od wprowadzenia stanu wojennego nie mogą opuszczać kraju, poza szczególnymi przypadkami.

Press

TOMASZ RACZEK,

DZIENNIKARZ I KRYTYK FILMOWY

Moim zdaniem o nadmiarze możemy mówić w każdej dziedzinie życia, także w sztuce, także w filmie. To jest nasz największy cywilizacyjny problem. Mamy nadprodukcję bodźców, których nasz mózg nie jest w stanie przyjąć, a nawet nie jest w stanie ich posegregować. Absurdalna jest ambicja, żeby zobaczyć wszystko. Zrezygnowałem z oglądania wszystkiego. Potem zrezygnowałem z obejrzenia jak największej liczby filmów. Dziś oglądam te filmy, które wydają mi się po pierwsze, najważniejsze, po drugie, najciekawsze, po trzecie, mnie samemu najbliższe, bo czasem film nie musi być wybitny, ale z jakiegoś powodu wydaje się interesujący.

zwierciadło

KAROLINA GRUSZKA,

AKTORKA

Mam takie poczucie, że jak rozłożę matę, to nagle pojawia się coś, co jest bardzo oswojone, moje, przyjazne. Wchodzę na nią i naglę łapię swój oddech, spokój. To miejsce, gdzie łączę się ze sobą, niezależnie od tego, co się wydarzyło – czy smutnego, stresującego, czy emocjonującego. Niezależnie od tego, czy jestem wzburzona, wewnętrznie niespokojna. Wchodzę na matę i wszystko zostaje poza nią. Już samo wejście działa. Pewnie dlatego, że robię to regularnie od 20 lat i moje ciało już się przyzwyczaiło, że tu się regeneruję, napełniam życiową energią.

FOT. POLSKA ORKA POLITYCZNA, SARKA FARKA (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl fef7fb23da

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

NITNIRODIIĘBZAD

UZJETAŁOWYBIGIM

ZAMNAASADNEDIAŁA

ROZWIĄZANIA: NIKT NIE RODZI SIĘ BEZ WAD, LUZ JEST JAŁOWYM BIEGIEM, ZŁAMANA ZASADA NIE DZIAŁA

Aby język giętki…

SERGIUSZ NAJAR O ODRZE

Rzeka graniczna nie jest „czyjaś", nie należy tylko do tych z jednego brzegu.

KRZYSZTOF VARGA O MARIUSZU BŁASZCZAKU

Mężczyzna o nienachalnym poczuciu humoru twórczo rozwinął sanacyjne hasło „Silni, zwarci, gotowi" i zaczęło wyglądać, że sam byłby w stanie rozgromić każdego najeźdźcę.

ZBIGNIEW BONIEK O JACKU OZDOBIE

„Przepraszam, co to za debil?" (Po jego wpisie na Twitterze: „Polska – 1, Tusk – 0" i doklejeniu flagi niemieckiej przy Tusku).

WOJCIECH SZCZĘSNY O GRZE REPREZENTACJI

W naszym DNA jest cierpienie na boisku.

MICHAŁ KEMPA O ZWOLNIENIU DAUKSZEWICZA

Może trzeba było być tak samo pryncypialnym, kiedy ktoś kilka lat jeździł bez prawa jazdy.

KRZYSZTOF SKIBA O FESTIWALU W OPOLU

Dziś pokazywanie się w Opolu to obciach. Dali się kupić i przylepić legitymację PiS do czoła, bo władza wykorzystała ich, żeby ocieplić swój wizerunek.

DOROTA KOLAK O MĘŻU IGORZE MICHALSKIM

Wstajemy o świcie, by jezioro mieć tylko dla siebie. Lubimy też pływać wieczorem, o zachodzie słońca. Czasem pływamy tylko my i… łabędzie.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLNE ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl fef7fb23da

AREA: SZTUKA NA PARKIECIE

Warhol, Basquiat i S-ka w obiektywie Volkera Hinza

To już 22. edycja legendarnego Fotofestiwalu – Międzynarodowego Festiwalu Fotografii w Łodzi. Jak co roku na terenie całego miasta organizowane są wydarzenia prezentujące sztukę współczesną oraz twórczość tuzów branży. Tym razem jedną z gwiazd programu został nowojorski klub AREA, co oznacza, że w ramach festiwalu prezentowane są archiwalne zdjęcia gwiazd z lat 80. pokroju Andy'ego Warhola czy Madonny. Klub AREA podniósł życie nocne do rangi sztuki, przedkładając współdziałanie i kreatywność ponad komercję. Lokal istniał krótko, bo tylko w latach 1983-1987, jednak przez ten czas dał się poznać jako miejsce, w którym granica pomiędzy życiem a sztuką przestawała istnieć, a muzyka, moda, performance i sztuka instalacji swobodnie łączyły się i przeplatały, dzięki czemu zaistniała tam przestrzeń pozwalająca na radykalne eksperymenty twórcze. Klub AREA zmienił nowojorski krajobraz kulturalny tamtych lat i wciąż pozostaje inspiracją. Fotografie wybitnego niemieckiego fotografa Volkera Hinza pozwalają współczesnym odbiorcom zagłębić się w uniwersum klubu AREA, w oderwaniu od czasu i miejsca, po to, aby przypomnieć sobie o sile i nadziei, jakie może nieść sztuka. Można je oglądać do końca czerwca w Art_Inkubator przy ul. Tymienieckiego 3 w Łodzi.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

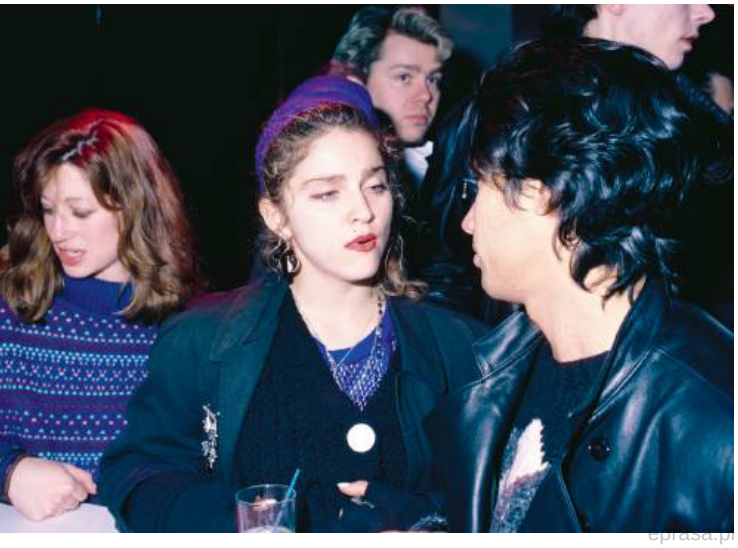

eprasa.pl fer7ibz3da

ZŁOTA TARKA

Iława, 11–13 sierpnia 2023

Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego

52. OLD JAZZ meeting

PROGRAM

Piątek – 11 VIII 2023 r.

13:00 **Jazz na statku ILAVIA**
14:30 Start: Przystań przy Galerii Jeziorak
Wstęp biletowany według cennika rejsów
Uwaga! Liczba miejsc ograniczona!

19:00 **Parada Jazzowa**
z udziałem zespołu The Warsaw Dixilanders
Start: Stare Miasto w Iławie

19:30 **Konkurs o Nagrodę Złotej Tarki**

21:00 **Przemysław Dyakowski – Take It Easy**
Piosenki Jerzego Dudusia Matuszkiewicza śpiewa Joanna Knitter

22:15 **BARRELHOUSE JAZZ BAND (Niemcy)**
Prowadzenie: **Paweł Sztompke**
miejsce: Amfiteatr Miejski im. Louisa Armstronga

cena biletu: normalny 70,00 PLN; ulgowy 50,00 PLN*
karnet dwudniowy: normalny 140,00 PLN; ulgowy 100,00 PLN*

00:00 **Bal Jazzowy – The Warsaw Dixilanders**
miejsce: Park Miejski, wstęp wolny

***Uprawnieni do biletu/karnetu ulgowego:**
- osoby z umiarkowanym i znacznym stopniem niepełnosprawności po okazaniu odpowiedniej legitymacji (opiekun wchodzi za darmo)
- emeryci, renciści (po okazaniu legitymacji emeryta/rencisty)
- dzieci w wieku 5 – 12 lat (dzieci do 5 roku życia wchodzą za darmo)

Sobota – 12 VIII 2023 r.

19:30 **Laureat Konkursu o Nagrodę Złotej Tarki**
Koncert Galowy

20:15 **Adam Makowicz z Alchemik Orchestra**
Dyrygent Wiesław Pieregorólka

21:30 **Lindy Hop Battle**
feat. Nanna Carling, Nikola Bankov, Natalia Muianga, Tamara Behler, Ignacy Wendt, Piotr Schmidt, Mateusz Smoczyński, Grzech Piotrowski, Szymon Klekowicki, Piotr Matusik, Jan Wierzbicki, Krzysztof Gradziuk, Studio Tańca Swingowego SWINGOUT.PL

22:45 **Jazz Connection (Holandia)**
Prowadzenie: **Paweł Sztompke**
miejsce: Amfiteatr Miejski im. Louisa Armstronga

cena biletu: normalny 90,00 PLN; ulgowy 70,00 PLN*
karnet dwudniowy: normalny 140,00 PLN; ulgowy 100,00 PLN*

Niedziela – 13 VIII 2023 r.

14:00 **Msza Jazzowa**
Ewa Uryga Mahalia Jackson In Memorial
(Ewa Uryga – wokal, Bogusław Kaczmar – fortepian, Paweł Pańta – kontrabas, Dorota Piotrowska – perkusja)
miejsce: Amfiteatr Miejski im. Louisa Armstronga, wstęp wolny

Współfinansowane ze środków Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

PATRONAT HONOROWY
Marszałek Województwa Warmińsko-Mazurskiego Gustaw Marek Brzezin
ORGANIZATORZY
PARTNERZY
MEDIA

eprasa.pl fef7fb23da

TEATR CAPITOL

• klimatyzowane sale • orzeźwiające koktajle •

CAPITALNE LATO!

GRAMY CAŁY ROK

• KUP BILET TEATR CAPITOL 2023 • www.teatrcapitol.pl •

PRZEBOJOWE KOMEDIE ◆ GWIAZDORSKIE OBSADY ◆ BRAWUROWE FARSY

FESTIWAL TEATRALNY

CAPITOL KULTUROWY.

TEATR TU I ÓWDZIE III EDYCJA

LUMBAGO

DZIENNIKI GOMBROWICZA

29 CZERWCA 2023 GODZ.19:00
TEATR CAPITOL WARSZAWA

19 LIPCA 2023 GODZ.19:00
TEATR CAPITOL WARSZAWA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano z budżetu państwa - ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Patroni Medialni: RMF MAXX, onet, Rzeczpospolita, Tygodnik Kobiety, ams, Familie.pl, Pogłos

Partnerzy Teatru: kicket, Obag, mokosh, Artywna Warszawa, Strefa Music, mza, recman

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl fef7fb23da